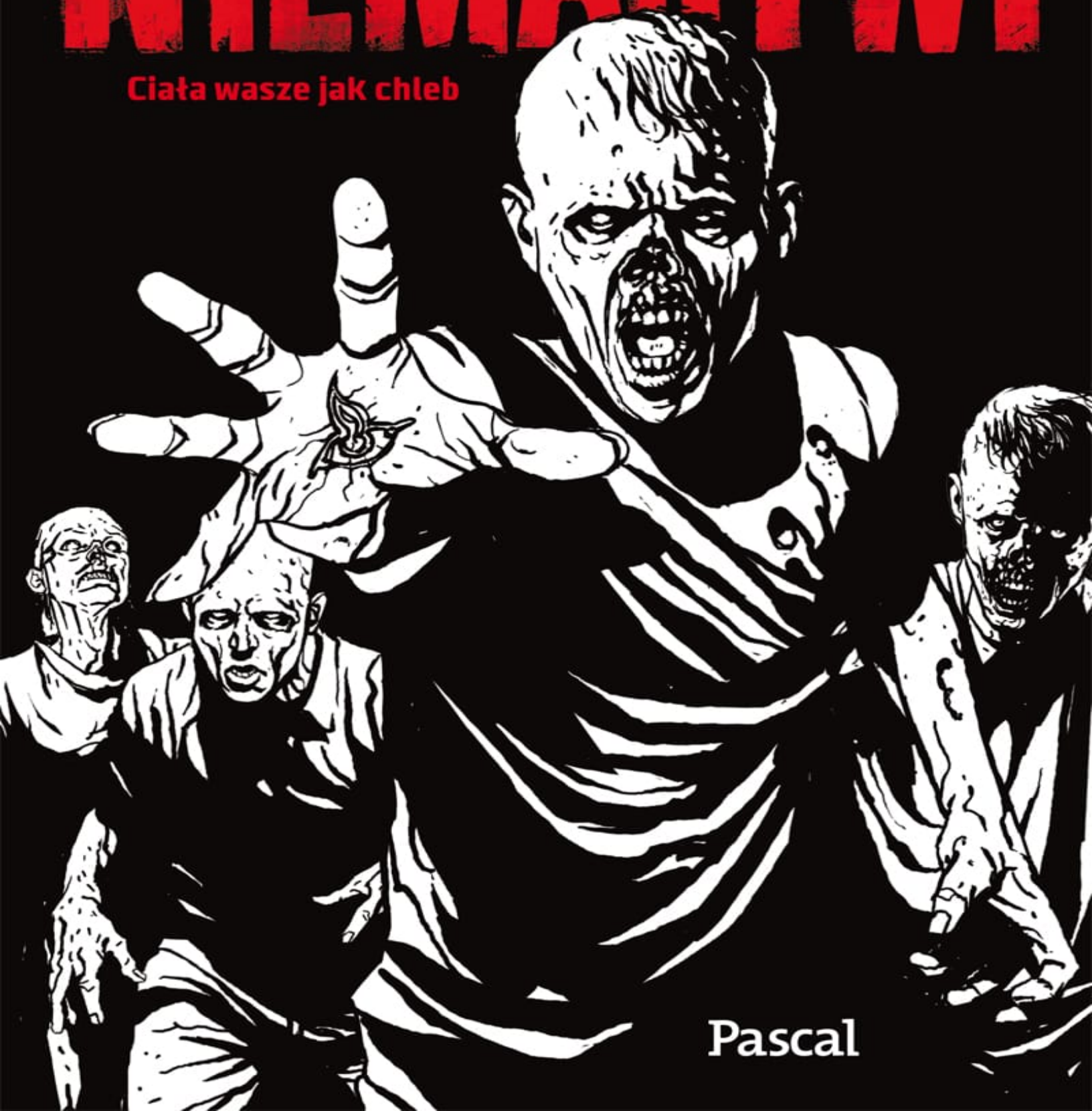


Mikołaj Marcela

NIEMARTWI

Ciała wasze jak chleb



Pascal

Mikołaj Marcela

NIEMARTWI

Ciała wasze jak chleb

Pascal

© Copyright by Mikołaj Marcela

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Pascal. Wszelkie prawa zastrzeżone

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, przechowywanie lub wprowadzanie do systemu wyszukiwania, dystrybucja w jakiegokolwiek formie lub za pomocą jakichkolwiek środków (elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych) bez wcześniejszej pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Postaci i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo z rzeczywistymi osobami, żyjącymi lub zmarłymi, jest przypadkowe.

Autor: *Mikołaj Marcela*

Tytuł: *Niemartwi*

Redakcja: Anna Willman

Korekta: *Katarzyna Ziola-Zemczak*

Skład i projekt graficzny makiety: *Jarosław Jabłoński*

Ilustracje i projekt graficzny okładki: *Marek Oleksicki, Ewa Godlewska*

Redaktor prowadzący: *Roman Książek*

Redaktor naczelna: *Agnieszka Hetnał*

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

www.pascal.pl

Bielsko-Biała 2015

ISBN 978-83-7642-643-3

eBook maîtrisé par [Atelier Du Châteaux](#)

PROLOG

– Lena! Słyszysz?! Nie umieraj! Proszę, nie umieraj!

Krzyk Michała był przytłumiony, jakby docierał do niej z bardzo daleka, choć jego usta i szeroko otwarte z przerażenia oczy znajdowały się tuż przy jej twarzy. Zagłuszało go dudnienie i pulsowanie, które rozsadzało jej głowę. Myśli gnały jak oszalałe, jedna za drugą. Nie miała już siły walczyć. To, co mówią o śmierci, okazało się prawdą: przed oczami, niczym film puszczony do tyłu, przesuwały się jej sceny z życia. Nie z całego – jedynie z jego ostatniego aktu:

Michał przestaje walić kolbą pistoletu w czoło żywego trupa, leżącego bez ruchu na ziemi. Ten wraca do życia. Z ubrania Michała znikają plamy krwi, fragmenty tkanki mózgowej i kości czaszki, które powracają na swoje miejsce w gnijącym ciele leżącym pod Michałem. Obaj podnoszą się z ziemi. Michał patrzy ze zgrozą na umarlaka, a potem na wysokiego siwego mężczyznę po czterdziestce, który z wyrazem otępienia na twarzy spogląda na Lenę. Ich spojrzenia na moment się spotykają.

– Nie! – krzyczy Michał, patrząc, jak niemartwy zatapia zęby w skórze dziewczyny. Głowa żywego trupa, na której Michał trzyma rękę, oddala się od barku Leny.

Lena widzi, jak rubinowa plama na jej ramieniu ustępuje miejsca bieli, a potem czuje, jak gęsta ciecz wpływa do góry po ramieniu do szyi. Z jej ust wyrывa się wrzask i w tym momencie ból ustępuje, a twarz niemartwego znajduje się nad nią. Pożółkłe zęby, między którymi zwisają zaschnięte fragmenty mięsa, zaciskają się teraz kompulsywnie przed jej oczami. Żywy trup naciera, a ona go odpycha. To samo powtarza się raz jeszcze. Kątem oka dostrzega, jak Michałowi niemal udaje się chwycić za gnijącą skórę

na ramieniu umarlaka, ale po chwili jego ręka się oddała, podobnie jak on sam. Ona, leżąc na ziemi, zaczyna się szamotać z niemartwym. Czuje, jak napiera na nią gnijące ciało żywego trupa. Robi uniki, a on atakuje. Jego ciało podskakuje bezwładnie, a ona kopie go mocno i z trudem odsuwa od siebie kłapiącą tuż nad nią szczękę.

Michał cofa się teraz do schodów, zerkając to na nią, to na wysokiego mężczyznę, który stoi jak sparalizowany. Trzech umarlaków ożywa i podnosi się na nogi, a z ich ciał wylatuje kilkanaście pocisków, powracających do dymiącej lufy pistoletu trzymanego przez mężczyznę w szarym prochowcu. Obok niego stoi druga mężczyzna, ubrany na czarno, który wyciąga z czaszki żywego trupa wbita w nią kolbę karabinu. Wokół nich tłoczy się kolejna grupa niemartwych. Następuje seria huków.

– Nie!!! – wrzeszczy mężczyzna w czerni.

Żywe trupy rozstępują się, a spomiędzy nich z kolan powstaje kobieta – również cała w czerni – z jednym umarlakiem uczeponym w jej barku, a drugim w brzuchu. Kobieta krzyczy, a żywe trupy odstępują od niej. Patrzy w stronę Leny.

Lena odbija się od umarlaka, który leży na podłodze pod nią i oboje stają na nogach. Zaczyna się cofać w stronę Michała, stojącego przy schodach i obserwującego walkę czwórki osób z hordą umarlaków. Zatrzymuje się dopiero za jego plecami i wtedy dostrzega, że czterdziestolatka zachodzi od tyłu żywy trup. Dzieli ich mniej niż metr. Umarlak zaczyna powoli oddalać się od mężczyzny, który cały czas jest do niego odwrócony plecami, podobnie jak pozostałych troje ludzi. Lena kładzie rękę na ramieniu Michała, ściskając je gwałtownie i mocno.

– To naprawdę on – wydusza z siebie.

Wlepia wzrok w czterdziestolatka. Ten na moment ogląda się w jej stronę, ich spojrzenia spotykają się. Mężczyzna ponownie skupia się na atakujących go żywych trupach. Jej głos brzmi tak, jakby zobaczyła ducha. I tak rzeczywiście jest.

– To on...

Stoi na szczycie schodów. Ciarki cofają się powoli w górę jej kręgosłupa, a gęsia skórka ustępuje. Pomieszczenie wypełnia ogłuszający huk wystrzałów oraz upiorne wycie żywych trupów. Podłoga jest skąpana we krwi i usłana nieruchomymi truchłami niemartwych. Cofa się o kilka stopni w dół – aż do połowy schodów.

Michał mija ją, zbiegając tyłem na parter. Głośny trzask. Odwraca się i widzi, jak krata, uniemożliwiająca umarłakom zbliżającym się do schodów wejście na piętro, otwiera się. Zbiega na dół. Dłonie jej i Michała splatają się. Łączy je silny uścisk. Czuje szybkie bicie serca i pulsowanie żył. Jej nogi są jak z waty. Stoi, a jej zatrwożony wzrok utkwiony jest w oddalających się od niej i Michała niemartwych. Czuje, jak treść jej żołądka, którą miała już niemal w ustach, cofa się w głąb układu pokarmowego. Przepelnia ją obrzydzenie na widok żywych trupów – pierwszy raz od wielu miesięcy. W głowie ma tylko jedną myśl.

Kiedyś pragnęła śmierci, ale teraz chce po prostu żyć. Tak długo, jak to tylko możliwe: przez kolejny dzień, miesiąc albo rok. Jedno jest pewne: nie chce zginąć już teraz i to w takim miejscu.



Spędziła w Warszawie całe życie z wyjątkiem ostatnich kilkunastu miesięcy. Miasto zawsze tętniło energią. Samochody, rowery, motory, komunikacja miejska i piosi – wszystko w ciągłym ruchu od rana do nocy, jak różne rodzaje krwinek, bez których ten wielki miejski organizm przestałby funkcjonować. Tak mówił jej tata, kiedy była małą dziewczynką. Wtedy jego słowa wydawały się jej tajemnicze, nie do końca rozumiała, o co mu chodzi, nawet gdy swoją historię uzupełniał ilustracjami z podręczników do biologii, których w ich domu nigdy nie brakowało. Teraz to porównanie brzmiało poetycko, ale i profetycznie.

Warszawa leżała bez życia po zawale, który dotknął ją i resztę świata prawie dwa lata temu. Do tej pory jednak nie widziała jej tak pustej i cichej, na granicy wykrwawienia. Może tylko raz, na zdjęciach i filmie podczas jednej z wycieczek szkolnych do muzeum. Ale to było co innego. Teraz miała wrażenie, jakby była częścią tamtych zdjęć i filmu. Kiedy opuszczała Warszawę, organizm jeszcze walczył z chorobą, próbował ją pokonać topniejącymi zasobami ludzkich leukocytów. Jednak to, co ją zaatakowało było niczym rak, o którym przeczytała niedawno w jednej z książek rodziców. Tak jak on, choroba niszczyła „ludzką” krew, degenerowała komórki organizmu i przekształcała w coś, co zaczynało zwalczać całe ciało. Dopiero teraz dostrzegła, jak wielkie spustoszenie poczyniła nie

tylko w układzie krwionośnym, ale i wszystkich innych systemach organizmu.

Warszawa nadal broniła się dzielnie mimo przytłaczającej przewagi liczebnej przeciwników. Ale była już zmieniona nie do poznania. Jej oblicze zdeformowały walki, które toczyły się nieprzerwanie od kilkunastu miesięcy, choć na początku sądzono, że potrwać najwyżej kilka tygodni. Brały w nich udział dziesiątki tysięcy mieszkańców, z czego zdecydowana większość została przemieniona w umarłaków i zasilila szeregi armii niemartwych. Oblężenie trwało, a nieliczni, którzy ocalili, nadal zmagali się z nim na zgliszczach dawnej stolicy Polski.

Miasto broczyło krwią i juchą, było w ruinie, ale jeszcze nie umarło. Uświadomiły jej to wybuch i krótka seria z karabinu, które były jak strzały defibrylatora uderzające gdzieś w samym środku Warszawy. Widocznie tam nadal toczyły się walki. Kolejna seria z karabinu i kilka krótkich wystrzałów z pistoletu. Teraz znacznie bliżej. Instynktownie schowała się w zaułku. Chwilę później minął ją truchtem mężczyzna. Był zakrwawiony. Z jego ramienia i pleców sączyła się brunatna gęsta ciecz, która przemoczyła trykotową koszulkę. Zaraz za nim przebiegli oni. Ciche jęki. Po raz pierwszy zobaczyła ich z tak bliska. To nie byli ludzie, przynajmniej nie tacy, jak ona. Było w nich coś dziwnego, ale nie wzbudzili jej lęku. Raczej... współczucie? Ich widok działał przygnębiająco, może dlatego.

Następny huk wystrzału i charakterystyczny klik oznajmiający wyczerpanie magazynka. Potem tylko krótkie „Nie!” i przerażający wrzask, od którego ugięły się pod nią nogi. Nagle ogarnął ją strach. Wychyliła się z zaułka i spojrzała w stronę, z której doszedł ją krzyk mężczyzny. Jego dygoczące ciało stanowiło wieczorną ucztę dla tych, którzy je przyciskali do ziemi. Stała i patrzyła. Pewnie trwałaby tak znacznie dłużej, gdyby nie kolejny ludzki skowyt, który przeszył powietrze wkrótce po krótkiej salwie z broni palnej. To on przywrócił jej czucie w nogach i logiczne myślenie. Musiała ruszać.

Była na Żwirki i Wigury, w każdym razie tak jej się wydawało. Upewniła się, spoglądając na niebieską tabliczkę wciąż przytwierdzoną do zrujnowanego budynku. Do miejsca przeznaczenia miała jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. A przynajmniej tak by było, gdyby nie musiała uważać na żywe trupy – komórki rakowe wyniszczające miasto i jego mieszkańców. Wbiegła w Raclawicką i natychmiast schowała się za pozostawionym na poboczu samochodem. Na środku ulicy mężczyzna i kobieta próbowali bronić się przed kolejną grupą niemartwych, która otaczała ich, jęcząc głośno. Pomyślała, że powinna im pomóc, miała przecież nóż, który cały czas mocno ścisnęła w dłoni, ale w tej samej chwili spostrzegła plamę krwi na ziemi. Kobieta, już ugryziona, słała się na nogach. Mężczyzna podtrzymywał ją ramieniem, najprawdopodobniej jednak również został zraniony. Ich śmierć, a właściwie nieśmiertelność, była kwestią czasu.

Wybrała inną drogę. Czasami chodziła nią z dziadkami na spacer i zawsze wydawała jej się bajkowa, zwłaszcza gdy dziadek opowiadał o pięknie natury – mijanych drzewach, kwiatach i ptakach. To on zaraził jej tatę miłością do biologii i chemii, miłością, która z kolei zbliżyła go do jej mamy. Teraz jednak trasa utraciła dawną baśniowość – ulice, budynki i pojazdy pogrążone były w rozkładzie jak wszystko dookoła. Czar prysł.

Z Mieszczańskiej skręciła w Ukrytą. Była niemal na miejscu. Jeszcze tylko kilkaset kroków dzieliło ją od progu rodzinnego domu. Ta myśl tyleż mobilizowała ją do dalszego wysiłku, co paraliżowała. Obawiała się widoku, jaki zastanie w miejscu, które opuszczali w popłochu kilkanaście miesięcy temu. Okolica była opustoszała, ale nie zauważało się zniszczeń. Wszystko zostało tu po staremu – przy krawężniku stały zaparkowane samochody, w zabrudzonych oknach zwisały smętnie firanki, w oddali majaczyły bloki. Brakowało jedynie ludzi. To, że coś jest nie tak, zdradzały również zarośnięte chwastami ogródki wyzierające zza ogrodzeń domów oraz zapuszczone publiczne trawniki.

– Uważaj! – krzyknął ktoś za nią.

Odwróciła się i z przerażeniem stwierdziła, że w jej kierunku zmierza jeden z niemartwych. Przed przemianą musiał być emerytem, przypominał jej dziadka ze strony mamy, ale na jego twarzy próżno było szukać łagodnego uśmiechu, jaki wychylał się co chwila spod sumiastego wąsa jej przodka. Twarz żywego trupa była nienaturalnie wykrzywiona, a w jego ustach tkwiła wyglądająca jak nowa sztuczna szczęka. Zestawienie rozkładającego się ciała i śnieżnobiałego porcelanowego uzębienia rodziło jeszcze bardziej upiorne wrażenie, niż w przypadku innych niemartwych, straszących gnijącymi zębami. Mimowolnie wydała z siebie pisk. Tylko tyle mogła zrobić. Miała wrażenie, że jej nogi zatopiły się w asfalcie ulicy. Zamknęła oczy.

Usłyszała trzask. Rozwarła niepewnie powieki. Żywy trup leżał na ziemi, przygnieciony przez chudego mężczyznę w okularach, który szarpał się z silniejszym od niego przeciwnikiem.

– Uciekaj! – wrzasnął.

– Ale... – To był bardziej jęk niż próba odpowiedzi.

– Uciekaj, słyszysz?!

Zanim mężczyzna zdążył dokończyć, sztuczna szczęka zagłębiła się w jego rękę, aż pociekła krew. Wrzask przeszedł w ryk. Mężczyzna uderzył dłonią w głowę żywego trupa, ale ten nadal gryzł. Wymierzył kolejny cios, ale już słabszy. Jego krew barwiła na czerwono grafit asfaltu. Rozejrzała się dookoła w panice i dopiero teraz przypomniała sobie o nożu. Bez namysłu, z całej siły wbiła go w głowę żywego trupa, wierzgającego tuż przy jej nogach. Jego ciało opadło na ulicę i przestało się ruszać. Powtórzyła cios. A potem jeszcze raz.

Oddychała szybko. Mężczyzna próbował bezskutecznie zatamować krwotok dłonią. Podniósł się z trudem. Błędnym wzrokiem popatrzył najpierw na nią, a potem na ranę. Zatoczył się.

– Mogę nóż? – zapytał słabym głosem.

Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Nie miała siły oponować, dlatego po prostu mu go podała. Mężczyzna spojrział na nóż, a potem znów na nią.

– Jak masz na imię?

Ledwo go usłyszała. Mruczał pod nosem, patrząc w ziemię.

– Lena – wydusiła po chwili.

– Lena... Ładnie. Miło było cię poznać – wyszeptał z trudem i ile tylko miał siły w nieugryzionej ręce, wbił ostrze noża w środek czoła. Osunął się na ziemię.

Przeciągłemu piskowi, jaki znów z siebie wydała, towarzyszyło teraz drżenie całego ciała. Szybko jednak się opanowała i zakryła usta dłońmi. Wciąż dygocząc, rozejrzała się, sprawdzając, czy nie ściągnęła uwagi innych żywych trupów, ale nie dostrzegła żadnego ruchu. Kucnęła i przyciągnęła nogi do piersi. Zamknęła oczy i zrobiła głęboki wdech, próbując wyprzeć z pamięci to, czego przed chwilą była świadkiem.

Nie wie, ile tam tak trwała bez ruchu. Nigdy później nie potrafiła odtworzyć tamtych wydarzeń. W końcu jednak wstała i ruszyła w stronę domu rodzinnego. Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów... Bramka była uchylona, a na podwórku nikogo nie było. W środku pewnie też nie, choć ciągle się łudziła, że wejdzie do domu i zastanie tam rodziców.

Kiedy ostatni raz widziała się z nimi, tuż po wybuchu apokalipsy, pokłócili się. Często się z nimi kłóciła, bo chciała, żeby spędzali z nią więcej czasu i poświęcali się tylko jej, zamiast pracować do nocy. Dlatego na ogół łamała ich zakazy i zachowywała się zupełnie inaczej, niż by sobie tego życzyli. Obrażała ich i z premedytacją zaogniała każdy kolejny konflikt – szczególnie w ostatnim roku przed początkiem apokalipsy. Miała nadzieję, że w ten sposób zwróci na siebie ich uwagę, że będą musieli jakoś zareagować, coś zrobić... Ale przeliczyła się. Może uznali, że ich nie kocha albo że nie potrafią jej zrozumieć, w każdym razie zostawili jej wychowanie kochającym dziadkom, by zająć się tym, co było dla nich

zrozumiałe – pracą. Teraz żałowała, że kiedykolwiek podniosła głos na rodziców, i dałaby wszystko, by jeszcze raz się z nimi zobaczyć.

Niepewnie uchyliła drzwi i weszła do środka. Podłoga zaskrzypiała pod jej stopami, tak że dreszcz przebiegł jej po plecach. W domu panowała absolutna cisza. To było coś nowego pośród tych czterech ścian, bo zawsze albo kłóciła się z rodzicami, albo oni głośno rozmawiali z przygłuchymi dziadkami, albo dziadkowie trajkotali z nią jak nakręcone katarynki. Teraz czuła się tak, jakby to już nie był jej dom, jakby przestał nim być z powodu tej ciszy. Nie poznawała go, choć się nie zmienił.

Wszystko było tak, jak to pozostawili. Przynajmniej tak jej się wydawało do momentu, aż spostrzegła przewróconą doniczkę z uschniętym cyklamenem perskim – chlubą babci. Pamiętała, że kiedy opuszczali w popłochu mieszkanie, doniczka stała blisko okna. Teraz zasuszony niczym mumia kwiat leżał na dywanie. A zatem ktoś tu musiał być w ciągu ostatnich miesięcy. Jej serce zabiło szybciej. Rozejrzała się nerwowo. Kuchnia. Tam jeszcze nie zaglądnęła. Sięgnęła po nóż, ale... Uświadomiła sobie, gdzie go zostawiła. I natychmiast przestała o tym myśleć. Wyteńczyła słuch, lecz nie wychwyciła nawet szmeru. Uspokoila się i weszła do kuchni.

Stała w wejściu. Naprzeciwko niej przez okno wyglądała kobieta o kruczoczarnych, długich włosach – takich, jakie miała jej matka. Jej loki kontrastowały ze śnieżnobiałym kitem laboratoryjnym. Kobieta stała odwrócona do niej plecami, więc nie miała pewności, czy to matka, dopóki na lewym nadgarstku nie dojrzała srebrnej bransoletki, tej samej, którą tata Leny podarował żonie w dziesiątą rocznicę ślubu. To musiała być ona. Jej serce znów waliło jak oszalałe, tym razem z radości. To był cud!

– Mamo... – wyszeptała niepewnie. Żadnej reakcji... – Mamo – powtórzyła głośnie.

Kobieta powoli, mechanicznym ruchem, odwróciła się w jej stronę. Ale to już nie była jej matka. Pograżona w rozkładzie zmasakrowana twarz, ciało pokryte śladami ugryzień, kitel skąpany we krwi... To coś zajęczało

i zrobiło krok w jej stronę. Cofnęła się przerażona i w tej samej chwili usłyszała za plecami głośnie zawodzenie. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że w jej kierunku podążają trzy żywe trupy. Nie miała gdzie uciec. Brakowało jej tchu, nie mogła nawet krzyknąć. Chciała się pomodlić, ale zapomniała słów, choć kiedy była mała, co wieczór przed snem powtarzała z babcią: „Aniele Boży, stróżu mój...”. Boże, jak to leciało, jak to leciało? – powtarzała przez krótką chwilę w myślach, podczas gdy umarlaki zbliżały się do niej. Złożyła ręce do modlitwy i słowa same się wypowiedziały: „Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój. Rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy, strzeż duszy, ciała mego, zaprowadź mnie do żywota wiecznego...”. Nim wypowiedziała w myślach „Amen”, żywy trup, który niegdyś był jej matką, dotknął jej ramienia i zaskrzeczał obrzydliwie. Odruchowo zacisnęła powieki...

Ale nic się nie stało. Trwała tak jeszcze kilka sekund, lecz w końcu odważyła się otworzyć oczy. Niemartwi trwali w miejscu jak roboty, których system operacyjny się zawiesił. Poruszyła się trwożliwie, lecz nie zaatakowały. Przestały zwracać na nią uwagę. Czekala jeszcze parę minut sparaliżowana strachem, ale nic się nie zmieniło. W końcu żywe trupy oddaliły się – każdy w swoją stronę. Dopiero teraz poczuła, że ciepły mocz spływa jej po udzie. Odwlekała jakikolwiek ruch, czekając, aż niemartwi opuszczą jej dom i wtedy pędem rzuciła się do wyjścia.

Biegła przed siebie, byle dalej. Mijała kolejnych umarłaków, lecz żaden nie próbował jej zaatakować. Zatrzymała się, gdy zabrakło jej tchu. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Oparła się o ścianę budynku, ciężko dysząc. Dopiero teraz zauważyła, że na ulicę wyległa garstka ludzi, tych, którzy przez całą wojnę trwali w ukryciu – w piwnicach, na strychach albo zabarykadowani w swoich mieszkaniach. Ktoś zagwizdał i wydał okrzyk radości, jakby to był Nowy Rok. Obok niej przebiegło dwóch mężczyzn. Jeden z nich zatrzymał się przy niej.

– Już nie musisz uciekać! – wołał podniecony.

– Co się stało? – wydyszała zdezorientowana.

– Przestali atakować! To koniec! Rozumiesz? To koniec apokalipsy!

Mężczyzna niemal tańczył z radości. Uśmiechnął się i pobiegł za kolegą.

– Przestali atakować? Jak to? – zapytała sama siebie słabym głosem.

Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Osunęła się na ziemię. Przymknęła powieki.



Powinien być martwy. Ale nadal żył. Ta myśl nieustannie pojawiała się z każdym powrotem świadomości. Była niczym automatyczne przypomnienie, którego nie da się wyłączyć, jak slogan wnikaający w umysł tak głęboko, że mimowolnie powtarza się go pod nosem. I chociaż słyszał tę myśl już nie dziesiątki czy setki, ale tysiące razy, nie potrafił się do niej przyzwyczaić.

Leżał z zamkniętymi oczami, a dookoła niego trwała martwa cisza. Ten krótki moment zawieszenia i uśpienia świata tuż po przebudzeniu lubił najbardziej. Po chwili poczuł jednak przez przymknięte powieki pierwsze promienie słońca i usłyszał, jak nieme dotąd królestwo natury budzi się do życia za oknem jego chatki. Jak zwykle zastanawiał się, czy jest sens wstawać, w końcu nie miał żadnych planów, żadnych obowiązków i mógł przeżyć kolejny dzień, nie wychodząc z domu. Ale wiedział też doskonale, że mimo to jak co dzień zejdzie z hamaka i wykona serię rutynowych, nie do końca potrzebnych czynności, bo to właśnie rutyna zapewniała mu w miarę normalne funkcjonowanie. Inna sprawa, czy ktokolwiek byłby skłonny oceniać jego życie w kategoriach normalności. Miał to jednak gdzieś, jak wszystkich ludzi.

Ostatecznie wstał, bo nigdy nie potrafił ponownie zasnąć po przebudzeniu. Raz przerwany sen już nie wracał. Zastanawiał się intensywnie, co ma do zrobienia. Czekało go jednak to, co zwykle –

śniadanie, pranie, poszukiwanie opału, może jakieś polowanie i ewentualnie drobny remont chatki. Remonty, no właśnie... Zeskakując z hamaka, w ostatniej chwili uniknął przewrócenia stojącej na środku pustego pokoju drewnianej misy wypełnionej po brzegi wodą. Nawyki mają też negatywną stronę – każda, nawet najdrobniejsza zmiana może zburzyć codzienny porządek. Zupełnie zapomniał o naczyniu, w którym zebrał się deszcz z przeciekającego dachu. Sądząc po ilości wody, w nocy musiało mocno padać. Wydawało mu się, że przez sen słyszał nawet grzmoty, ale jeśli już spał, to jak zabity, więc równie dobrze za oknem mogła trwać apokalipsa, a on i tak obudziłby się dopiero wraz z pierwszymi promieniami słońca. Dziura w dachu była tyleż problemem, co zbawieniem – dzięki niej miał świeżą wodę, którą mógł przemyć twarz. Mimo wszystko dachem trzeba było się zająć, podobnie jak przygotowaniem nowych strzał, bo poprzedniego dnia złamał kolejną w czasie polowania. Ale wszystko to po rozgrzewce. Zrobił trzydzieści pompek, następnie chwycił z dębowej deski leżącej na podłodze kawałek pieczeni z zeszłego wieczora i wyszedł przed chatę.

W pobliżu jak na zawołanie poruszyły się zarośla, a zza nich wyłonił się biały wilk. Pamiętał ich pierwsze spotkanie i wymianę spojrzeń gdzieś w samym środku Bieszczadów. Mimo początkowego strachu i nieufności od razu poczuł, że będą przyjaciółmi. O ile oczywiście jest możliwa przyjaźń między człowiekiem a wilkiem. Nie wiedział zresztą, co tak naprawdę ich łączyło, ale coś na pewno. Obaj byli wyrzutkami – zwierzętami stadnymi, które z różnych względów stroniły od innych przedstawicieli swojego gatunku. Samotnikami, którzy chodzą własnymi ścieżkami. Czasami miał wrażenie, że dobrze czują się jedynie w swoim towarzystwie, choć – podobnie jak wilk – nie był skłonny albo nie potrafił tego okazać. Kilka lat temu, kiedy jeszcze czytał książki i gazety, wpadł mu w ręce poradnik survivalowy napisany przez kobietę. Od dziecka lubił tego typu lektury, a ta była wyjątkowa. Autorka opisywała w niej, jak

zamieszkała w chatce w środku lasu z dzikiem i rysiem. Wtedy uznał to za niewarty uwagi szczyt dziwactwa i zamiast dokończyć lekturę, sprawdził rubrykę sportową. Teraz, kiedy jego jedynym przyjacielem był wilk-albinos, który wprawdzie nie był jego współlokatorem, ale codziennie rano przychodzi go odwiedzić i spojrzeć mu głęboko w oczy, zrozumiał, że uznanie czegoś za dziwactwo to tylko kwestia perspektywy i często przychodzi moment, w którym to, co wydawało się dziwactwem, okazuje się czymś nie tylko normalnym, ale i pożądanym. A z miejsca, z którego teraz spoglądał, wilk wydawał mu się bliższy od wszystkich ludzi, jakich poznał w życiu. Człowiek człowiekowi wilkiem, a wilk człowiekowi człowiekiem? Pytanie, czy on sam był jeszcze człowiekiem...

Z rozmyślań wyrwał go pomruk przyjaciela. Odruchowo rzucił mu pozostały kawałek pieczeni. Na ogół nie przechowywał jedzenia w chacie, bo zapach mięsa mógł sprowadzić nieproszonych gości. Wilk takim nie był.

Patrzył, jak jego przyjaciel dostojnie podchodzi do mięsa, dokładnie je obwąchuje i pożera jednym kęsem, a potem ruszył truchtem przed siebie. Świeżego zapachu lasu o poranku nie dało się porównać z niczym innym. Był dla niego jak narkotyk, który sprawiał, że krew zaczynała szybciej krążyć w żyłach, oddech przyspieszał, a ciało odzyskiwało energię. Podkreślił tempo do pełnego biegu, stąpając lekko po leśnym runie. Błyskawicznie mijał kolejne drzewa, zagłębiając się w puszcze.

Nagle zastygł w miejscu. Minęła chwila, zanim umysł przekazał informację, dlaczego nogi zeszywniały, zmysły się wyostrzyły, a mięśnie napięły. To był głos. Ludzki. A może tylko mu się zdawało? W zasadzie nie powinno go to dziwić, w końcu i tu mieszkają ludzie, ale omijał ich szerokim łukiem i nie pamiętał już, kiedy ostatnio kogoś widział. Wyostrzył słuch. Teraz był pewien, że kilkaset metrów dalej grupka ludzi prowadzi rozmowę, budzącą spore emocje szczególnie u kobiety.

By uniknąć spotkania, ruszył sprintem w lewo, zmieniając standardową trasę biegu.

Kiedy wrócił do chatki, wilka już nie było. Oddychając ciężko, usiadł na progu. Odczuwał irracjonalny niepokój, a może nawet panikę. Zdawał sobie sprawę, że przyjdzie taki dzień, gdy znów usłyszy ludzki głos albo nawet spotka na swojej drodze człowieka. Wiedział o tym, ale mimo wszystko teraz, po raz pierwszy od miesiący, a może nawet lat, dotarło do niego, że jego ucieczka od ludzkości może dobiec końca. Że go znaleźli i nic już nie będzie takie jak wcześniej. Jak w przypadku plemion odkrywanych w lasach Amazonii, tropikach czy na wyspach, a następnie wyniszczanych przez odkrywców. Martwił się, że to właśnie spotka jego mikrokosmos, który z taką pieczołowitością ukrywał w puszczy. Na dobrą sprawę nic nie wskazywało na to, by spotkani ludzie mogli dotrzeć w pobliże jego chatki, ale sam powrót świadomości ich istnienia napawał go mieszaniną lęku i wstrętu.

Oddech szybko się ustabilizował, co z pociągnęło za sobą jasność umysłu. Uśmiechnął się z politowaniem, myśląc o tym, czego właśnie niedawno doświadczył. Dookoła znów panowała cisza, przerywana od czasu do czasu buczeniem owada lub świergotem ptaków. Podniósł się i wszedł do środka. Z deski leżącej na ziemi zniknęła reszta pieczeni. Widocznie wilkowi przypadł do gustu jego nowy przepis, co mu schlebiało, bo jego przyjaciel był jak na dzikie zwierzę wyjątkowo wybredny. Niemniej zaistniała sytuacja zmuszała go do udania się na polowanie. To była kolejna rzecz, która łączyła go z wilkiem – obaj byli drapieżnikami, a ich dieta wymagała mięsa.

Trudno powiedzieć, czy to nagły głód, czy chęć zagłuszenia czającego się w nim niepokoju, zrodziły pragnienie natychmiastowego udania się na łowy, mimo że wciąż jeszcze odczuwał trudy porannego biegu. Polowanie pomogłoby mu wyłączyć myślenie, a tego dnia tego właśnie potrzebował. Chwycił stojący w rogu pokoju cisowy łuk i kołczan

ze strzałami. Był szczególnie dumny z tego pierwszego. Miał wiele rodzajów broni, żadna jednak nie wydawała mu się tak doskonała jak ten zwykły łuk. Poświęcił jego wykonaniu więcej czasu niż jakiegokolwiek innej rzeczy, która wyszła spod jego rąk. A było ich naprawdę wiele.

Przed polowaniem należało sprawdzić wnyki. Miał ich kilka – zarówno prostych pętli, jak i wnyków napinanych, ale wszystkie były puste. Obszedł kilka miejsc, w których zazwyczaj polował, jednak las jakby opustoszał – miał wrażenie, że nie tylko on, ale i zwierzęta przestraszyły się niepożądanego obecności człowieka i skryły się przed jego spojrzeniem. Nie miał jednak w zwyczaju odpuszczać, dlatego ruszył poza swoje stałe tereny łowieckie. Przez te kilka lat puszcza stała się jego domem i świetnie się w niej orientował – wiedział, gdzie jest, i miał świadomość, że coraz bardziej oddala się od tego, co uważał za swoją strefę bezpieczeństwa. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zapuszczał się w te rejony, o ile w ogóle kiedykolwiek tu dotarł.

Ale opłacało się. Kątem oka dostrzegł ruch po swojej prawej stronie i zamarł. To był zając. Wprawnym, spokojnym ruchem założył strzałę na cięciwę i wymierzył w szaraka. Ten zastrzygł uszami i spojrzał w jego stronę. Patrzył teraz w oczy zająca, jak niegdyś spoglądał w oczy białego wilka. Ale to było inne spojrzenie – zając przeczuwał, że jest ofiarą, a on wiedział, że jest drapieżnikiem. Cięciwa napięła się, a oddech unormował...

I wtedy usłyszał krzyk. Nie, to nie był krzyk – to był wrzask. Znał ten dźwięk. To odgłos agonii, umierania. Zając uciekł spłoszony, a on rozejrzał się dookoła. Ryk doszedł zza jego pleców. To był młody mężczyzna, może nawet dziecko. Oddech znów galopował w jego piersi, a dłoń mocno zacisnęła się na cisowym łuku. Co miał zrobić? Ktoś konał w pobliżu, a on mógł mu pomóc. Ale nie chciał. Zagryzł wargę i przymknął oczy, próbując się uspokoić. Wolnym krokiem ruszył przed siebie, wypatrując zająca. Cokolwiek działo się za jego plecami, nie była to jego sprawa. Tym bardziej że tego typu wrzask zwiastował kłopoty.

Zatrzymał go kolejny krzyk – tym razem dziewczyny. Po chwili powtórzył się jeszcze raz. Choć stawiał opór całym sobą, coś kazało mu rzucić się pędem w stronę, z której dochodził skowyt. Od dawna nie czuł tego czegoś, myślał, że to w nim już umarło, a jednak nadal było silne, silniejsze od niego. Biegł, ile miał sił w nogach, przedzierając się przez gęsty las. Jedna z gałęzi zraniła go do krwi. Zatrzymał się dopiero na skraju niewielkiej polany. Przez chwilę myślał, że śni.

Na środku polany płonęło ognisko, a właściwie stos o kilkumetrowych płomieniach. W znacznej odległości od niego stały dwie osoby w długich, zielonobrazowych szatach przypominających szaty liturgiczne nieokreślonego obrządku religijnego. Nie sposób było stwierdzić, czy byli to mężczyźni, czy kobiety, ich twarze ukryte były bowiem pod kapturami. Pewne było jedynie to, że patrzyli na trzecią postać – postawnego mężczyznę odzianego w łachmany, który stał zwrócony do niego plecami. Mężczyzna trzymał młodą dziewczynę, jeszcze nastolatkę. Dziewczyna, na wpół żywa, resztką sił próbowała tamować upływ rubinowej krwi płynącej z jej szyi, krew jednak nieubłaganie sączyła się spod palców na jej ubranie i trawę. Dopiero teraz zauważył, że ciemna krew spływa także z jej rozciętego przedramienia. Jedna z postaci w szatach zbliżyła się do dziewczyny i chwyciła ją za ramię, jakby chciała jej dodać otuchy, ale zamiast tego nacięła nożem jej ramię. Obok nich na ziemi leżał martwy chłopak z szeroko otwartymi oczami. Jego szyja była poszarpana, jakby dopadło go wygłodniałe dzikie zwierzę.

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że na polanie jest jeszcze ktoś. To była kolejna dziewczyna, najmłodsza z całej trójki. Ku jego przerażeniu, przyglądała się ze spokojem, jak mężczyzna rzuca ciało drugiej ofiary niemal u jej stóp. Zamiast uciekać, zrobiła krok w jego stronę, ufnie patrząc mu w oczy. Jej milczenie i brak strachu wydawały się czymś potwornym, do momentu, kiedy mężczyzna odwrócił się na tyle, by mógł dostrzec jego twarz. Zrozumiał, że niesłusznie bał się jedynie

ludzi, bo istnieje coś jeszcze gorszego od nich. Mężczyzna bowiem jedynie przypominał człowieka – jego wychudzone ciało i zdeformowana twarz pogrążone były w rozkładzie, a w martwym spojrzeniu czaiła się pustka. Nieporadnymi ruchami, przypominającymi działanie robota we wczesnych stadiach testów, nieubłaganie zbliżał to, co kiedyś było jego rękami, do twarzy dziewczyny.

Nawet nie zauważył, kiedy napiął łuk. Strzała mierzyła już w serce kreatury, kiedy powietrze przeszył strzał z karabinu snajperskiego. Pocisk świsnął tuż obok niego. Usłyszał za plecami głuchy łoskot. Obejrzał się. Na ziemi, tuż za nim, leżała inna rozkładająca się kreatura z roztrzaskaną czaszką. Zanim zdążył to zanalizować, usłyszał szelest dobiegający z krzaków. Odruchowo zasłonił się łukiem, w ostatniej chwili dostrzegając kolejnego potwora, który rzucił się na niego, kłapiąc zajadle szczęką. Próbował go odepchnąć, ale ten napierał na niego z nieludzką siłą. Zęby kreatury były tuż przy jego szyi, gdy z impetem coś odrzuciło ją na kilka metrów. Zrozumiał, że to coś, to jego przyjaciel – wilk. Kolejny pocisk przeszył powietrze, tym razem trafiając w drzewo. Nie zastanawiał się jednak nad tym, bo nie było chwili do stracenia. Ruszył biegiem w stronę dziewczyny, zanim ktokolwiek na polanie zorientował się, co się dzieje.

Postacie w szatach chciały zareagować, podobnie jak dziewczyna, ale było za późno. Rzucił się na nią i przewrócił na ziemię. Upadła bezwładnie na trawę. Kątem oka dostrzegł błysk noża w dłoni odzianego w szaty napastnika. Przeturlał się, unikając ciosu, odruchowo złapał strzałę i wbił jej grot głęboko w szyję atakującego. Z jego ust dobył się przeraźliwy ryk, a gdy upadł w konwulsjach na ziemię, opadający kaptur ujawnił twarz mężczyzny przed trzydziestką. Jego towarzysz stał jak sparaliżowany. Nie ruszył się, podobnie jak dziewczyna, która najprawdopodobniej straciła przytomność, uderzając głową o twarde podłoże. Po chwili ocknęła się, a kiedy zrozumiała, że nie może już pomóc swojemu kompanowi, pobięła

w stronę lasu. Potknęła się jednak i przewróciła, ale natychmiast zerwała się na równe nogi. Zanim zdążył zareagować, zniknęła za zasłoną drzew.

Chciał za nią biec, gdy poczuł, że coś miażdży mu bark. Obrócił wzrok i zobaczył, że rozkładająca się kreatura, o której zapomniał, trzyma go za ramię i nachyla się, by go ugryźć. Napiął mięśnie, szykując się do ciosu i w tym momencie usłyszał kolejny wystrzał. Chwycił leżący na ziemi zakrwawiony nóż i zanim napastnik, chwilowo odrzucony w tył siłą wystrzału, ponowił atak, zatopił ostrze w samym środku jego czoła. Potwór runął bez życia na ziemię.

Rozejrzał się dookoła, dysząc ciężko. Odruchowo chwycił łuk i strzałę. Wzdrygnął się na widok ciał leżących wokół stosu. Powróciły wspomnienia, które dawno już wyparł z pamięci. A przynajmniej tak mu się zdawało. Ci, którzy chcieli zrobić krzywdę dziewczynie, albo nie żyli, albo uciekli. Gdzieś w pobliżu musi być też ktoś, kto ma dobre intencje i chce pomóc. Ale czy na pewno? – pomyślał. „Piekło wybrukowane jest dobrymi intencjami”, mówili jedni, „podobno piekło to inni”, mówili drudzy. Okazało się, że i jedni, i drudzy mieli rację. A potwory, z którymi się zetknął, oraz ta polana i wciąż buchające na niej płomienie, jak najbardziej kojarzyły się z czeluściami piekielnymi.

Zarośla po przeciwnej stronie polany poruszyły się, a zaraz potem wyłoniły się spomiędzy nich dwie postacie pędzące w jego stronę. Niski, tęgi mężczyzna, a za nim młoda, wysoka brunetka z karabinem snajperskim w dłoniach. Kobieta szybko wyprzedziła mężczyznę.

Podbiegł do dziewczyny leżącej na trawie bez życia. Oddychała, choć, tak jak podejrzewał, straciła przytomność. Nadbiegająca kobieta coś do niego wołała. Kątem oka dostrzegł, że zatrzymuje się i kieruje broń w jego stronę. Dzieliło ją od niego jeszcze dobre kilkadziesiąt metrów. Błyskawicznie napiął łuk i wypuścił strzałę, która zagłębiła się w ramieniu kobiety. Karabin upadł na trawę, a ona sama przewróciła się z krzykiem.

Mężczyzna biegnący za nią zatrzymał się i przypadł do niej. Kobieta wiała się, krzycząc wściekle.

Myślał gorączkowo. Nie rozumiał, co się wydarzyło na polanie, ale jednego był pewien – dziewczyna nie była tu bezpieczna. Starał się odsuwać od siebie myśl, że mógłby ją wziąć do siebie. Nie był na to ani przygotowany, ani gotowy. Nigdy nie będzie. Coś jednak musiał zrobić. Cokolwiek. A jeśli nie on, to coś, co w przeszłości przejmowało nad nim kontrolę w chwilach zawahania. To coś właśnie zaczynało działać. Podniósł z ziemi nieprzytomną dziewczynę i przerzucił ją sobie przez ramię. Już się nie zastanawiał. Biegł, ile miał sił w nogach w stronę swej chaty.



Wiktor Strachowski był, jest i będzie detektywem. Wszyscy wciąż mu to powtarzali, choć nie musieli. Widział to każdego ranka w lustrze, kiedy patrzył na swoją zniszczoną twarz z podkrążonymi oczami i niedbałym zarostem. Czuł to w swym oddechu, w którym obecna była delikatna woń alkoholu – prawdziwej miłości jego życia.

Był detektywem w tych popieprzonych czasach, tak jak był nim w nieco mniej popieprzonej epoce przed apokalipsą (zresztą, czy kiedykolwiek świat nie był popieprzony?). Kiedy Bóg rozdzielał talenty, jemu ewidentnie poskąpił tych najlepszych, które dostały się jego kolegom i koleżankom. Nie był ani specjalnie przystojny, ani nieprzeciętnie inteligentny. Nie miał żadnych zdolności, które czyniłyby go wyjątkowym. A jednak na pocieszenie coś dostał: talent rozwiązywania zagadek. No dobra, dostał też talent do picia, choć nie był pewien, czy to powód do dumy. Tak więc, choć nie dostał może od Stwórcy zbyt wiele, zgodnie z przypowieścią o talentach, przez całe życie starał się to pomnażać. Jak? Na przykład, rozwiązując sprawy, które bez niego najpewniej pozostałyby nierozwiązane. Przed apokalipsą pracował w kryminalnych, gdzie wiele spraw było kwestią życia i śmierci. Dzisiaj dla takich jak on było mniej roboty, ale nadal starał się służyć tym, co miał. Wiedział, gdzie i jak szukać, gdy trzeba było coś odnaleźć. Czuł, kiedy należy myśleć logicznie, a kiedy słuchać intuicji. Potrafił złożyć do kupy niepasujące do siebie klocki.

A do tego był pieprzonym mistrzem łamigłówek, zarówno szarad, jolek i sudoku (już w dzieciństwie psuł mamie przyjemność rozwiązywania krzyżówek w gazetach, wypełniając je zaraz po zakupie), jak i zagadek kryminalnych.

Zagadką na dziś było wezwanie od szefa, Andrzeja Strzeleckiego, przewodniczącego Fortu Wilno. Zastanawiające było to, że Wiktor miał się u niego pojawić zaledwie dwa dni po powrocie z misji. Zazwyczaj dostawał kilka dni wolnego, żeby mógł się nacieszyć rodziną. Tym razem podobno sprawa była pilna. Miał nadzieję, że nie wiązała się z kolejnym wyjazdem, które jego żona od pewnego czasu coraz gorzej znosiła. Wszystko zaczęło się od tej serii ponownych ataków, dwa miesiące temu. Przeraziły ją. Potem były kolejne, a teraz nie można już było przewidzieć, kiedy zdarzy się następny.

Kiedy i dlaczego atakują niemartwi? – ta zagadka na razie przerastała możliwości Wiktora. Dlaczego przyczajają się na długie tygodnie, by nagle znów zabijać? Oczywiście pojawiały się różne teorie, m.in. ta związana z dziwolągami z Kultu Brata Ezechiela, ale żadna nie przemawiała do Wiktora. Ale choć zagrożenie cały czas istniało, a te ataki najlepiej o nim przypominały, od wielu miesięcy trwał pokój i nic nie sygnalizowało, by miało się to zmienić.

Z lekcji historii w liceum wyniósł jedno memento: komfort spokoju i stabilizacji nigdy nie służył ludzkości, zawsze ją usypiał. Nauczyciel historii często przytaczał w tym kontekście słowa Orsona Wellesa: „We Włoszech przez trzydzieści lat rządów Borgiów mieli wojnę, terror, mord i rozlew krwi. Zrodzili Michała Anioła, Leonarda da Vinci i renesans. W Szwajcarii mieli braterską miłość, pięćset lat demokracji i pokoju i co zrodzili? Zegar z kukułką”. Czasem nie wiadomo, co gorsze – wojna czy pokój. Ale stabilizacja niosła jeszcze jedno niebezpieczeństwo: nie pozwalała dostrzec czającej się tuż za rogiem groźby ataku czy kryzysu. To z kolei świetnie przerobiły wiek XX i początek XXI stulecia. Tak było

w przypadku wszystkich konfliktów zbrojnych i kryzysów gospodarczych. Ludzie, zadowoleni z siebie i z bez troski, jaką pozornie zapewnili sobie i swoim rodzinom, z zadziwiającą łatwością przymykali oczy na wszelkiego rodzaju znaki zwiastujące zmianę.

Wiadomo, ludzie ginęli, giną i będą ginąć, ale szósty zmysł sygnalizował Wiktorowi, że w ostatnich dwóch, może trzech tygodniach ataków było więcej. Czy to możliwe, że się nasilały? Wszyscy mieli nadzieję, że nie dojdzie do kolejnej wojny, że status quo utrzyma się do końca świata i o jeden dzień dłużej, mimo stałego zagrożenia ze strony umarłaków. Nikt nie brał pod uwagę, jak niestała jest obecna sytuacja. Niemartwi, jak oficjalnie ich określano, byli najistotniejszym, ale nie jedynym klockiem w całej tej układance. Były też Pantery, wspomniany Kult Brata Ezechiela, no i oni – Rada Ludzkości.

– Wiktor, zrób coś wreszcie z tym prochowcem! – przywitał go przepalony i przepity głos. Siedzący za biurkiem mężczyzna wystawił nos spomiędzy zbindowanego, chudego pliku dokumentów. Lektura kontrastowała z jego sylwetką, bo był przysadzistym pięćdziesięciolatkiem z zawsze przetłuszczonymi, lekko kręconymi włosami. Najprawdopodobniej nikt oprócz niego w całym Forcie Wilno nie mógł sobie pozwolić na luksus nadwagi i wiecznie pełnego żołądka. Bawełniana koszula wielkości dwóch boisk do piłki nożnej nie bez problemów skrywała cielsko, które wyglądało tak, jakby Andrzej właśnie pożarł kilku niemartwych. Jego odpychającą aparycję uzupełniał dokładnie przystrzyżony wąs i poplamiony krawat w kwiaty. Plama najprawdopodobniej miała źródło w kanapce, którą ścisnął mocno w pulchnej dłoni wielkości bochenka chleba. Wiktor, jak zawsze, podświadomie wyparł widok gigantycznych śladów po pocie, które wyraźnie rysowały się pod pachami i na brzuchu Andrzeja. W upalne dni zawsze wyglądał, jakby ktoś oblał go wiadrem wody. Obrzydliwe.

Na widok Wiktora Andrzej wyszczerzył swoją chlubę – śnieżnobiałe zęby, a właściwie implanty, które zafundował sobie tuż przed apokalipsą.

– Co dokładnie mam zrobić? – zapytał Wiktor, choć spodziewał się, co mniej więcej usłyszy.

– No jak to co? Pozbądź się go! Na litość boską, jest ze trzydzieści stopni! Pojechało cię do reszty? – Andrzej odłożył plik dokumentów na biurko i nabrzmałymi palcami zatłuścił i tak już tłuste czoło, ścierając z niego wieczny pot.

– Lepiej popatrz na siebie... Rozumiem, że chciałeś pogadać o moim płaszczu? – Głos Wiktora zdradzał zniecierpliwienie. Tego dnia było naprawdę gorąco i miał kilka innych pomysłów niż siedzenie w towarzystwie przepeconego szefa i przyjaciela.

– Tak, Witku, wezwałem cię, bo potrzebuję specjalisty od letnich trendów w modzie, a nikt nie zna się na nich tak jak ty. – Kolejny uśmiech, któremu towarzyszył rechot przypominający skrzyżowanie skrzywienia drzwi z odgłosem zarzynanej świni, miał sygnalizować żart, ale twarz Wiktora pozostała niewzruszona. – Kurwa, istny Buster Keaton. Nie mam pojęcia, jak wytrzymaliśmy ze sobą te wszystkie lata... Siadaj!

Andrzej wymierzył pod biurkiem kopniak fotelowi na kółkach, a ten niezdarnie potoczył się w stronę detektywa. Wiktor usiadł i spojrzał na szefa.

– Z dwojga złego naprawdę wolę spędzić dzień z rodziną niż z tobą, więc mów, o co chodzi, albo zobaczymy się w poniedziałek – powiedział.

– Dobra, jest sprawa, ale na razie musi zostać między nami. – Andrzej spoważniał, choć niewiele osób byłoby to w stanie stwierdzić, patrząc na niego w tej chwili. Wiktor zaliczał się do szczupłej garstki wątpliwych szczęśliwców, którzy potrafili tego dokonać. – Za wcześnie, żeby cokolwiek wyrokować, ale to naprawdę przedziwna sprawa i wątpię, by ktokolwiek poza tobą mógł rzucić na nią jakieś światło.

– Wzruszyłem się. Mów, o co chodzi – rzucił beznamiętnie Wiktor.

– Jedna z naszych grup, wpadła na coś wczoraj...

– Chyba nic już nie jest mnie w stanie zaskoczyć po ostatnich latach.

– A jednak, Witku, myślę, że jest coś takiego. Znaleźli miejsce, które powinieneś obejrzeć. Może bardziej tak: które chciałbym, żebyś obejrzał. Wiem, że dopiero co wróciłeś, ale potrzebuję kogoś zaufanego. Dostaniesz Darka, bo się kumplujecie.

– A może skoczę tam z żoną i dziećmi, co? – Wiktor nie cierpiał takiego krążenia wokół tematu. To zawsze wyprowadzało go z równowagi w kryminałach, które czytał głównie po to, by przez chwilę nie myśleć, a rzadziej, by się pośmiać z niewiedzy i niedorzecznych pomysłów ich autorów. Lubił książki i filmy, w których coś się działo, a akcja nigdy nie tkwiła zbyt długo w martwym punkcie. Kiedy autor uciekał od tematu, proponując zamiast dobrej fabuły głęboki wgląd w psychikę i przeszłość bohaterów, Wiktor był w stanie rzucić książką albo nawet podrzeć ją na strzępy. Między innymi dlatego nie sięgał zbyt często po literaturę: wolał oszczędzić sobie zawodu. – Mówże, o co chodzi.

Andrzej posłał po biurku zbindowany plik.

– Rzuć na to okiem i powiedz, co o tym sądzisz – mruknął. – Chłopcy znaleźli coś takiego kilka kilometrów za F2-Wilno – kontynuował, podczas gdy Wiktor kartkował dokumenty. – Jedno ciało, strzał w głowę. – Sięgnął po karafkę wypełnioną do połowy złocistym płynem i odkorkował ją wprawnym ruchem. Następnie postawił na biurku dwie szklanki z grubym dnem. Do jednej nalał połyskującą w świetle słońca ciecz. Spojrzał na Wiktora pytająco, a gdy ten nie zareagował, szybko nappełnił drugie szkło i popchnął je delikatnie w stronę detektywa. Wiktor, nie odrywając wzroku od kartek, pociągnął duży łyk whisky. Andrzej odstawił karafkę i rozsiadł się wygodnie w fotelu ze szklanką w dłoni. – Wiadomo, walające się trupy z przedziurawionymi łbami nie robią już na mnie wrażenia, ale po kiego wała ktoś zabija w ten sposób człowieka?

Wytłumaczysz mi to? Zresztą to nie jedyna ciekawa sprawa w tej miejscówce...

Wiktor przestał przewracać strony broszury, a jego oczy gwałtownie się rozszerzyły. Zdjęcia, które obejrzał do tej pory, każdego normalnego przyprawiłyby o wymioty: krew, powykręcane ciała umarłaków ze zmianami anatomicznymi, a do tego te zbliżenia odsłaniające całą potworność każdego sfotografowanego przypadku. Prawdziwa jatka. Na szczęście Wiktor wiedział, jak się chronić przed niechcianym opróżnieniem treści żołądka – wziął kolejny haust whisky. Jedyna wada tej metody polegała na tym, że przy zbyt dużej dawce leku skutek mógł być odwrotny od zamierzonego. Ale o tej porze dnia Wiktorowi jeszcze sporo do tego brakowało. Poza tym widział już w życiu tyle, że nawet takie okropieństwa wzbudziły w nim jedynie niesmak.

Bardziej interesujący był następny w kolejności kadr, ten, na którym się zatrzymał: ciało żywego trupa, przywiązane pasami do łóżka przypominającego szpitalne. Na zwłokach nie było żadnych ran, oprócz tych po infekującym ugryzieniu. Nie było też śladu tortur, jak na zwłokach z poprzednich zdjęć. Ofiara leżała na plecach z otwartymi, nieruchomymi oczami. Najistotniejsze jednak było to, że nie miała dziury w głowie, ani choćby najmniejszego uszkodzenia czaszki, przynajmniej z przodu. Tył czaszki też nie nosił śladów urazów czy ran, o czym świadczyło kolejne zdjęcie.

– Czy... ten... umarłak... – Wiktor zaczął się plątać, nie wiedząc, czy sprawił to alkohol, czy gonitwa myśli wywołana szybką analizą kadru.

– Tak. – Andrzej mlasnął. – Też pierwszy raz coś takiego widzę. Chłopcy to sprawdzili i na sto procent śmierć nie została zadana w typowy dla nich sposób.

– A igła? Może tak to zrobili? – Język Wiktora nadal nie poddawał się pełnej kontroli.

– Nieee. – Andrzej pociągnął solidny łyk. – Daria zbadła go dokładnie. Była akurat na miejscu, przetransportowała go do naszej kostnicy i przebadła wczoraj wieczorem. A jak Daria przebadła to...

– ...nie ma mowy o pomyłce.

Daria, tak jak Wiktor, pracowała przed apokalipsą w policji. Była technikiem, zabezpieczała miejsca zbrodni. Wiktor nie znał jej w tamtych czasach, ale po konflikcie z żywymi trupami, kiedy trafiały im się nieliczne sprawy do rozwiązania – okazało się bowiem, że nawet apokalipsa nie powstrzyma ludzi przed zbrodniami, taka paskudna natura – przekonał się do jej metod pracy. Daria była dokładna. Czasami doprowadzało go to do szewskiej pasji – wołał szybką analizę i natychmiastową reakcję – ale w tej metodyczności była metoda. Powoli, krok po kroku drążyła temat, parła do celu i w końcu dostarczała Wiktorowi coś, co pozwalało mu działać. Oczywiście Wiktor był znakomitym analitykiem, ale ograniczał się do analizy zdarzeń i ludzi, a nie śladów z miejsca zbrodni – te pozostawiał Darii, niekwestionowanej pani i władczyni ich bestialskiego królestwa.

– Czyli mamy niewyjaśnioną śmierć niemartwego, który zmarł ostatecznie nie od rany głowy... – Wiktor powiedział to bardziej do siebie niż do siedzącego naprzeciwko przewodniczącego Fortu Wilno. Wydoił do końca płyn falujący na dnie szklanki.

– I niewyjaśnioną śmierć człowieka, który zmarł, również ostatecznie. – Andrzej znów zarechotał, komunikując Wiktorowi, że właśnie dał mu szansę obcowania ze znakomitym żartem słownym – od rany głowy. A właściwie od kulki w łeb.

Wiktor przerzucił kilka stron i ponownie zatrzymał się na moment. Patrzył na zdjęcie wysokiego przystojnego mężczyzny z lekkim zarostem, leżącego na podłodze ze wzrokiem utkwionym w suficie i dziurą po kuli na samym środku czoła. Na podłodze widać było ślad po kałuży krwi. Mężczyzna miał na sobie biały kitel, przypominający strój lekarza albo pracownika laboratorium medycznego.

– Co o nim wiemy? – Wiktor posunął pustą szklankę po blacie w stronę Andrzeja, który niechętnie dolał do niej whisky.

– Niewiele, Witku, niewiele. – Andrzej uzupełnił też swoje szkło. – Dlatego właśnie cię wezwałem. Nie mam takiego nosa jak ty, z nas dwóch to ty od zawsze byłeś psem... – Liczba żartów słownych Andrzeja była wprost proporcjonalna do ilości wypitego alkoholu, a w tym przypadku nie były to pierwsze dwie szklanki whisky tego dnia. – Ale coś mi tu śmierdzi. Intuicja...

– Andrzej, przecież ty nie masz pojęcia, co to znaczy... – wtrącił odruchowo znudzonym głosem Wiktor.

– E, tam, nazywaj to sobie, jak chcesz. – Andrzej machnął ręką, wylewając przy okazji na koszulę odrobinę whisky, która zmieszała się z plamami potu na jego piersi. – W każdym razie to może mieć związek z atakami. Nie mówimy o tym ludziom, bo nie chcemy paniki, ale obaj doskonale wiemy, że coś się dzieje. Jeszcze kilka miesięcy temu ataki były sporadyczne, a teraz? Może nasze umarlaki wcale nie są takie głupie i dokonują wendety za akcje tych harcerzyków z Panter?

– Może... Masz jakieś podejrzenia co do tamtego zabójstwa? Kto mógł to zrobić i dlaczego?

– Witku, jak mówię, ty tu jesteś detektywem i psem w jednej osobie... Choć nie wiem, czy osoba może być jednocześnie psem... – Andrzej zastanawiał się nad czymś przez chwilę intensywnie, ale szybko się poddał. – Niezależnie od tego, zabieraj się za węszenie. Jeśli jednak już mnie pytasz, obstawiałbym właśnie Pantery. Sprawiają nam ostatnio najwięcej problemów, więc nie dziwiłbym się, gdyby nie tylko zabijali umarlaków, ale przed ich zabiciem jeszcze torturowali... Nie mówię, że to coś złego, bo w sumie należy im się taka ostateczna śmierć za to wszystko, niemniej patrząc na te zdjęcia, myślę, że do czegoś takiego zdolni są tylko ci popaprańcy z Panter.

– Hm... Ale po co mieliby zabijać tego gościa?

– Nie wiem, ale chętnie się dowiem. Dlatego weź z domu, co tam potrzebujesz, i jak najszybciej jedź na miejsce. Przygotuję ci transport i zespół do ochrony.

– Ale jak? Dzisiaj?! Andrzej, dopiero wróciłem! Hanka mnie zabije, a znacznie bardziej boję się śmierci z jej ręki niż ze szczęki umarłaka...

– Chyba się nie zrozumieliśmy. To nie jest prośba, to jest rozkaz. – Andrzej znów spoważniał.

Detektyw jednym łykiem opróżnił szklanekę i odstawił ją z głośnym stuknięciem na biurko.

– Spotkanie z tobą jak zwykle było czystą przyjemnością – powiedział, cedząc słowa, i wyszedł z gabinetu.



– Tatusiu, obudź się!

Marzył o jeszcze choćby dwóch minutach snu, ale jej głosik był tak słodki, że po prostu musiał mu ulec. Z trudem otworzył jedno oko po kolejnej nieprzespanej nocy. Maja siedziała okrakiem na jego brzuchu, jak to miała w zwyczaju. Uśmiechnęła się promiennie, widząc, że udało jej się wyrwać tatę z objęć Morfeusza. Dobrze wiedziała, kim jest Morfeusz, choć miała dopiero siedem lat. Wszystko dzięki *Herkulesowi*, którego niedawno obejrzeli na DVD. Maja uwielbiała filmy Disneya, zresztą kto ich nie uwielbiał? Ale *Herkules* szczególnie przypadł jej do gustu. Z powagą podkreślała, że to jeden z dwóch najlepszych filmów, jakie widziała w swoim krótkim życiu. Drugim był *Król Lew*. Zainteresowanie *Herkulesem* pociągnęło za sobą eksplorację mitologii greckiej. Nie była to wprawdzie tematyka odpowiednia dla kilkuletniej dziewczynki – brutalność, podstępność i ciągle przekraczanie tabu przez bogów i herosów starożytnej Grecji odrzucało nawet jego – a jednak Maja uznawała mity greckie za świetną lekturę. A ponieważ to klasyka, uznali z Agą, że nie będą zabraniać córce rozwijania jej osobliwych zainteresowań.

Maja była nad wyraz dojrzała emocjonalnie jak na swój wiek. Wyglądała wprawdzie jak zwykła, siedmioletnia dziewczynka z długimi, rozpuszczonymi włosami w kolorze kasztanów i nigdy nieznikającym z twarzy radosnym uśmiechem, co odziedziczyła po mamie, oraz

głębokimi szaroniebieskimi oczami, które miała po nim. Rozsadzała ją energia, wszędzie było jej pełno, kiedy jednak zaczynała się wypowiadać na jakiś temat, ostrożnie dobierała słowa i na bieżąco zdawała się analizować swoje stwierdzenia. Potrafiła zaskakiwać porównaniami i sentencjami, jakich trudno byłoby się spodziewać po siedmiolatce. Ale niektóre dzieci tak mają – są w stanie znacznie trafniej i prościej wyrazić to, co dorosłym wydaje się wręcz niemożliwe do ubrania w słowa. Maja robiła to naturalnie, bez wysiłku – jakby od zawsze wiedziała, co i jak należy powiedzieć. Na wiele rzeczy był w życiu przygotowany, ale nigdy na złote myśli Mai. Najbardziej rozczułały go jej proste, a przy tym niebanalne i głęboko przemyślane wyznania miłości, które docierały do jego uszu w najmniej oczekiwanych momentach. Robił wtedy taką minę, że Aga, jeśli tylko była w pobliżu, wybuchała szczerym śmiechem, a nierzadko w jej oku kręciła się także łza.

– Kino! – oznajmiła Maja zdecydowanie, nie mogąc doczekać się właściwej reakcji z jego strony. Była cierpliwa, znacznie bardziej niż inne dzieci w jej wieku, ale nawet jej cierpliwość miała granice.

– Kino? – wymamrotał wciąż jeszcze zaspany, zerkając w jej szeroko otwarte oczy. – Jakie kino, myszko?

Lubił się z nią drażnić. To była zabawa, w której obydwójce świetnie odgrywali swoje role. Często się zastanawiał, dlaczego tak bardzo lubili te przekomarzanki. W jego przypadku wynikało to ze skrywanego głęboko pragnienia, by wszystkie spory i kłótnie były właśnie takie – bardziej na żarty niż na serio i by obie strony zachowywały do nich dystans. Wtedy wszystko byłoby prostsze, a każda różnica zdań stawałaby się okazją do śmiechu, a nie łez. A za co Maja lubiła tę zabawę? Nie sposób było przeniknąć jej umysłu i nawet tego nie próbował, ale wierzył, że gustowała w niej po części z tych samych powodów co on.

– Tatusiu, nawet sobie nie żartuj! – zawołała z oburzeniem. – Idziemy na *Meridę waleczną*.

– *Meridę stateczną?* – dopytywał z udawanym zdziwieniem.

– *Waleczną.* Ona jest jak Herkules, tylko że jest kobietą. Heroiną.

To był dla Mai zasadniczy problem, jeśli chodzi o greckie mity: brakowało w nich walecznych kobiet, które decydowałyby o losach historii. Sami mężczyźni, żadnych heroin – tego właśnie słowa lubiła używać. Był ciekaw reakcji nauczycielki, kiedy jego córka pewnego dnia wygłosi jej jeden ze swoich wykładów o heroinie, na przykład rzeczonyj Meridzie walecznej. Pewnie jeszcze tego nie zrobiła, bo ani on, ani Aga nie musieli się stawić w szkole, by wysłuchać nawiedzonego kazania kobiety, która poucza o narkotykach, choć nie odróżnia marihuany od kokainy. Mimowolnie uśmiechnął się, próbując sobie wyobrazić reakcję wychowawczyni.

– Tatusiu, nie widzę w tym nic śmiesznego – strofowała go Maja. – Jak dorosnę, chcę być jak Merida.

Mógłby się założyć, że nie chodziło jedynie o bycie heroiną pokonującą wszelkie przeciwności losu, ale także o to, że Merida, jak wszyscy inni bohaterowie filmów animowanych dla dzieci, była nieśmiertelna. Maja bez trudu dostrzegła tę przewagę filmów nad mitami i już od dłuższego czasu darzyła je większą sympatią niż greckie opowieści. Może to świadczyło o jego niedojrzałości, ale on także uwielbiał właśnie to w filmach dla dzieci i jak dziecko cieszył się na każdą wizytę w kinie z Mają. Podobała mu się wizja długiego i szczęśliwego życia po zwycięskiej walce ze złem. Była oczywiście całkiem niezyciowa, ale urzekająca i kojąca. W jego przypadku „długo i szczęśliwie” wyglądałoby właśnie tak jak teraz: trwające wieczność przekomarzanie się z Mają. Z drugiej strony martwił się na samą myśl, jak Maja zareaguje na niektóre lektury szkolne, które już za kilka lat pojawią się na lekcjach języka polskiego. Miał wątpliwości, czy jego córka wyjdzie cało ze spotkania z *Anną Kareniną* czy *Cierpieniami młodego Wertera*. Teraz na pewno nie uznałaby tych książek za godne uwagi.

– A skąd ty o tym wszystkim wiesz? – Uśmiechnął się na widok jej poważnej miny.

– Czytałyśmy z mamusią w internecie. To taki wynalazek, który zmienia świat. Ale ty jesteś tak zapracowany, że mogłeś o tym jeszcze nie słyszeć.

Była radosną i pogodną dziewczynką, ale potrafiła wbijać szpile. Aż poczuł ukłucie w boku. Pomyślał, że wielu mistrzów akupunktury mogłoby się uczyć od niej precyzji i wyczucia.

– Wygląda na to, że będę się musiał do ciebie zapisać na lekcję korzystania z tego... Jak to się nazywa? Internetu... Muszę to sobie wygoogłać...

– No dobrze, już dobrze. Dość tych wyglupów! – zakomenderowała Maja. – Chodź na śniadanko, bo zaraz musimy jechać!

Nie wychodząc z roli, zeszła z niego i z poważną miną wymaszerowała z sypialni. Kiedy zamykała drzwi, odwróciła się w jego stronę, uśmiechnęła radośnie i pobiegła do kuchni.

– Któż to zaszczycił nas swoją obecnością? – W ustach Agi nawet ironia i sarkazm brzmiały pięknie, dlatego słysząc jej słowa, jedynie się uśmiechnął.

Przez chwilę miał wrażenie, że to dalsza część gry, którą przed chwilą prowadził z córką. Pozostał zatem w konwencji i dygnął niczym paź przed królową, a Maja wybuchnęła głośnym śmiechem, plując fontanną mleka z płatkami. Aga tylko wywróciła oczami z niedowierzaniem i westchnęła.

– Michał, przez te twoje wyglupy Maja się kiedyś udławi...

Aga stała przy kuchence elektrycznej, mieszając jajecznicę. Miała na sobie swój standardowy „strój roboczy”, czyli szare spodnie dresowe i różową koszulkę na ramiączkach. Wyglądała w tym bardzo seksownie, ale w jego oczach Aga zawsze wyglądała seksownie. Nie mógł się powstrzymać, by nie podejść do niej i nie objąć ją w pasie. Pocałował

ją delikatnie w szyję, wdychając odurzający świeży zapach jej bujnych, kasztanowych włosów.

– Co dziś w menu? – zapytał szeptem.

– Dowiesz się, jak wyniesiesz śmieci i przyniesiesz gazetę.

– Myślisz, że wypada tak w samej bieliźnie? – Tym razem miał ochotę poprzekomarzać się z Agą.

– Cóż, Paulina z naprzeciwka pewnie tylko na to czeka. – Pomyślał, że Maja odziedziczyła po Adze jeszcze jedną rzecz: umiejętność wbijanie szpili.

– Dobra, to lecę, bo ponoć zaraz musimy się zbierać. – Szybko zmienił temat, sięgając po worek ze śmieciami.

– Znów straszą pandemią grypy... – rzucił, kiedy wrócił z gazetą w ręce. W drodze do stołu, na którym czekało śniadanie, przeglądał dziennik, który Aga prenumerowała od kilku lat.

– Jaka tym razem, po ptasiej i świńskiej? Małpia? – Kochał ją za tę ironię, zwłaszcza wtedy gdy jej ostrze nie było wymierzone w niego. – I pewnie wypowiada się ta z telewizji, która zawsze zachęca do szczepienia się na grypę?

– Dokładnie. A potem się dziwią, że ludzie przestają wierzyć w szczepienia.

– Tatusiu, a Martyna i jej rodzice szczepili się na grypę i byli chorzy w tym roku – wtrąciła z powagą Maja, przytakując głową sama sobie.

– A my się nie szczepimy i nie chorujemy. Co innego szczepienia obowiązkowe, one mają sens, ale wirusy grypy ciągle się zmieniają i szczepionka nic tu nie pomoże – tłumaczył, przeglądając długi artykuł o ubiegłorocznym ataku świńskiej grypy w Małopolsce. Przerwał lekturę, kiedy autorka artykułu zniecka nawiązała do kalendarza Majów. Przeskoczył do rubryki sportowej.

– Nie wierzę w te wszystkie groźby pandemii. Pewnie najlepiej na tym wszystkim wychodzą producenci szczepionek, bo jak przychodzi

co do czego, okazuje się, że w ramach pandemii zmarło kilkadziesiąt osób. Śmieszne. – Widać było, że ten temat wyjątkowo irytuje Agę.

– Zmieniając temat na nieco mniej kontrowersyjny, o której mamy seans? – Odłożył gazetę i zabrał się za jajecznicę.

– O jedenastej pięćdziesiąt? – zapytała Aga, zerkając na Maję. Dziewczynka przytaknęła kilkakrotnie szybkimi ruchami głowy, ukazując przy tym śnieżnobiałe zęby w szerokim uśmiechu.

– No to czasu rzeczywiście nie ma za wiele. A bilety...

Zanim zdążył dokończyć zdanie, stołem zatrzęsa wibracja jego telefonu, a zaraz po niej kolejna i kolejna.

– Mamy bilety? – zapytał, podnosząc komórkę i patrząc na wyświetlacz.

– Nie. Dlatego musimy być duuuużo wcześniej w kinie. Będzie czas na lody. – Ten sam, szeroki uśmiech znów zagościł na twarzy Mai.

– To z pracy, muszę odebrać. – Wiedział, co oznaczają takie telefony w sobotni poranek i zdawał sobie sprawę z tego, że czeka go ciężka rozmowa z Agą. Tym razem to już nie będzie przekomarzanka, a raczej kolejna kłótnia, która zakończy sielankowy weekend tak szybko, jak się zaczął.

Odebrał telefon. Przez chwilę stał bez słowa, a potem powiedział tylko:

– Jasne, rozumiem. Zaraz tam będę.

Błyskawice, które pojawiły się w szmaragdowych oczach Agi, zwiastowały nadciągającą burzę. Po raz kolejny ich weekendowe plany pokrzyżowała jego praca.

– Pojedziesz z Mają do kina? – wymamrotał, odwracając wzrok i kończąc w pośpiechu jajecznicę.

– A mam wybór? – Aga próbowała studzić emocje, cedząc słowa.

– Mogę pojechać z Mają na kolejny seans, przecież nie mamy jeszcze biletów. – Próbował ratować sytuację, ale tylko się pogryzał.

– Możesz, co nie zmienia faktu, że i tak nie mamy z kim zostawić Mai, a ja jestem umówiona z Grażyną na basen. – Aga siedziała naprzeciwko

niego z założonymi rękami i świdrowała go spojrzeniem. – To zapewne coś niecierpiącego zwłoki, co?

– To ja może pójde do mojego pokoju – przerwała im Maja przyciszonym głosem i ze smutną miną wyszła z kuchni.

– Widzisz, co robisz? Wiesz, jak Maja czekała na to wyjście z tobą?! – Aga podniosła głos. Była teraz jak przegrzany silnik parowy tuż przed wybuchem.

– Co robię? Co ja takiego robię? Przecież to moja praca, muszę skonsultować ten przypadek, inaczej pacjent może umrzeć! Czy to tak trudno zrozumieć? – Właściwie nikt nie potrafił go wyprowadzić z równowagi i wyzwolić tej na poły zwierzęcej wściekłości, nikt poza Agą. Niegdyś obawiał się przede wszystkim nieprzyjaciół. Teraz niepokój rodzili w nim głównie ci, których kochał. Z jednej strony bał się o nich, bał się, że może ich stracić, z drugiej odczuwał lęk, bo znali go najlepiej i wiedzieli, jak najłatwiej i najdotkliwiej można go zranić. Miał też świadomość, że ci, których kochał, wyzwalali w nim to, co najlepsze, ale i najgorsze. Dlatego najbardziej obawiał się kłótni z osobą, którą kochał tak mocno jak Maję – ze swoją żoną.

– Ale dlaczego zawsze ty? Nie ma tam innych specjalistów? A poza tym może, zamiast ratować życie innych, weźmiesz się za ratowanie naszego życia, bo jak tak dalej pójdzie, nic z niego nie zostanie!

– Aga, proszę cię, skończ z takimi tekstami! Ratowanie naszego życia? A co mu niby zagraża? Rozpada się, bo czasem muszę pojechać do szpitala skonsultować trudny przypadek? A gdybyś to ty tam trafiła? Albo Maja? A mnie by tam nie było, bo zamiast ratowania życia wybrałem wyjście do kina? Pomyśl czasami, zanim coś powiesz, bo nie mam siły na takie pieprzenie! – wyrzucił z siebie z agresją, miotając się po kuchni. Ostatnie słowa podkreślił trzaśnięciem drzwiami kuchennej szafki. Talerze i szklanki zadźwięczały głośno.

– Ostatnio nie masz siły na żadne pieprzenie – wycodziła Aga i wyszła z kuchni.

Kilkanaście minut później był już w samochodzie. Zwykle prowadzenie sprawiało mu przyjemność i uspokajało, ale nie tym razem. Wybijając rytm mocnymi uderzeniami pięści o kierownicę, rzucał „kurwami” i „chujami” na lewo i prawo za każdym razem, gdy zatrzymywało go czerwone światło. Oberwało się też pieszym i kierowcom, których miał nieszczęście spotkać tego dnia na drodze, niezależnie od tego, jak szybko i dobrze prowadzili swoje samochody. Ani myślał przy tym stosować się do przepisów ruchu drogowego, ignorując ograniczenia prędkości, ciągłe linie i żółte światła. Głośny ryk silnika wtórował nowej płycie Foo Fighters, która niemal rozrywała samochodowy system audio. Zatrzymał się na szpitalnym parkingu z głośnym piskiem opon, dokumentując to długim czarnym śladem hamowania.

Piracki rajd ulicami Katowic stwarzał wprawdzie pewnego rodzaju zagrożenie dla innych uczestników ruchu drogowego, ale według niego znacznie mniejsze niż ewentualne tłumienie złości, która mogłaby wybuchnąć w najmniej oczekiwanym momencie przy stole operacyjnym. Nie można powiedzieć, że czuł się lepiej, ale przynajmniej przeszła mu ochota na zabijanie każdego napotkanego człowieka. A to już coś.

Operacja się udała. Co prawda było jeszcze za wcześnie, by określić, jak szybko pacjent wróci do pełnej sprawności i czy w ogóle do niej wróci, ale zagrożenie życia minęło. Choć wszystko skończyło się dobrze, wciąż był wkurzony, bo wiedział, że Grzegorzcyk poradziłby sobie z tym przypadkiem, a on mógłby spędzić spokojny weekend z rodziną. Teraz nie było już na to szans – po powrocie do domu czekał go drugi akt przedstawienia, które rozpoczęli z Agą przy śniadaniu. Niestety, na palcach jednej ręki mógł policzyć przypadki, kiedy kończyło się na trzyaktówce, a nadzieja na dwuaktówkę była jak wiara w wygraną w lotka.

Jedynym ratunkiem mogły się okazać lody czekoladowe z lodziarni w pobliżu domu. To był daleki strzał i wcale nie zapewniał sukcesu, ale warto było spróbować. Zwłaszcza że w mieście panował przeraźliwy skwar. Ruszył energicznym krokiem w stronę dyżurki, by się przebrać. Powinien zdążyć kupić lody i wrócić do domu przed dziewczynami, żeby wszystko przygotować i zaskoczyć je – dla odmiany pozytywnie. Kiedy wchodził do dyżurki, podbiegła do niego pani Lucyna, pracująca w szpitalu od niepamiętnych czasów.

– Panie doktorze, dobrze, że jeszcze pan jest! – wydusiła, z trudem łapiąc oddech.

– Właśnie miałem wychodzić... Coś się stało, pani Lucynko?

– Wiozą nam kogoś z wypadku, podobno paskudna sprawa. – Mówiła szybko i niewyraźnie. Mimo lat przepracowanych w szpitalu podchodziła do swojej pracy bardzo emocjonalnie. – Może mógłby pan zostać jeszcze chwilę. Tak na wszelki wypadek...

– Pani Lucynko, jest przecież doktor Grzegorzcyk. Ja naprawdę muszę wracać do domu.

Poczuł wibrację w kieszeni spodni. Miał złe przeczucia. Podświadomy lęk przed sięgnięciem po komórkę i sprawdzenie, kto dzwoni. Spojrzał na pielęgniarkę, potem na swoją kieszeń. Telefon już nie wibrował, lecz szalał, jakby chciał się wyrwać z jego spodni. W końcu sięgnął po niego niepewnie i spojrział na wyświetlacz. Nieznany numer. Serce zabiło mu mocniej, ścisnął aparat i znów popatrzył na panią Lucynę. Pociemniało mu przed oczami. Telefon drżał jak w agonii. Już miał odebrać połączenie i przerwać jego drgawki, gdy...

Obudził się. W pokoju rozchodził się głośny, wibrujący pomruk śpiącego na podłodze wilka. Odgłosy te z trudem przebijały się przez symfonię deszczu bębniącego o dach jego chatki i grzmotów buczących w oddalonym źle nastrojone kotły orkiestrowe. Przed nim, na hamaku, tak jak

ją zostawił przed zaśnięciem, leżała dziewczyna z zamkniętymi oczami. Oddychała równomiernie i spokojnie. Wyglądała teraz tak niewinnie, że bardziej przypominała dziecko niż nastolatkę. Przymknął oczy, choć wiedział, że już nie zaśnie. Zresztą wcale tego nie chciał. Bał się conocnych powrotów do świata tego właśnie snu i jeśli miałby wybierać, wybrałby bezsenność. Niestety, sen, jak na złość, przychodził co noc, a wraz z nim zawsze ten sam koszmar.

Dziewczyna poruszyła się na hamaku. Spojrzał w jej kierunku. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i wydało mu się, że skądś znał to spojrzenie. Chciał coś powiedzieć, ale sam nie wiedział co. Musiał przypomnieć sobie odpowiednie słowa. Dziewczyna trwała w bezruchu.

– Spokojnie. Jesteś bezpieczna. Uratowałem cię – wyszeptał w końcu, tak aby nie zbudzić śpiącego wilka.

Dziewczyna poruszyła się niespokojnie, jakby dopiero teraz dotarło do niej, co się stało i gdzie się znalazła. Przez jej twarz przemknął grymas przerażenia, lecz po chwili ustąpił miejsca uśmiechowi. Ale na jej obliczu nie rysowała się radość i wdzięczność, o nie. Raczej niedowierzanie zmieszane z szaleństwem. Coś jak uśmiech Jacka Nicholsona w *Lśnieniu*. To był jeden z jego ulubionych filmów Stanley'a Kubricka, którego swego czasu wielbił i którego filmy oglądał kilku-, a może nawet kilkunastokrotnie w czasach liceum i studiów. Poczł dreszcz na plecach. Dopiero teraz przypomniał sobie sceny z polany. Przed oczami stanęła mu rozkładająca się kreatura próbująca zagłębić zęby w jego ciele.

– Bezpieczna?! – z furią wrzasnęła dziewczyna, podrywając się z hamaka i budząc przy tym wilka. – Kim ty w ogóle jesteś i skąd się wzięłeś? I kto powiedział, że potrzebuję ratunku?



No gdzież on jest? Ta zwłoka grała jej na nerwach. O Weronice można było powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że była cierpliwa. Teraz dla zabicia czasu po raz trzeci nerwowo sprawdzała swój karabin snajperski i zapas naboju. W przeciwieństwie do niej Aleks, nie okazując żadnych emocji, stał oparty o ścianę czegoś, co jeszcze trzy lata temu było jednopiętrowym domkiem jednorodzinny. Teraz, gdy wszystkie okna były wybite, a na pozostałej części murów i szczątkach dachu wspartego na zdobionych kolumnach odznaczało się piętno pożaru, można było sobie tylko wyobrazić, jak piękny był to budynek, zanim popadł w ruinę. Musiał idealnie pasować do urokliwej, niemal idyllicznej okolicy graniczącej z jednej strony z lasem, a z drugiej ze spokojnym strumykiem. Widok rozpościerający się stąd na Bieszczady zapierał dech w piersiach, ale Weronika, podobnie jak Aleks, nie zwracała uwagi na okoliczności przyrody, wypatrując osoby, na którą czekali. Aleks wprawdzie zachowywał spokój, ale i jemu udzielało się zniecierpliwienie. Weronika wiedziała, jak ważna to akcja dla jej dowódcy, i tym tłumaczyła sobie jego rozdrażnienie, choć tak naprawdę okazywał je już od kilku dni, czyli od powrotu.

Mieli się spotkać o świcie, a od świtu minęło już dobre kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt minut. Weronika była wściekła na siebie, bo to ona wciągnęła do ich grupy Mause, a zatem odpowiedzialność za ewentualne

fiasko akcji spadłaby na nią. Z przerażeniem myślała, jak mogłoby wyglądać jej funkcjonowanie w Panterach, gdyby przystała na nieustanne prośby młodszej siostry, Sary, która przez ostatnie miesiące błagała, by do nich dołączyć. Sara na pewno lepiej dogadałaby się z Alekssem, bo ten nie przepadał za Mausem, ale z dwojga złego wolała przyjaciela sprzed lat. Z siostrą pewnie darłaby koty, na dodatek naraziłaby ją na śmiertelne niebezpieczeństwo, a tego jej rodzice nie przeżyliby już. Fakt, że jedna z ich córek walczy w Panterach był dla nich wystarczająco trudny do zaakceptowania. Zresztą Sara nie pasowała do Panter, nie rozumiała ich ideałów i celów. Chciała po prostu być jak starsza siostra, bo za nią tęskniła. Miała jej za złe, że dołączyła do Panter, ale przecież, choć może trudno było to dostrzec, Weronika walczyła o lepsze życie i mniej chory świat właśnie dla niej.

Weronika знаła Mausa jeszcze z dzieciństwa, przez wiele lat chodzili do jednej szkoły i mieszkali na tym samym osiedlu, ale potem ich kontakt niespodziewanie się urwał. Spotkali się dopiero niedawno, całkiem przypadkiem i to było jak zrządzenie losu. Maus po kilku latach powrócił do rodzinnego domu z nadzieją, że znajdzie tam bliskich, z którymi rozdzieliła go apokalipsa. Liczył na to, że zastanie tu Weronikę, ale spotkał jedynie Sarę i to od niej dowiedział się, że jej siostra służy w Panterach. Tak przynajmniej przedstawił to Weronice, która od tamtego czasu nie kontaktowała się z Sarą. A potem, jak to on, nie mógł odpuścić i trafił tutaj. Cały Maus – kiedy czegoś chciał, potrafił to osiągnąć za wszelką cenę. Według Weroniki to było ostatnie miejsce dla tak dobrej i pełnej ciepła osoby jak Maus. Niestety, albo stety, po odświeżeniu dawnej znajomości Weronika po prostu nie mogła mu odmówić. Jako nastolatka wyplakiwała się mu na ramieniu, był też jedynym człowiekiem, który potrafił ją naprawdę rozśmieszyć. Był jej przyjacielem, dlatego został z nimi mimo początkowych obiekcji Aleksa. Jednak teraz, kiedy zdobył informacje

o dziewczynie i namierzył miejsce obrzędu, zyskał w oczach dowódcy i stał się pełnoprawnym członkiem ich zespołu.

Aleks rzeczywiście przez długi czas nie widział miejsca dla Mause w ich szeregach. Ale taki już był – gdyby mógł, walczyłby samotnie, by nie narażać innych. Oczywiście nigdy nie przyznałby się do takich pobudek, ale przez ostatnie kilka miesięcy Weronika dobrze go poznała. Sam nie miał nic do stracenia, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że oprócz niego żyją jeszcze na świecie inni ludzie. A oni mieli bliskich, których chcieli chronić, mieli też plany z nimi związane. Rodzina była dla niego najważniejsza. Weronice ścisnęło się serce, gdy myślała o tym, co spotkało jego rodziców i brata. To dlatego tak zajadle nienawidził umarłaków – bardziej niż ktokolwiek inny w Panterach, a było w nich kilku speców od nienawiści.

Jednak Aleks, który według Weroniki jako jedyny w tych nieświętych czasach mógł aspirować do miana świętego, nie był niepoprawnym idealistą i miał świadomość, że tej wojny nie wygra w pojedynkę. Do tej pory zresztą można było mieć wątpliwości, czy w ogóle była ona do wygrania, ale ten dzień mógł wszystko zmienić. Według Aleksa mógł ich zbliżyć do osiągnięcia ich jedyne go celu – ocalenia ludzkości przed plagą zombie. Nie chciał jeszcze mówić jak, ale mu wierzyła, bo komu, jak nie jemu?

Gdyby się udało, byłby to najważniejszy dzień w historii i to nie tylko dla Panter, które walczyły o przywrócenie rzeczywistości bez umarłaków – o świat, w którym znów rządzą ludzie i w którym człowiek, ukoronowanie boskiego stworzenia, znów jest najważniejszy. Teraz, gdy apokalipsa odsiała większość słabych ogniw, otwierała się zupełnie nowa perspektywa – świata jeszcze doskonalszego niż przed atakiem żywych trupów. Należało jedynie eksterminować umarłaków i oddać ludziom należną im ziemię. To było stawką i o to walczyli nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim dla swoich rodzin i dzieci.

Dla Weroniki taka wizja była czymś, za co nie tylko warto, ale nawet należy przelać krew. W jej rodzinnym domu zawsze na pierwszym miejscu stawiano wartości patriotyczne. Mama i tata w każde święto państwowe wywieszali biało-czerwoną flagę. To zresztą były najważniejsze święta dla jej rodziny. Od najwcześniejszych lat słyszała opowieści o drugiej wojnie światowej, w której walczył jej dziadek. Ale to ojciec wpoił jej ideały polskiego patrioty, nauczył, że najważniejsze są Bóg, Honor i Ojczyzna, przybliżył heroiczną historię Powstania Warszawskiego i sprawił, że w sercu miała zawsze polskiego orzełka ze złotym dziobem i szponami. Dzisiaj według wielu Bóg umarł, honor nie miał znaczenia, a Polska zniknęła z map świata, jak zresztą wszystkie inne kraje, ale ona nadal była patriotką, a wpojone jej ideały nakazywały przepędzenie z tych ziem czegoś tak nienaturalnego i obrażającego człowieka jak żywe trupy. To był najgorszy z okupantów tych słowiańskich ziem i to z nim należało walczyć nawet za cenę krwi i życia – jak niegdyś Powstańcy. Ona nadal o nich pamiętała i chciała być taka, jak oni – bronić godności ludzkiej do końca.

– Gdyby nie to, że chodzi o dziewczynę i że tylko on wie, gdzie teraz dokonują się obrzędy przemiany, urwałbym mu łeb. – Aleks wpatrywał się w ziemię, ale mówił ostro i zdecydowanie. Nie żartował z tym urwaniem głowy.

W jego głosie pobrzmiwał ukraiński akcent. Wyglądał na Kozaka, zwłaszcza z tą swoją fryzurą, ale Weronika nigdy nie pytała go, skąd pochodzi, choć zawsze ją to ciekawiło – szczególnie jego akcent. Brzmiał jak ukraiński, ale równie dobrze mógł być rosyjski. Nie była specjalistką w tych sprawach i mogła się tylko domyślać. Nie chciała pytać, bo Aleks nigdy nic nie mówił o sobie i swojej przeszłości – pewnie nie bez powodu. Rozmawiał z nimi tylko o aktualnych zadaniach. Interesowała go tylko teraźniejszość. Zresztą dzisiaj nie było aż tak ważne, czy przed apokalipsą był Polakiem, Ukraińcem, Białorusinem czy Rosjaninem – cieszyła się, że był Słowianinem. Dawne różnice nie miały już znaczenia, bo gra toczyła

się o najwyższą stawkę: przetrwanie ludzkości, a oni byli na pierwszej linii frontu.

– Zaraz tu będzie... – odparła nerwowo, przestępując z nogi na nogę.

– Tylko nie mówcie, że się spóźniłem!

Jak na zawołanie, od strony lasu doszedł ich okrzyk, a chwilę później zza drzew wyłonił się Maus – niewysoki, dość pulchny mężczyzna po dwudziestce z dużymi, odstającymi uszami, którym zawdzięczał ksywę. Przez szyję przewieszoną miał dużą, czarną lornetkę, w rękach trzymał zszyty plik kartek. Na jego okrągłej twarzy niemal zawsze gościł uśmiech, a pogoda ducha bijąca od niego na odległość kontrastowała z chłodnym dystansem i apatycznością Aleksa. Byli jak *jin* i *jang*. Szczególnie jeśli chodzi o poczucie humoru, które było całkiem obce Aleksowi, Mause z kolei nigdy nie opuszczało – nawet w takiej chwili jak ta.

– No dobra, wybaczenie spóźnienie, ale nic tak nie wciąga jak znakomita lektura! A nie uwierzycie, co wczoraj znalazłem w jednym z samochodów! Scenariusz pilota serialu kryminalnego! Nazywa się *Dowód tożsamości* i zaczyna się od śmierci, a właściwie od samobójstwa głównego bohatera. Niezłe, co?

Maus był niespełnionym pisarzem i scenarzystą – Weronika doskonale o tym wiedziała. Tuż przed apokalipsą, jeszcze na studiach kulturoznawczych, kiedy stać go było jedynie na wynajęcie małego pokoiku i zdezelowanego forda focusa, odciął się od rodziny i zerwał z dziewczyną, by ta nie odrywała go od tworzenia, a następnie oddał się pisarskiej pasji z nadzieją, że odmieni polski rynek kultury. Opowiadał Weronice o swoich pomysłach, miał nawet przygotowany abstrakt powieści i kilka rozdziałów, ale żadne wydawnictwo nie uwierzyło w jego talent. Żadne z wyjątkiem jednego, które miało mu jeszcze dać odpowiedź. Nie zdążyło, bo wybuchła apokalipsa. W ten sposób żywe trupy być może pozbawiły polską kulturę jednego z najwybitniejszych tekstów w historii. Choć Weronika mocno w to wątpiła, bo Maus był raczej maniakiem kultury popularnej, fanem

filmów Spielberga i sagi *Star Wars*, zagorzałym czytelnikiem powieści deł Stephena Kinga i pasjonatem amerykańskich seriali. Zresztą kochał wszystko, co amerykańskie, a w szczególności amerykańską kulturę, której Weronika zupełnie nie rozumiała i od której starała się trzymać z daleka, przynajmniej po okresie wczesnej nastoletniości.

– Czyli możemy ruszać. – Aleks pokręcił z niedowierzaniem głową, odepchnął się od ściany i skierował przed siebie. Weronika była mu wdzięczna, że nie skomentował zachowania Mause, jak miał to w zwyczaju. Widocznie to jej pozostawił opieprzenie go.

– Czekaliśmy na ciebie dobre kilkanaście minut! – wyszeptwała ze złością, podchodząc do Mause. – Zwariowałaś? To twoja pierwsza poważna akcja i od razu odstawiasz bydło!

Maus przygryzł wargę. Zawsze tak robił, kiedy się denerwował albo nie miał pomysłu na to, jak w żartobliwy sposób wybrnąć z krępującej sytuacji. Weronikę mało rzeczy bawiło – choć po trosze to była jej poza, dzięki której chciała zyskać szacunek Panter – ale tego rodzaju reakcja przyjaciela zawsze wywoływała uśmiech na jej twarzy. Był po prostu uroczy.

– No dobra, nieważne. Wiesz, gdzie to jest? – zapytała ostro, tłumiąc rozbawienie. Jej głos wciąż był przyciszony.

– Jasne, że wiem! – odparł urażonym tonem. – Póki co idziemy w dobrym kierunku i mamy jeszcze czas.

– Żebyśmy tylko się nie spóźnili. Wiesz, że od tej misji bardzo wiele zależy.

– Wiem – urwał Maus, ponownie przygryzając wargę.

Szli szybkim krokiem. Prowadził Aleks i to on nadawał tempo, utrzymując je niezależnie od terenu. Przypominał maszynę, która nigdy się nie męczy i niezależnie od warunków konsekwentnie zmierza do celu. O ile Weronika przyzwyczaiała się do kondycji Aleksa przez ostatnie kilka miesięcy, dla Mause był to kolejny szok. Z trudem łapał oddech, prac przed siebie, choć z każdym krokiem czuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

Ostatecznie, po kilku minutach marszu na granicy biegu, potknął się o wystającą z ziemi skałę i omal nie wyłożył się jak długi. Jakimś cudem zdołał jednak złapać nisko wiszącą gałąź, dzięki czemu uniknął kompromitującego upadku.

– Mało brakowało, a zaliczyłbym bliskie spotkanie trzeciego stopnia z ziemią! – zażartował, dysząc.

Maus uwielbiał przy każdej sposobności nawiązywać do powieści, filmów i komiksów lub cytować ich fragmenty w najmniej odpowiednich ku temu momentach. Weronika zdążyła się do tego przyzwyczaić, bo było to jego znakiem firmowym jeszcze w liceum, nie wiedziała jednak, jak na dłuższą metę zniesie to Aleks. On jednak nawet nie zauważył, że to był żart.

– Potrzebujesz chwili odpoczynku? – zapytała Weronika, zerkając to na Mause, to na Aleksa, ale na twarzy tego drugiego pojawiło się napięcie. Przyłożył palec do ust, nakazując ciszę.

Teraz również oni usłyszeli kroki. Kilka osób zbliżało się w ich kierunku w milczeniu. Sądząc po ich szybkim marszu, to raczej byli ludzie, ale niczego nie można było być pewnym. Aleks miał już w ręce swoją maczetę. Weronika pozostawiła karabin na ramieniu, ale sięgnęła do kabury przy pasku, wyjęła Glocka 17 i od razu go odbezpieczyła. Maus, zadeklarowany przeciwnik broni palnej, dobył noża bojowego, który dostał od Weroniki kilka dni temu. Aleks nakazał im gestem, by się ukryli. Sam przywarł do drzewa, a następnie wychynął zza niego, patrząc w stronę zbliżającej się grupy. Nagle krzaki tuż obok Mause poruszyły się. Zareagował instynktownie. Aleks i Weronika błyskawicznie skierowali wzrok w tamtą stronę, ale było już za późno.

Wysoka, smukła, krótko ostrzyżona brunetka wprawnym ruchem obezwładniła Mause, wykręcając mu rękę z nożem i odbierając broń. W drugiej ręce trzymała karabin szturmowy. Miała na sobie mundur

wojskowy w kolorze camo, dzięki któremu była niemal niewidoczna w leśnym otoczeniu.

– Patrycja... – mruknął Aleks.

– Ciebie również miło widzieć o poranku, Oleg. – Patrycja wykrzywiła usta w szyderczym uśmiechu. Użyła tego imienia z premedytacją – Aleks go nie znosił, czego potwierdzeniem był grymas, który na ułamek sekundy pojawił się na jego obliczu. Patrycja uśmiechnęła się szerzej.

Weronika słyszała o tym, że Aleks i Patrycja byli kiedyś ze sobą. Obserwując ich teraz, po raz kolejny uświadomiła sobie, dlaczego ten związek nie mógł przetrwać. Nie rozumiała, co Aleks mógł widzieć w Patrycji. Uważała ją za wredną sukę, ale być może właśnie w tym tkwiła odpowiedź. Jeśli coś łączyło ze sobą tych dwoje, to absolutny perfekcjonizm, który nierzadko, w jednym i drugim przypadku, przybierał postać wrednej suki. Aleksowi też się to czasem zdarzało, Patrycji znacznie częściej.

Dołączyła do nich trójka mężczyzn, wszyscy odziani w identyczne mundury i tak samo uzbrojeni. Patrycja spojrzała z politowaniem na Mausa, a następnie zatrzymała na dłużej wzrok na Weronice. Nie przepadały za sobą i żadna z nich nie zamierzała tego ukrywać. Potem znów popatrzyła na Mausa.

– Widzę, że obniżamy standardy rekrutacji – rzuciła kpiąco. – Co to za wycieczka?

– O standardach pogadamy wieczorem, kiedy skończymy to, czym właśnie się zajmujemy. Tonem głosu Aleks dawał do zrozumienia, że nie ma ochoty na przepychanki słowne. – Robimy swoje, wam radzę to samo.

– Taki mamy zamiar. – Patrycja wyzywająco spojrzała mu w oczy, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. – Powiedz mi tylko, Oleg, co wy kombinujecie? Słyszałam, że ostatnio masz świra na punkcie jakiejś dziewczyny... Mam się czuć zazdrosna?

– Słuchaj, nie mam teraz czasu na pogawędki... – odparł zniecierpliwiony i zapytał nagle: – Chcesz pomóc?

– Jas... ne – zająknęła się. Weronika nie miała wątpliwości, że Patrycja nadal coś czuje do Aleksa. Zresztą, która z nich czegoś do niego nie czuła?

– To spierdalaj z drogi, bo się spieszymy! – warknął Aleks.

Weronika mimowolnie uśmiechnęła się pod nosem, podobnie jak Maus. Oboje utkwili wzrok w ziemi.

– Oleg, wiesz co? Totalnie ci odwaliło – odwarknęła Patrycja i cofnęła się o krok. – Jeśli nie chcesz, nie mów, o co biega, gównu mnie to obchodzi. Ale jeśli będą z tego kłopoty, Komitet cię rozliczy.

– Wiem, a ty będziesz pierwsza wśród sędziów. Idź lepiej zabić kilku umarłaków, bo trochę ci jeszcze brakuje do mojego rekordu, a ważne rzeczy zostaw mnie.

Weronika uwielbiała Aleksa twardego. To był prawdziwy dowódca, za którym poszłaby w ogień. Cieszyło ją, że tak zbeształ Patrycję – od razu poczuła się lepiej i teraz to ona przeszywała tę wredną sukę wzrokiem.

– Czas pokaże, kto ma rację. Zresztą, jak zwykle, zapominasz, że mamy tych samych wrogów i te same cele.

– Z tym że ja skutecznie dążę do ich realizacji. Nie martw się, poruszę tę sprawę na Komitecie.

– Oj, nie wątpię, choć jak już wspominałam, gównu mnie to wszystko obchodzi.

Zarówno Aleks, jak i Patrycja trwali niewzruszeni, mierząc się nawzajem wzrokiem. Weronika i Maus patrzyli to na nią, to na niego, próbując odgadnąć, jak się skończy to starcie. Ani oni, ani mężczyźni, którzy przyszli z Patrycją, nie odważyli się wtrącić do tej słownej potyczki.

– Dobra, panowie, nic tu po nas – powiedziała Patrycja, patrząc w stronę swojego oddziału. – Zostawmy Aleksa i jego giermków. Mamy swoje rzeczy do zrobienia. – Kilkom susami dołączyła do oddziału, który ruszył w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Prowadź! – zakomenderował Aleks, patrząc w stronę Mause. – Tylko szybko, bo straciliśmy zbyt dużo czasu...

– Jasne, Aleks – odparł Maus.

Już niemal zapomniał o zadyszce. Ten krótki postój dobrze mu zrobił. Szybkim krokiem skierował się w dół niewielkiego wzniesienia, na którym się znajdowali. Aleks i Weronika ruszyli za nim.

– Nie powinniśmy już tam być? – rzuciła zniecierpliwiona Weronika, której słowa Patrycji cały czas nie dawały spokoju.

Maus zatrzymał się i rozejrzał dookoła z zafrasowaną miną. Znów przygryzał wargę, co tylko spotęgowało uczucie niepokoju w Weronice.

– Zaczekajcie chwilę. Nie wiem, czy nie pomyliłem drogi...

W tej samej chwili usłyszeli rozdzierający krzyk mężczyzny. Jak jeden organizm, równocześnie odwrócili się w lewo.

– Maus... – warknął Aleks, z trudem tłumiąc wzbierającą w nim złość.

Chwilę później biegli w miejsce, z którego dobiegł krzyk. Prowadził Aleks, za nim biegła Weronika, która zdjęła z ramienia karabin i załadowała magazynek. Na końcu z trudem nadążał za nimi Maus. Las przeszył kolejny krzyk – tym razem kobiety. Aleks zaklął głośno i jeszcze bardziej przyspieszył. Biegł teraz sprintem, nie zważając na gałęzie i krzaki, zahaczające o jego ubranie i ciało. Ryk powtórzył się, gdy niemal byli już na niewielkiej polanie, na której płonął stos. Teraz był już pewny – obrzęd przemiany Kultu Brata Ezechiela trwał i zebrał swoje pierwsze żniwa.

– Cholera, spóźniliśmy się! – syknęła Weronika, kucając tuż obok Aleksa i przygotowując karabin do strzału. Dołączył do nich Maus.

– Nie, jeszcze jej nie przemienili! – z trudem wydusił Maus, ciężko dysząc tuż nad uchem Weroniki. – To ona. – Wskazał na dziewczynę stojącą przed umarlakiem. Teraz we troje obserwowali, jak po przeciwnej stronie polany niemartwy rzuca na ziemię ciało młodej dziewczyny. Z jej szyi sączyła się krew. Weronika wymierzyła lufę karabinu, najpierw

w głowę jednego z dwóch celebransów, a potem w sam środek czaszki umarlaka. Ostrożnie położyła palec na spuście i wstrzymała oddech.

– A to co? – szepnął Maus, obserwując przez lornetkę skraj lasu po przeciwnej stronie łąki.

Weronika błyskawicznie powiodła lufą we wskazane miejsce. W zaroślach na skraju polany, na której odbywał się obrzęd, ukrywał się barczysty, dojrzały mężczyzna z długimi włosami i gęstym zarostem. Stał oparty o drzewo z napiętym do strzału łukiem, celując w umarlaka. Przypominał jej wikińskiego wojownika. Była pewna, że nie należał do Panter. Nowa partyzantka? – przemknęło jej przez myśl.

– Wera, za nim! – syknął z przerażeniem Maus.

Weronika błyskawicznie wymierzyła lufę w czoło umarlaka, który zachodził mężczyznę od tyłu, i wypaliła pocisk z karabinu ASG. Odruchowo przeładowała broń. W takich chwilach działała jak zaprogramowana maszyna. Ponownie skierowała broń w stronę umarlaka biorącego udział w obrzędzie przemiany.

– Wera, jest jeszcze jeden! – rzucił gorączkowo Maus, wskazując palcem kolejnego mężczyznę.

– Kurwa, kim on jest i co tam robi?! – wycedził Aleks przez zęby. – Stąd nic nie zrobię, obejdę ich. Zostańcie tutaj.

Ruszył wzdłuż ściany lasu, a Weronika odnalazła mężczyznę w zaroślach. Walczył z umarlakiem, który próbował go ugryźć. Jej palec powoli zwolnił spust, kiedy umarlak padł na ziemię. Wystrzeliła, a pocisk ze świstem minął mężczyznę i z impetem uderzył w drzewo.

– Co on wyprawia?

Maus przez lornetkę, a Weronika przez lunetę obserwowali, jak mężczyzna wybiega z lasu, przewraca dziewczynę na ziemię, a następnie zabija nożem jednego z członków Kultu Brata Ezechiela. Drugi z celebransów rzucił się do ucieczki, ale po kilku krokach potknął się i upadł na polanę. Weronika powiodła lufą w jego stronę. Miała go

na muszce i musiała pociągnąć za spust, bo również on dopuścił się zbrodni udziału w obrzędzie przemiany. Celebrans ponownie zerwał się do biegu, a Weronika wycelowała w jego plecy.

– Wera, czekaj! – Maus szarpnął jej ramię, w chwili gdy oddawała strzał. Pocisk przeszył powietrze ze świstem.

– Maus, zwariowałeś?! – wysyczała z furją.

– Nie zabijamy ludzi! – Głos Mause drżał, zdradzając niepewność, ale i determinację.

– Członkowie Kultu Brata Ezechiela to nie ludzie... – warknęła i spojrzała ponownie przez lunetę w stronę uciekającego, ale on dotarł już do skraju lasu i umknął przed jej wzrokiem.

– On chce zabrać dziewczynę! – krzyknął Maus i pędem ruszył przez zarośla w stronę mężczyzny na polanie. Weronika odruchowo pobiegła za nim. Mężczyzna rzeczywiście zamierzał podnieść dziewczynę z ziemi. Patrzył w ich stronę. Maus był już za nią.

– Nie waż się jej tknąć! – wrzasnęła Weronika.

Mężczyzna nie zareagował, więc zatrzymała się i podniosła karabin. Nawet nie zauważyła, jak łuk w jego rękach napiął się i wypuścił strzałę, która przeszła jej ramię. Poczowała rozdzierający ból. Wypuściła karabin z głośnym krzykiem. Opadła na ziemię bez sił. Jej ramię pulsowało, ale nie czuła bólu. Nic nie czuła. Dyszała. Chyba krzyczała. Nad jej głową pojawiła się twarz przerażonego Mause. Chciała coś powiedzieć, ale mogła tylko poruszać ustami. Próbowwała podać mu dłoń, ale ta ani drgnęła. Spróbowała raz jeszcze. W końcu on ją ujął. Powieki jej ciążyły, chciała patrzeć na Mause i zaczekać na Aleksa, ale musiała się przespać. Musiała.



– Kto powiedział, że potrzebujesz ratunku?! Miałem cię tam zostawić na pewną śmierć? – warknął, z trudem przypominając sobie odpowiednie słowa. – Nie mówię, że masz mi dziękować, ale przydałaby się odrobina szacunku. Dzięki mnie nie zginęłaś jak tamtych dwoje.

– Wal się! – zawołała rozjuszona, pokazując mu środkowy palec i zeskakując z hamaka.

Wilk nastroszył się i zawarczał. Przerażona zatrzymała się w miejscu, wlepiając wzrok w jego lazurowe ślepie.

– Zabierz go – wymamrotała drżącym głosem. Zrobiła niepewny krok w tył. Cała się trzęsła. – Zrób coś! No, zrób coś!

– Wracaj na hamak, to porozmawiamy. – Starął się brzmieć pojednawczo.

Dziewczyna naprawdę się bała, więc chciał ją uspokoić. Niepotrzebnie dał się ponieść emocjom. Nienawidził, kiedy uczucia przejmowały nad nim kontrolę, biorąc górę nad rozsądkiem. Teraz był pewien – to ludzie tak na niego działali.

– Nigdzie nie wracam i nie zamierzam tu zostać! Mam wolną wolę i mogę robić, co mi się podoba – cedziła przez zęby, nie odrywając wzroku od wilka, który wciąż tarasował wyjście z pomieszczenia – więc albo mnie wypuścisz, albo...

– Albo co?! – wrzasnął, wstając tak gwałtownie, że aż wilk cofnął się ze spuszczoną głową. Podszedł do dziewczyny i chwycił ją mocno za ramię. To by było na tyle, jeśli chodzi o rozsądek. Adrenalina, która przez nadnercza została przed chwilą wtłoczona do krwiobiegu, spowodowała, że mówił szybko, tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Posłuchaj, smarkulo, nie wiem, za kogo się masz i co chcesz zrobić ze swoim życiem. Ale ja w moim życiu widziałem zbyt wiele śmierci i nie pozwolę kolejnej osobie się zabić, jasne?

– Czy ty niczego nie rozumiesz? – syknęła agresywnie, patrząc mu w oczy. – Oni tam nie zginęli! Oddali życie dla dobra ludzkości i dostąpili zbawienia! Teraz są wolni i szczęśliwi... Nieśmiertelni!

– Dziewczyno, albo się naćpałaś, albo masz nie po kolei w głowie! – Rzucił ją na hamak. – Nigdzie cię nie puszczę w takim stanie i będziesz tu siedziała tak długo, aż przestaniesz bredzić!

Dziewczyna jednak nie dawała za wygraną i znów dźwignęła się z hamaka, próbując wstać. Chwycił ją za ramiona.

– Ja naprawdę nie żartuję! – warknął, nachylając się w jej stronę i zaglądając jej głęboko w oczy. – Jeśli się nie uspokoisz, związę cię i zabawa się skończy.

– Zwiążesz mnie i co? A może tego właśnie chcesz? – Obnażyła ramię. – Jesteś jakimś zbokiem czy co?

– Nie wiem, co zrobili ci tamci ludzie, ale zdecydowanie musisz ochłonąć. – Nie zwalniał uścisku, jego oddech był przyspieszony, zdołał jednak nieco złagodzić ton. – Jeśli cię rozwiążę, obiecujesz, że będziesz się zachowywać normalnie?

Przestała się rzucać i błyskawicznie przytaknęła. Powoli rozluźnił chwyt. Cofnął się z lekko uniesionymi rękami, co miało potwierdzać jego dobre zamiary. W tej samej chwili dziewczyna rzuciła się do wyjścia. To był odruch. Podstawił jej nogę, a ona z impetem wyrznęła o podłogę, ponownie tracąc przytomność.

– To nie był najmądrzejszy wybór. – Męski głos dochodził do jej świadomości z bliżej nieokreślonego miejsca, gdzieś z zewnątrz, jak zza ściany.

Spróbowała uchylić jedno oko, ale natychmiast zrezygnowała, czując tępy ból i pieczenie. Poruszyła się, ale ręce były jak przyspawane do tułowia. Nie mogła też poruszać nogami. Podjęła jeszcze jedną próbę otwarcia oczu. Nie było łatwo, ale się udało. Obraz był nieostry, wirował – to powiększał się, to zmniejszał. Zrobiło się jej niedobrze. Z trudem tłumiła treść żołądka wędrującą w górę przewodu pokarmowego. Przez moment zastanawiała się, skąd wzięło się tam cokolwiek, czym mogłaby wymiotować. Po dłuższej chwili, gdy jej wzrok przyzwyczyił się do nowej sytuacji, dostrzegła, że jest przywiązana do hamaka grubą liną. Mogła poruszać jedynie głową i stopami. Jęknęła, czując klucie w głowie.

Tuż przy niej stał mężczyzna, który uprowadził ją z obrzędu przemiany i uwięził w swej chacie. Nigdzie nie zauważyła jednak wilka, choć jej perspektywa była teraz mocno ograniczona.

– Ostrzegałem cię, że tak to się może skończyć.

To prawda, ostrzegał, ale to nie miało tak wyglądać. Na swoje usprawiedliwienie miał tylko to, że działał spontanicznie. Odwykł od interakcji z ludźmi, zwłaszcza z nastolatkami, co musiało mieć wpływ na dotychczasowy przebieg nowej znajomości.

– Wal się... – wyjęczała, zamykając oczy.

– Tak, to już słyszałem.

– Czego ode mnie chcesz? – szepnęła bezsilnie.

– Nic od ciebie nie chcę. Nic! – Nie mógł się uspokoić. – Nie chciałem cię spotkać i nie chciałem ci pomagać. Może powinienem był jednak zostawić cię tam na pewną śmierć. Tego byś chciała najbardziej, co? – Ale dziewczyna milczała, słychać było tylko jej przyspieszony oddech. – Cóż,

co się stało, to się nie odstanie – dodał z rezygnacją. – Pozostaje mi spróbować zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– W tym wszystkim, czyli w czym? – Przekręciła głowę w jego stronę i popatrzyła na niego, jakby był krzyżówką do rozwiązania. Nie miała już sił na walkę, potrzebowała rozejmu.

On chyba też tak uważał, bo wyszedł na zewnątrz i wrócił po chwili z glinianym kubkiem, nad którym unosiła się mgielka pary. Zbliżył się do niej i delikatnie unióś jej głowę.

– Napij się, to ci dobrze zrobi – zachęcił ją przyciszonym głosem. – Tylko ostrożnie, bo gorące.

Dziewczyna upiła odrobinę i skrzywiła się.

– Fuj... Co to jest?

– Wywar z wierzby białej, działa przeciwbólowo. Powinien pomóc na to. – Delikatnie dotknął palcami lewej dłoni obrzęknięte miejsce na jej czole, którym uderzyła o podłogę ponad godzinę temu. – I na to. – Przesunął dłonią po opatrunku na jej ramieniu.

Zamknęła oczy i z wyrazem wstrętu na twarzy wypiła kilka łyków. Odjął kubek od jej ust i postawił go na ziemię.

– Powiedz, kim byli ci ludzie na polanie. Czego od ciebie chcieli? Chcieli cię zabić? – Zadawał pytania powoli, namyślając się nad każdym. Dziewczyna wydawała się zbita z tropu. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Poczul się głupio, jak ktoś, kto zadaje najbardziej oczywiste pytania na świecie. Wziął głęboki wdech i postanowił zapytać o coś, co nie dawało mu spokoju od rana. – Ale najpierw powiedz mi, kim był ten, który... – Głos uwiązł mu w gardle, palce mimowolnie stuknęły kilkakrotnie o udo. Dawno nie czuł się tak zmęczony i rozstrojony nerwowo. Odwrócił wzrok i z trudem przełknął ślinę. Powróciło wspomnienie potwornej postaci, która przegryza szyję nastolatki i rzuca ją na ziemię obok martwego chłopca. Mimowolnie zacisnął zęby. – Który... – Znów nie był w stanie dokończyć.

– Żartujesz sobie, co? – zapytała cicho.

W izbie zaległo milczenie. Siedział na ziemi, jak przedtem, naprzeciwko niej, a ona wciąż leżała przywiązana do hamaka. Patrzyli na siebie z nieufnością, próbując się nawzajem rozgryźć. Obserwowała go uważnie i w końcu dotarło do niej, że on naprawdę nic nie wie. Mina, jaką zrobiła, uświadamiając to sobie, mówiła sama za siebie.

Poczuł, jak spełniają się jego największe obawy. Właśnie znalazł się w położeniu owego egzotycznego plemienia odnalezionego przez ludzi i cywilizację. Zaraz się dowie, że świat w niczym nie przypomina tego, w co dotychczas wierzył, i ta wiedza najpierw zrujnuje mu życie, a ostatecznie skaże na zagładę.

– Ty naprawdę nic nie wiesz o nieśmiertelnych... – powiedziała cicho, bardziej do siebie niż do niego.

– Nieśmiertelnych? – zapytał zdumiony i nagle pomyślał, że skojarzenie z prymitywnym plemieniem żyjącym w buszu z dala od cywilizacji było jak najbardziej na miejscu.

– Od kiedy tu mieszkasz? – Zignorowała jego pytanie, rozglądając się po chatce i zastanawiając się nad czymś intensywnie.

– Od lata 2015 roku – odparł niepewnie, obawiając się jej reakcji. I słusznie.

– Niech Brat Ezechiel cię oświeci! – zawołała. – Ty naprawdę nic nie wiesz!

Teraz nie wiedział nawet, co myśleć. Poczuł się jak w potrzasku w jednym z dręczących go co noc koszmarów. Ale czegoś takiego nigdy jeszcze nie śnił. Nie, to nie sen, choć wolałby, żeby tak było. Ze snu można się przebudzić do rzeczywistości, która jest znacznie mniej przerażająca niż ukryte przed nim na co dzień pokłady nieświadomych myśli, pragnień i lęków. Z rzeczywistości już nie było wybudzenia i teraz właśnie tego obawiał się najbardziej – że już nie tylko jego sny, ale także jawa ponownie stanie się koszmarem. Te ciała, potworna istota, dziwne postacie

w liturgicznych szatach – to było zdecydowanie za dużo jak na jeden dzień...

– Nie słyszałeś o epidemii na początku 2016 roku? – zapytała niepewnie po dłuższej chwili.

Pokręcił przecząco głową. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale od razu je zamknął i raz jeszcze pokręcił głową.

– O rany, to sama nie wiem, od czego powinnam zacząć... – Nagle zrobiło się jej go źal. Może to z powodu tych ziół, w końcu nie miała pojęcia, co do nich dodał, ale poczuła się rozluźniona. Jej myśli zaczęły biec innymi torami. Uświadomiła sobie, że przez te wszystkie lata żył tutaj spokojnie, nie wiedząc, że świat, jaki znał, już dawno przestał istnieć. Musiała mu powiedzieć, spróbować wyjaśnić, co się dzieje, bo wiedziała, że prędzej czy później ta nowa sytuacja go dotknie. Przynajmniej będzie wiedział, co go czeka. – Słuchaj, to, co powiem, pewnie zabrzmie głupio i znów uznasz mnie za wariatkę, ale jeśli chcesz wiedzieć, co się dzieje, daj mi skończyć, okay? – Popatrzyła na niego, a on przytaknął. – Na początku nikt nie spodziewał się tego, co miało nadejść – zaczęła spokojnym, poważnym tonem, który bardziej pasował do dojrzałej, doświadczonej kobiety niż niepozornej nastolatki. Odzyskiwała siły i była już całkiem rozbudzona. Poruszyła się na hamaku. Za oknem chmury rozpięzchły się po niebie, odsłaniając słońce zachodzące za horyzont. W izbie zapanował półmrok. – Wprawdzie nie pamiętam wszystkiego zbyt dobrze, bo byłam jeszcze dzieckiem, ale przypominam sobie dzień, kiedy wszystko stało się jasne. Nie wiadomo, kto był „pacjentem zero”. W tamtym czasie, kiedy jeszcze normalnie nadawała telewizja, dość często używano tego sformułowania. Wtedy wydawało mi się śmieszne, bo brzmiało jak imię kolejnego superbohatera komiksowego, Avengersa albo X-Mena. Potem dotarło do mnie, że nie było w nim nic zabawnego. Najpierw pojawiły się informacje, że to epidemia grypy albo takiej choroby,

jak ona się nazywała... Chorowało na nią bardzo dużo ludzi w Azji... – Przymknęła oczy, próbując przywołać z pamięci właściwą nazwę.

– MERS? – wyrwało mu się.

– Tak, dokładnie! MERS – potwierdziła. – Ale to nie był wirus MERS. Tej choroby nie dało się powstrzymać, okazało się, że wywołuje ją jakiś nowy typ bakterii, wirusa czy grzyba. W każdym razie czegoś takiego. Zupełnie nieznany. Nie interesowało mnie to wtedy, a potem nie było już dostępu do tamtych badań. Nikt zresztą nie miał do tego głowy, bo zaczęła się wojna.

– Wojna? – zapytał zadziwiony. – O ile pamiętam, w 2015 roku trwało kilka poważnych konfliktów zbrojnych.

Pokręciła przecząco głową i wzięła wdech.

– To była inna wojna. Nagle opanowała cały świat, każdy kontynent, każde państwo, każde miasto. Trudno to opisać. – Umilkła i dodała niepewnie. – Ludzie зараżeni nową chorobą zaczynali wracać do życia po śmierci i atakowali innych ludzi.

– Wstawać z grobów?! – Nie wierzył w to, co słyszy, i musiał się upewnić, że właśnie to przed chwilą powiedziała.

– No, nie dosłownie, przecież nikt nie zdążyłby ich pochować – tłumaczyła zdumiona, jakby właśnie usłyszała jakiś absurd. Przypomniała sobie jednak, że on zupełnie nie orientuje się w obecnej sytuacji. – Wracali zbyt szybko do życia, przynajmniej ci, u których przemiana zachodziła w kilka minut po śmierci, co rodziło jeszcze większy chaos. Walki toczyły się wszędzie. W miastach pojawiło się wojsko, były nawet czołgi, a niebo nieustannie przecinały myśliwce, ale nikt nie potrafił sobie poradzić z lawinowym przyrostem liczby żywych trupów...

– Żywych trupów... – szepnął sam do siebie, próbując oswoić się z brzmieniem tego zlepka słów, których znaczenie się wykluczało. Jak każdy, oglądał kiedyś filmy o zombie, ale to była fikcja, jak wampiry czy wilkołaki. Dlatego po takim wstępie powinien był uznać, że dziewczyna

robi sobie z niego żarty albo rzeczywiście jest wariatką. Powinien, gdyby nie to, co widział na polanie.

– Tak, żywych trupów. Tak je wtedy nazywano. Wystarczyło jedno ugryzienie, by się zarazić, a one były szybkie i silne, więc trudno było przed nimi uciec. Przypominały bardziej zwierzęta niż ludzi, którymi niegdyś były. Sama nie wiem, jak to wtedy wyglądało, widziałam ich tylko w telewizji. No i w internecie – był taki słodki youtuber, który za nimi gonił z kamerką. Zagryzły go po kilku tygodniach... – Umilkła na chwilę. – W telewizji i internecie rzeczywiście wyglądały na groźne... Ginęło mnóstwo ludzi... Na szczęście dla mnie, przynajmniej wtedy uważałam to za szczęśliwe zrządzenie losu, moi dziadkowie wykorzystali odpowiedni moment, by wyjechać na wieś. Tam byłam bezpieczna, bo walki toczyły się głównie w dużych miastach. Kiedy uciekaliśmy, mijała nas kolumna wojskowego sprzętu, jadąca w przeciwnym kierunku. Żołnierze mieli na sobie dziwne mundury, nigdy potem takich nie widziałam. Ci jadący z przodu byli w maskach gazowych... W sumie do tej pory nikomu o tym nie mówiłam... – Jej głos się załamał. Przygryzła dolną wargę i zrobiła dłuższą pauzę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Nie chciał jej ponaglać, ale w końcu odchrząknął i zapytał z wahaniem, choć nie był pewien, czy chce znać odpowiedź:

– Wojna dalej trwa?

– Nie. – Odpowiedź padła natychmiast, jakby dziewczyna tylko czekała na to pytanie i nagle poczuła ulgę, mogąc pozostawić za sobą wspomnienie wojskowej kolumny. – Ale był moment, kiedy wszyscy myśleli, że nie ma już ratunku, że to koniec. Ostateczny. Na wieś informacje docierały z opóźnieniem. Telewizja przestała nadawać, nie mieliśmy też dostępu do internetu. Ale to nie było nasze największe zmartwienie. Brakowało jedzenia, choć moim dziadkom pomagało wielu ocalałych. Przede wszystkim ze względu na mnie. Przynosili nam część tego, co sami

zdobyli, i dzięki temu przetrwaliśmy. – Znow wzięła głęboki oddech. – Po ponad roku wojny zapanowało przeświadczenie, że nie da się wygrać z żywymi trupami. Było ich zbyt wiele, napływały ze wszystkich stron. Można ich było pokonać, niszcząc ich mózg, ale ludzie za wolno zabijali, a zbyt szybko ginęli. Ocaleli stanowili już mniejszość. Nikt nie liczył na cud, ale ten się zdarzył. Jednak nie taki, na jaki wszyscy liczyli...

Przerwała. Zaschło jej w gardle. Przełknęła ślinę. Był tak zaśluchany, że nie zorientował się od razu. Dopiero po chwili podniósł się z ziemi, sięgnął po kubek z naparem z wierzby i przystawił go jej do ust. Tym razem wypila znacznie więcej. Jakby czytając w jego myślach, uprzedziła pytanie, które chciał zadać.

– Jaki cud? Pewnego dnia nieśmiertelni przestali atakować. Nie całkiem, ale przestali. Widziałam to na własne oczy... – Jej głos się załamał, a w oczach pojawiły się łzy. Pociągnęła nosem i odchrząknęła. Znow poruszyła się niespokojnie na hamaku.

– Nie rozumiem – powiedział, uświadamiając sobie natychmiast niedorzeczność tych słów, które zabrzmiały tak, jakby całą resztę jej niesamowitej opowieści rozumiał doskonale.

– Nie dziwię się. Nie ty jeden. Nikt tego nie rozumie. Oprócz jednej osoby...



Wyjazdy zawsze wiązały się z niebezpieczeństwem, więc zdenerwowanie żony było zrozumiałe. Dopiero co wrócił z misji, na którą, z różnych względów, zgłosił się na ochotnika. A teraz, kiedy chciał wreszcie pobyc z rodziną, dostał propozycję nie do odrzucenia. Wolał zataić przed żoną powód nagłego wyjazdu, tłumacząc go zmianami w grafikach spowodowanymi chorobą kogoś z sekcji bezpieczeństwa. Nie po raz pierwszy i zapewne nie ostatni miał przed Hanią tajemnice, a każda kolejna przychodziła mu z coraz większą łatwością. Zwłaszcza że mogła go uchronić od jej kolejnego ataku hysterii, a te wyjątkowo źle znosił.

Pociągnął solidny łyk bimbrowy z piersiówki, z którą rzadko się rozstawał. Miał ją też ze sobą rano, choć był pewien, że nie będzie musiał z niej korzystać, bo Andrzej, tak jak on, nie mógł funkcjonować bez porannej dawki alkoholu. Od razu poczuł, jak jego umysł wrzuca wyższy bieg, a myśli zaczynają szybciej krążyć w głowie. Właśnie tego mu było trzeba. Pisk zawiasów otwieranych drzwi nieco nadwątlił jego dobre samopoczucie. Wprawnym ruchem schował piersiówkę do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki.

– Naprawdę musisz jechać? – zapytała zatroskanym głosem Hania, wchodząc do pokoju i dodała z wyrzutem: – Przecież to nie twoja zmiana.

– Kochanie, przestań. Tłumaczyłem ci, że Dawid dostał inne zadanie i zostałem oddelegowany do tego patrolu. – Nie patrzył w jej stronę.

Załadował magazynek i schował pistolet do kabury, którą nosił jak dawniej na piersi.

Nie miał problemu z kłamstwami, zwłaszcza tymi, które czyniły bliskich mu ludzi nieco bardziej szczęśliwymi. Zresztą nie mógł jej przecież powiedzieć, że jedzie sprawdzić zbryzgane krwią miejsce kaźni żywych trupów.

– Dopiero co wróciłeś. Jak długo byłeś w domu? Dwa dni! Nawet nie czterdzieści osiem godzin!

– Nie wiem, szczerze mówiąc, nie liczyłem. Po prostu muszę jechać. Taki dostałem rozkaz.

– Rozkaz, czy znów zgłosiłeś się na ochotnika? Przyznaj się! Choć raz...
– Znała go na wylot i od początku podejrzewała, że to jego inicjatywa. Jej głos zadrżał. – Wiktor, niech inni też czasem się ponarażają. Kocham cię i wiem, że robisz zawsze to, co konieczne, ale jeśli z Błażem i Sandrą cię stracimy, nie damy sobie rady...

Wiktor popatrzył w jej wilgotne brązowe oczy.

– Hej, no przestań – powiedział łagodnie i podszedł do niej, by ją przytulić. – Nic mi nie będzie. Na zewnątrz przecież jest bezpiecznie, panuje spokój. Ataki niemartwych to znów rzadkość. Przecież wiesz.

– Umarlaki... – wyszeptała mu do ucha z obrzydzeniem. – Należało już dawno wytępić te potwory!

– Ech, to nie takie proste, kochanie. Rozmawialiśmy już o tym... – Puścił ją i wrócił do pakowania. – Musimy kontrolować sytuację, właśnie dlatego tam jeździmy i sprawdzamy, czy nic się nie zmienia.

– Wiktor, tylko nie wychodź przed szereg, bardzo cię proszę. – Głos Hani brzmiał niemal błagalnie. Chwyliła go za rękę. – To się dla ciebie zawsze źle kończyło.

Wysunął ostrożnie dłoń z jej objęć. Denerwowało go to dramatyzowanie, zwłaszcza kiedy brał łyk bimbru i myślami wybiegał

daleko w przyszłość, przygotowując się na to, co było do załatwienia. Uśmiechnął się raz jeszcze, próbując złagodzić jej niepokój.

– Obiecuję, że nie zrobię nic głupiego. Wystarczy? – Spojrzał jej w oczy. Kąciki jego ust cały czas unosiły się w nieznacznym uśmiechu.

– Wystarczy – powiedziała cicho i przygryzła lekko wargę. – Ale jak wrócisz, musimy poważnie porozmawiać...

– Znowu? – Uśmiechnął się, jednak Hania nie zareagowała. Albo mu się zdawało, albo ostatnio coś się zmieniło w jej zachowaniu. Westchnął.

– Dobrze, porozmawiamy. Ale teraz muszę lecieć. Pa!

Pocałował ją delikatnie w czoło i szybkim krokiem wyszedł z pokoju.

Na placu przy ulicy Zamkowej stały dwa Humvee, a przy nich grupa mężczyzn uzbrojona w karabiny maszynowe. Wiktor od razu rozpoznał Darka. Obok stał Mohammed, z którym często jeździł na patrole. Przywitał się z nimi skinieniem głowy. Mohammed wysunął na powitanie paczkę papierosów w jego stronę. Wiktor zapalił i zaciągnął się głęboko.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał pół żartem, pół serio Mohammed, patrząc na Wiktora.

– Bałem się puścić was samych.

– Mhm, jasne. Ten wyjazd to podobno z twojego powodu... – powiedział Darek, podając dłoń Wiktorowi. Ten niepostrzeżenie przechwycił od niego mały woreczek i wprawnym ruchem schował go do kieszeni. Nie umknęło to uwadze Mohammeda.

– Podobno. Andrzej tak powiedział? – burknął Wiktor.

– No a niby kto inny? – wtrącił Mohammed swoją nienaganną polszczyzną, w której wciąż jednak pobrzmiwał ledwo słyszalny arabski akcent. – Pewnie miałeś okazję spróbować tej whisky, którą zgarnęliśmy w zeszłym tygodniu z Darkiem. Niezły towar, co?

– Witek chyba przerzuca się na palenie, co? – Darek wyszczerzył swoje krzywe, żółte zęby, zdradzające długotrwałe zażywanie metamfetaminy,

i puścił oko do przyjaciela.

– Jeśli mówisz o fajkach, to trafiliście w mój gust – odparł Wiktor wymijająco i znów zaciągnął się głęboko.

Humvee odpaliły silniki niemal równocześnie. Mężczyźni stojący przy pierwszym z nich, którego kolor kojarzył się Wiktorowi z barwą piasku afgańskich pustyń, zaczęli zajmować miejsca w środku. Darek skierował się do drugiego pojazdu. Wiktor spojrzał na niego z rozżaleniem, a następnie przeniósł wzrok na wypalone do połowy czerwone Marlboro. Wziął jeszcze jednego dużego bucha, rzucił niedopałek na ziemię i wtarł go w nią butem. Wyglądał, jakby dokonywał jakiejś zbrodni albo co najmniej wstydliwego wykroczenia. Wyjął piersiówkę z wewnętrznej kieszeni kurtki i pociągnął łyk. Mohammed obrzucił go spojrzeniem i to wystarczyło – Wiktor pomyślał, że na tym świecie nadal nie ma nic za darmo i podał mu piersiówkę bez słowa. Przypuszczał, że przed wybuchem wojny Mohammed przestrzegał Koranu, modląc się pięć razy dziennie, sumiennie przestrzegając postu w czasie ramadanu i stroniąc od alkoholu. Ale teraz, jak każdy, nie przykładał wagi do wiary. Jeśli dla kogoś Bóg nie umarł w Auschwitz, ostatnie wydarzenia dość jednoznacznie wskazywały na to, że porzucił ludzkość na pastwę śmierci. Żywej śmierci. On sam niegdyś co niedziela z całą rodziną chodził na uroczystą sumę odprawianą po łacinie. Niewiele z niej rozumiał, ale była w niej jakaś tajemnica, coś mistycznego i niepojętego. Przysięgłby, że kilka razy czuł nawet bliskość Boga, choć z nikim nie podzielił się swoimi doznaniem. Dziś, nawet gdyby mógł, nie poszedłby do kościoła, bo stracił wiarę. Znał tylko jedną osobę, która nadal wierzyła, ale nie chciał o niej myśleć. Jeszcze nie teraz.

Drugi Humvee zapełnił się. Zostały w nim już tylko dwa miejsca – dla niego i Mohammeda. Odebrał od niego piersiówkę, zakręcił i wsiedli do pojazdu.

Codziennosc w Forcie Wilno nie różniła się zbyt wiele od tej niegdyś – może poza tym, że wszystko było na mniejszą skalę, było

ciaśniej i jego mieszkańcy musieli tkwić w przymusowym zamknięciu dla własnego dobra. Mimo tych kilku niedogodności życie w takich miastach jak Fort Wilno płynęło spokojnie i w obrębie jego murów można było zapomnieć o niedawnej przeszłości. Tak też robiła większość obywateli – próbowała zapomnieć i żyć dalej. Czy można mieć do nich pretensje? To było naturalne, trochę jak wypieranie traumy, przekreślanie przeszłości, odcinanie się od niej grubą kreską. Ale kiedy wyjeżdżało się poza mury, minione wydarzenia przypominały o sobie ze zdwojoną siłą. Posępne ruiny, opuszczone i od dawna niezamieszkanе resztki domów z powybijanymi, często zabitymi deskami oknami i zawalonymi ścianami. Znał wiele z tych budynków, pamiętał, co się w nich mieściło – w niejednym z nich robił zakupy czy jadał rodzinne kolacje w weekendy. Pamiątką z przeszłości były też wraki samochodów i motorów straszące nie tylko na poboczu, ale i na środku ulicy. Dawne miasta zamieniły się w wielkie cmentarzyska wszelkiego rodzaju pojazdów, od skuterów po tiry i cysterny, od zabytkowych rzęchów na żółtych rejestracjach, po całkiem nowe modele limuzyn. Miasta były teraz gigantycznymi skansenami motoryzacji. I w końcu ślady walki. Podziurawione jak sito ściany, naznaczone piętnem pocisków karabinów, pistoletów i strzelb. Ślady pożarów, plamy krwi i płynów ustrojowych na chodnikach, murach i nielicznych zachowanych szybach, wyrwy w budynkach ujawniające ich wnętrza, spowodowane użyciem ciężkiego sprzętu wojskowego i broni artyleryjskiej...

Najgorsza była jednak pustka i cisza. Brak ludzi i życia. To miasto było jak wielki cień po wybuchu bomby atomowej – to, co w nim pozostało, było jedynie widmem życia, jakie kiedyś je wypełniało. Było trupem. Trupem, o którego upomniała się natura, wdzierając się roślinnością w każdy zakamarek. Widok traw i chwastów wyrastających z miejsc, z których nigdy nie powinny wyrastać, rodził w Wiktorze upiorne uczucie.

Paradoksalnie było w tym coś nienaturalnego, sprzecznego z naturą, a już na pewno z naturą miasta.

Inni najwidoczniej też nie potrafili się przyzwyczać do tych widoków, bo przejazd Humvee dawnymi arteriami Warszawy za każdym razem przypominał przemykający bezgłośnie kondukt żałobny. W takich chwilach Wiktor cieszył się, że tak wiele osób już nigdy nie doświadczy tego smutnego widoku.

Poza granicami dawnej Warszawy wszystko wracało do normy i w dużej części wyglądało jak dawniej: lasy, pola i przecinające je drogi, na których tylko od czasu do czasu można się było natknąć na porzucony samochód, przy drogach co parę kilometrów te same hipermarkety i hale targowe... Rozległe parkingi, teraz całkiem puste, przywodziły na myśl dawne czasy z ich ideą dni świątecznych wolnych od handlu. Wyglądało to tak, jakby w tych miejscach trwało wieczne święto.

Jedyną różnicę stanowili szwendający się bez celu niemartwi. Ludzie, którzy pracowali na farmach zaopatrujących miasta w mięso, nabiał, warzywa i owoce, przyzwyczaili się już do ich obecności, bo przebywali z nimi każdego dnia – od rana do wieczora. Byli wprawdzie narażeni na ich niespodziewane ataki, ale te od niemal roku prawie się nie zdarzały. Nauczyli się zatem koegzystować z niemartwymi, zwłaszcza że mogli liczyć na ochronę ze strony sił Rady Ludzkości. Co innego ci, którzy przyjeżdżali na farmy okresowo – po dostawy lub w celach ochrony. Nie potrafili się przyzwyczać do stałej bliskości żywych trupów. Tym bardziej podziwiali ludzi, którzy bez strachu żyli na farmach od wielu miesięcy.

Po prawej zamajaczyło F2-Wilno, musieli więc już być niedaleko miejsca przeznaczenia. Dotarli do celu po dziesięciu minutach. Samochody zatrzymały się przed zdewastowaną bramą obwiązaną grubym łańcuchem i zamkniętą na kłódkę. Wiktor wysiadł z Humvee i rozejrzał się po okolicy. Za ogrodzeniem widać było nowoczesny budynek z wielkimi przeszklonymi oknami. Nieregularna bryła i blacha elewacyjna sprawiały,

że doskonale wkomponowywał się w krajobraz. Linie okien i blachy przecinały się pod ostrymi kątami, nadając całości intrygujący kształt. Elewacja odbijała teraz błękitne niebo i pierzaste chmury, rażąc oczy Wiktora refleksami popołudniowego słońca. Budynek dominował nad rozległą płaską okolicą i Wiktor zastanawiał się, jakim cudem nie dostrzegł go z daleka. Dzieliło go od niego kilkadziesiąt metrów oraz płot z siatki zwieńczonej drutem kolczastym. Za bramą znajdowała się stróżówka i wybrukowana droga prowadząca wprost do wejścia.

Darek otworzył kłódkę, zdjął łańcuch i otworzył bramę. Oba pojazdy wjechały na duży całkiem pusty parking przed gmachem. Przy wejściu wisiała zniszczona tablica z nazwą firmy, zatarte litery pozwalały odczytać jedynie:

LIV..MO...ORP

Odd..a....ls.a

– Ktoś sprawdzał, co to za budynek? – zapytał Wiktor, wpatrując się w tablicę.

– Daria już się tym zajmuje – rzucił Darek, otwierając drzwi kluczem.

Darek popatrzył na czwórkę mężczyzn, którzy przyjechali drugim Humvee. Wszyscy mieli na sobie kamizelki kevlarowe i hełmy przypominające te, jakich kiedyś używała prewencja, w dłoniach karabiny szturmowe, a na ramionach zamontowane małe latarki. Na skinienie Darka utworzyli szereg i powoli, gęsiego wkroczyli do środka. Wkrótce wewnątrz rozświetliło jasne światło jarzeniówek.

Wiktor stał na schodach wiodących do drzwi wejściowych i patrzył w stronę F2-Wilno. Zapalił kolejnego papierosa od Mohammeda, ale zdążył zaciągnąć się tylko dwa razy, gdy ze środka dobiegło donośne: „Czysto!”. Zgniół niedopałek butem i wkroczył do budynku w towarzystwie Darka i Mohammeda.

Wewnątrz panowała duchota. Zamontowana pod sufitem klimatyzacja niestety nie działała. Wiktor poczuł, jak pot spływa mu po plecach. Minęli opuszczoną recepcję i skierowali się w stronę klatki schodowej. Weszli na piętro i ruszyli długim korytarzem. Po obu jego stronach ciągnęły się rzędy pokoi. W każdym z nich centralne miejsce zajmowało łóżko oraz stojąca przy nim aparatura. Na części z nich spoczywały powykręcane zwłoki umarłaków, na innych pozostały jedynie plamy krwi i innych płynów ustrojowych. Wszystko to już widział na zdjęciach, które pokazał mu Andrzej.

Szli szybkim krokiem i zatrzymali się dopiero przed zamkniętymi drzwiami na końcu korytarza. Darek otworzył je i puścił Wiktora przodem. Smród, jaki ich przywitał, był mieszanką fetoru rzygowin, moczu i spalenizny. Weszli do gabinetu urządzonego na nowoczesną modłę: eleganckie meble biurowe, funkcjonalne biurko, szafki – wszystko w bieli, błękitnie i granacie. Drzwi i szuflady szafki stojącej za biurkiem były otwarte i opróżnione. Na białej ścianie po lewej stronie, tuż przy oknie, widoczne były ciemnożółte przebarwienia, a na podłodze wały się czarne strzępki spalonego papieru. Po prawej stronie biurka, na błękitnej tkaninie pokrywającej podłogę widniała rozległa ciemna plama, a ściany w rogu upstrzone były kroplami krwi i zaschniętymi fragmentami tkanek.

– Tu znaleźliśmy ciało mężczyzny z dziurą w głowie – powiedział Darek.

– Były jakieś ślady walki? – zapytał Wiktor, kucając przy plamie.

– Nie. Raczej szybka egzekucja. Ktoś wszedł i oddał z bliska strzał prosto w głowę.

– A kiedy został zamordowany? – zapytał Wiktor, kartkując po kolei książki ustawione w stosik na biurku.

– Niedawno, ale trudno dokładnie oszacować. Kiedy tu przyjechaliśmy, klimatyzacja działała i było dość chłodno, dlatego zwłoki nie uległy szybkiemu rozkładowi.

Wiktor zatrzymał się na moment przy trzeciej książce z kolei. Na stronie tytułowej widniał napis: „Księga nieskończoności”, a pod nim napisana odręcznym pismem dedykacja: „Człowiekowi wielkiej siły i odwagi, badaczowi i odkrywcy, najlepszemu przyjacielowi, który szuka wciąż tego, co nieograniczone, ponadczasowe i bez końca, próbując rozwiązać zagadkę nieśmiertelności. Jan Barowski”.

– Tak, widziałem, były w niezłym stanie – stwierdził krótko, odkładając książkę i rozglądając się po pokoju. – A to co? – Wskazał na kupkę popiołu.

– Ktoś coś spalił, pewnie jakieś dokumenty, może wyniki badań. To, co zostało, oddaliśmy Darii do analizy. – Darek zrobił pauzę. – Myślę, że to były wyniki jakichś eksperymentów, które prowadził na umarlakach...

– Pytanie, po co ktoś na nich eksperymentuje? I co takiego było w papierach, że ktoś posunął się do morderstwa, by je zniszczyć. – Wiktor podszedł do biurka i przyglądał mu się zdziwiony. Promienie słońca wpadające teraz do gabinetu ujawniły na pokrytej warstewką kurzu powierzchni ciemny prostokąt o przekątnej kilkunastu cali. – Albo by je zdobyć... – dodał pod nosem.

– Zdobyć? – podchwycił Mohammed.

– Tu stał laptop. – Wiktor dotknął dłonią prostokąta. – Pewnie była w nim elektroniczna wersja wyników.

Darek momentalnie zjawił się przy Wiktorze.

– Ale jaja, rzeczywiście! – zawołał, wpatrując się w blat. Byliśmy tu pod wieczór i nie zauważyliśmy. Masz dobre oko, Witku.

– Ktoś musi – mruknął Wiktor pod nosem i usiadł na fotelu.

Kółka fotela jeździły po tkaninie to w przód, to w tył. Odezwała się jego intuicja. Wprawdzie niezupełnie rozumiał, co do niego mówiła – tak w końcu działała intuicja – ale najważniejsze, że dała głos. Musiał działać po omacku, jak zwykle. Podjechał bliżej biurka i obmacał blat od spodu. Miejsce po miejscu. Nic.

– To sprawdziliśmy... – mruknął Darek nieco urażonym tonem.

Detektyw nie przestał jednak obmacywać sprzętów biurowych, przenosząc dłonie z biurka na fotel. Palce powoli przesuwały się po spodzie siedziska. I kiedy wydawało się, że i tu nic nie znajdzie, natrafił na małą szczelinę. Zerwał się, a Darek bez słowa pomógł mu położyć fotel na białce do góry nogami. Próbowali namierzyć wzrokiem to, co Wiktor chwilę wcześniej wyczuł palcami, ale dopiero po dłuższych oględzinach zauważyli coś, co przypominało klapkę na baterię, ale już sama myśl o fotelu na baterię wydawała się głupia. Wiktor ostrożnie podważył klapkę. W środku ukryty był czarny pendrive.

– Jakim cudem? – wydusił zdumiony Mohammed. – Skąd wiedziałeś?

– Pracowałem kilka lat w narkotykach. Tam poszukiwanie skrytek to codzienność, widocznie weszło mi w krew – odparł Wiktor. – Dajcie to Darii do sprawdzenia. Może to rzuci nam trochę światła na ofiarę i całą tę sprawę. No, dobra, idziemy dalej.

– Okay, ale nie spiesz się, może coś jeszcze znajdziesz – powiedział Darek, chowając pendrive'a.

– Nie, raczej nie. – Wiktor obrzucił jeszcze jednym spojrzeniem gabinet. – Tu już nic nie ma. Przejdźmy się lepiej po salach, w których robili badania, eksperymenty czy cokolwiek innego...

To, co rzucało się w oczy w kolejnych pomieszczeniach, to duża ilość substancji chemicznych, a właściwie pustych opakowań i fiolek po nich, zapelniających kosze i walających się po podłodze.

– Ktoś musiał mu pomagać – mruknął Wiktor, znów bardziej do siebie niż do kolegów.

– Bo? – podjął Mohammed.

– Pomijam już ciała umarłaków, bo przecież sam ich tu nie przywiózł... Ale te wszystkie substancje... Część mógł zdobyć na własną rękę, ale nie aż tyle.

– Chyba wiem, kogo możemy o to zapytać – rzucił Darek, kiedy schodzili po schodach, kierując się do Humvee.

– Świetnie. Zatrzymajmy się jeszcze na moment w F2-Wilno. Mam tam informatora, może będzie coś wiedział. Jeśli ktoś jechał tu od strony dawnej Warszawy, musiał mijać F2.



Żywe trupy. To wciąż brzmiało dla niego nieprawdopodobnie, choć nie było niemożliwe, zwłaszcza z biologicznego punktu widzenia. Najbardziej oczywistym i najlepiej znanym mu przykładem były wirusy, które wykazują cechy zarówno organizmów żywych, jak i materii nieożywionej, a więc w jakimś sensie są niemartwe. Czytał też kiedyś o grzybie o wdzięcznej nazwie maczuźnik, który atakuje mrówki, infekuje ich mózg i przejmuje nad nimi kontrolę w taki sposób, że stopniowo wyniszcza ich organizm i doprowadza do śmierci. Jednak w przeciwieństwie do ludzi zarażonych wirusem żywej śmierci (a przynajmniej tak uznał po tym, co opowiedziała mu dziewczyna), gdy mrówki przeczuwały, że maczuźnik wnika do ich ciał, uciekały ze swej społeczności, by nie zarazić innych i umrzeć samotnie. Pewnie było dużo więcej tego typu nieumarłych przykładów ze świata roślin i zwierząt, a jeśli tak, to coś podobnego mogło w końcu zdarzyć się wśród ludzi.

Z krótkiego zamyślenia wyrwało go burczenie w brzuchu. Ale to nie jego żołądek dawał o sobie znać. Sygnał wysłał organizm dziewczyny, pobudzając przy okazji jego apetyt – widocznie głód, jak ziewanie, jest zaraźliwy. Za oknem było już prawie ciemno i dopiero teraz się zorientował, że od rana poza kawałkiem pieczeni z poprzedniego dnia, który pożarli na spółkę z wilkiem, nie miał nic w ustach. Dziewczyna chyba w ogóle nic nie jadła. Nie miał zapasów, bo nie miał w zwyczaju ich robić,

ale przed południem gdy ona spała pod czujnym okiem wilka, udało się mu wyskoczyć na jeszcze jedno polowanie. Tym razem zając, którego namierzył, nie umknął jego strzale. Oporządzony, gotował się teraz w towarzystwie ziół w kociołku nad ogniskiem.

– Lubisz zająca? – zapytał, wstając z podłogi.

– Pytasz, czy lubię go jeść?

Skinął głową.

– Nie wiem, nigdy nie jadłam. Poza tym od dwóch lat jestem wegetarianką.

Westchnął.

– Kiedyś ktoś powiedział, że wegetarianie to degeneraci, którzy w końcu zamieniają się w małpy. Bez urazy, ale myślę, że miał sporo racji – rzucił, próbując nieco rozluźnić atmosferę.

– Wielu ludzi przeszło na wegetarianizm, widząc, jak nieśmiertelni pożerają ich bliskich. – Jej poważny, dojrzały głos kontrastował z młodzieńczą twarzą.

– To dlatego nie jesz mięsa? – wyrwało mu się i od razu tego pożałował. Wyglądało na to, że życie z dala od cywilizacji powoli czyniło z niego pozbawionego empatii socjopatę.

– Nie – odparła jak gdyby nigdy nic. – Chciałam być czysta w momencie przemiany.

– Przemiany?

– Przejścia w stan nieśmiertelności. – Powiedziała to tak pewnie, że nie od razu dotarła do niego irracjonalność tych słów.

– Mówisz o tym rytuale?! – wydusił zdumiony. – Chciałaś dać się zabić? Jak tamci?!

Wywróciła oczami.

– Już ci mówiłam, oni nie umarli – odparła gwałtownie. – Zmartwychwstaną jako nieśmiertelni. To ostateczne powołanie wyznawców Kultu Brata Ezechiela.

– To oni, wyznawcy tego całego kultu byli na polanie? – zapytał, a ona potaknęła skinieniem głowy. – Czyli chciałybyś mordować ludzi jak nieśmiertelni, niemartwi, żywe trupy, czy jak im tam?! – Podniósł głos, nie mogąc zapanować nad emocjami.

– Oni już nie zabijają, a przynajmniej nie tak często jak kiedyś... W ogóle zaprzestaliby ataków, gdybyśmy, tak jak naucza Brat Ezechiel, spróbowali ich zrozumieć i pokochać, gdybyśmy chcieli się stać takimi jak oni. Bo być nieśmiertelnym, to wejść na wyższy poziom istnienia, przekroczyć granice jednostkowości, wyzwolić się od cierpienia i pragnienia, stopić się z pustką, która jest całością – wyrecytowała uroczystym tonem, patrząc mu głęboko w oczy. – Tylko oświeceni dostrzegają w nieśmiertelnych zbawców, a nie potwory...

– Co ty pieprzysz?! – wrzasnął. Nie wstydził się wybuchu agresji, bo w tym wypadku był on całkowicie uzasadniony. Edukacja, wiedza, logiczne i racjonalne myślenie – to było dla niego najważniejsze, na długo zanim przekroczył próg szkoły. W podstawówce, a potem w liceum nie odnajdował się na lekcjach polskiego czy plastyce, ale na matematyce i przyrodzie, a później fizyce, chemii i biologii mógł siedzieć godzinami. Fascynował go świat ścisłych praw, zasad, reguł i twardych danych do obróbki. Z kolei niechęć, a nawet wrogość, budziła w nim dopiero co wprowadzona w tamtym czasie lekcja religii, bardziej nawet niż przedmioty humanistyczne, których sensu istnienia nie pojmował. Religia od zawsze kojarzyła mu się właśnie z tego typu pieprzeniem pozbawionym związku z rzeczywistością i wewnętrznym sprzecznym. Czysta poezja, która nagle staje się czymś więcej, popychając jej wyznawców do najbardziej absurdalnych działań, łącznie z oddaniem życia za puste słowa, w które niegdyś uwierzyli – jak na załączonym obrazku leżącym przed nim w hamaku. Równie mocno jak religii nienawidził tylko polityki. Zresztą każda religia, podobnie jak partia polityczna, miała dla niego coś z sekty

i była po prostu groźna, także dlatego że mówiła o zbawieniu. A zbawienia nigdy nie było, nie ma i nie będzie. Amen – dodał w myślach ironicznie.

Dziewczyna zamilkła i ponownie wlepiła wzrok w sufit. Może to i lepiej – pomyślał. Jeśli to prawda, że można się uzależnić od wszystkiego, on przez ostatnie lata uzależnił się od ciszy, zarówno fizycznej, jak i emocjonalnej. To zabawne, a może tragiczne, jak człowiek może zmienić się przez lata. Dawniej cisza miała dla niego w sobie coś demonicznego, dlatego zakrzykiwał ją na wszelkie możliwe sposoby – od muzyki i telewizji, przez spotkania i imprezy, aż do głupkowatych żartów komentujących każdą sytuację. Był duszą towarzystwa, zawsze chętny do rozmowy i trzymający w zanadru wypowiedź na każdy temat, nawet jeśli nie do końca znał się na nim. Z całonocnych imprez, na których zwykle był gwiazdą, przygrywając szanty i piosenki harcerskie na akustycznej gitarze, właściwie nie zdarzało mu się wychodzić przed końcem, czyli na ogół dawno po świcie. Do rangi rytuału urosły typowe w takich razach teatralne sztuczki Agi, która od trzeciej, czwartej nad ranem próbowała go wyciągnąć do domu, niemal zasypiając na stojąco – miała to opanowane do perfekcji. Potem nastąpił finalny akord, który miał zagłuszyć ciszę, ale już zupełnie inną – absolutnie demoniczną, bo niemo komunikującą śmierć. W Afganistanie nauczył się, że także dźwięki – wystrzały, wybuchy, świsty, krzyki, modlitwy – każdy odgłos wojny może wieścić kres. Czy to go zmieniło? Tego nie wiedział, ale po powrocie, dopiero tutaj w Bieszczadach, nawrócił się na ciszę i stał się neofitą. Zabawne i tragiczne zarazem.

Wolał świat bez słów, dlatego żałował, że w ogóle rozpoczęli tę nedorzeczną dyskusję. Zamiast tego mógłby po prostu siedzieć i na nią patrzeć, tym bardziej że jej widok go uspokajał, szczególnie gdy spała. Ale ludzie nie potrafią wytrzymać bez paplania, próby ubrania wszystkiego w słowa, które tylko maskują, a nigdy nie mówią tego, o co chodzi naprawdę. To kolejny powód, dla którego stracił zaufanie do języka. Słowa

to bezpieczny bufor, a może raczej bariera chroniąca przed milczeniem. Ale to także łącznik, który spaja dwie nieprzystające do siebie części, jakimi są ludzie, i to niezależnie od tego, jak blisko siebie żyją. Gdy brakuje tego bufora i łącznika, a jego miejsce zajmuje cisza, wszystko się rozpada, rozłazi w szwach i ujawnia, że pomiędzy nimi tak naprawdę nigdy nic nie było poza właśnie słowami. „Słowa, słowa, słowa...” – zabrzmiało w jego głowie.

Z zewnątrz dochodził mocny zapach mięsa, sygnalizujący, że każda kolejna chwila może zniweczyć jego kulinarny wysiłek.

– Lepiej pójde po tego zająca – powiedział i wyszedł. Odetchnął świeżym powietrzem, zbierając myśli. Zamieszał potrawkę w kociołku. Pachniała przyjemnie i wyglądała na gotową. Spróbował kawałka mięsa, schładzając go wcześniej kilkoma dmuchnięciami. Zając rozpływał się w ustach. Nałożył porcję dla siebie i dla dziewczyny.

– Rozwiążę cię, żebyś mogła normalnie zjeść, ale nie próbuj żadnych sztuczek – rzekł, wchodząc do chaty. – Wiesz, jak ostatnio to się skończyło.

Położył miski na ziemi i podszedł do hamaka, by poluzować linę. Dziewczyna milczała.

– Ro-zu-miesz-co-do-cie-bie-mó-wię? – wysylabizował, patrząc jej w oczy.

Potaknęła. Podał jej jedzenie. Najpierw je powąchała, potem skosztowała. Na jej twarzy zobaczył pierwszy uśmiech. Do tej pory uraczyła go całym zestawem min, ale ani razu nie rozciągnęła ust w uśmiechu. A szkoda, bo był wyjątkowo piękny. Może gdyby od niego zaczęła, ich dyskusja potoczyłaby się inaczej. Podniosła wzrok.

– Skoro już nie chcesz mnie słuchać, powiedz coś o sobie – poprosiła z pełnymi ustami, unosząc drewnianą łyżkę lewą ręką. – Co tutaj robisz, oczywiście poza przetrzymywaniem ludzi. – Teraz ona próbowała błysnąć żartem.

– Mieszkam – mruknął niechętnie.

– Łał! Nigdy bym się nie domyśliła! Pytam raczej o to, co cię tutaj sprowadziło i co takiego się stało, że zaszyłeś się na tym odludziu na cztery lata? Uciekasz przed kimś? – spytała ciekawskim tonem, napychając usta zającem.

– Przed nikim nie uciekam. Jeśli już, to przed sobą.

Odstawił miskę na ziemię. Jedzenie utknęło mu w gardle. Stracił apetyt.

– Okay, jeśli nie chcesz, nie mów. Ale wiem, o co chodzi. Moi rodzice nie żyją... – Jej głos się załamał.

– Tak mi przykro – powiedział, podnosząc na nią wzrok.

Pociągnęła nosem i odgarnęła włosy za ucho.

– To może chociaż powiesz, jak się nazywasz? – wydusiła.

Przełknął z trudem mięso. Patrzył w podłogę.

– Michał. Michał Sander.

– Lena. Moryc. Powiedziałabym, że miło cię poznać, ale sam wiesz. – Raz jeszcze pięknie rozciągnęła usta. To musiało być zaraźliwe, bo on też się uśmiechnął. Już zapomniał, jakie to miłe uczucie. Ale natychmiast wróciły też bolesne wspomnienia, uśmiech znikł, a jego twarz znów nie wyrażała emocji. Lena też przestała się uśmiechać. Cisza, ta osobliwa ścieżka dźwiękowa, która do tej pory wypełniała przerwy między ich dialogami, niespodziewanie okazała się dla niego kłopotliwa, była teraz jak crescendo, stając się z każdą sekundą coraz bardziej nie do zniesienia.

– Chcesz jeszcze? – Pytanie Michała rozładowało narastające między nimi napięcie. Słowa, choć wypowiedziane jakby od niechcienia, przekłuły nabrzmiewający między nimi niewidzialny balon na tyle umiejętnie, że ten nie eksplodował, tylko z niezauważalnym syknięciem wypuścił z siebie powietrze.

– Poproszę.

Jak na wegetariankę nie miała problemu z jedzeniem mięsa. Pamiętał długie rozmowy z Anią, z którą pracował w szpitalu. Każde ich spotkanie

zaczynało się od relacji z kolejnej fazy buntu jej nastoletniej córki. Często przyjmował on formę nowej diety, najpierw motywowanej względami humanitarnymi (początkowo wegetarianizm, potem weganizm, witarianizm, frutarianizm, a na koniec sprautarianizm i wizyta u mamy w szpitalu), później zdrowiem i wyglądem (dieta paleo, norweska, bezglutenowa, Montignaca, Cambridge czy Kuchnia Pięciu Przemian i wiele innych). Opowieści o przyrządzaniu posiłków i wypychaniu plastikowych pudełek kielkami rzodkwi, brokułu i alfa lucerny czy kupowaniu skrzynek grejpfrutów, które jej córka pochłaniała każdego poranka w fazie diety norweskiej, brzmiały niesamowicie. Każde spotkanie z Anią było fascynującym doświadczeniem – dowiedział się wtedy więcej o dietetyce niż przez całe studia. A wszystko dzięki zbuntowanej nastolatce... Niestety, dieta nie była jedynym objawem jej kontestacji. To samo dotyczyło pewnie Leny – jej wegetarianizm był formą buntu, którego ostatecznym akcentem miała być przemiana... czyli samobójstwo. Michał aż się wzdrygnął i natychmiast odpędził obrazy, które jego umysł wyświetlił na ekranie wyobraźni.

Rozmyślenia o dietach całkiem odebrały mu apetyt, dlatego wygrzebał z kociołka resztę potrawy i nałożył do miski Leny. Ruszył z porcją zająca do chaty, kiedy do jego uszu dotarł miarowy, jednostajny szelest liści. Ciężkie kroki świadczyły o tym, że to nie zwierzę. Błyskawicznie odstawił miskę na próg, sięgając jednocześnie po łuk i strzały stojące tuż przy drzwiach. Automatycznym ruchem ręki upewnił się, czy ma przy sobie nóż, po czym nałożył strzałę na cięciwę i zwrócił się w stronę, z której dochodził regularny odgłos miażdżenia runa leśnego.

Spomiędzy drzew wyłoniła się istota, którą Lena określiłaby mianem nieśmiertelnego. Ale to, co zbliżało się w jego kierunku, Michał nazwałby żywym trupem. Ale to było coś znacznie gorszego. Poczuł, jak ścina mu się krew. Wprost na niego kroczyła niemartwa dziewczynka – mogła mieć najwyżej dwanaście lat. Czuł teraz coś zgoła odmiennego niż kilka godzin

temu. Z polany pamiętał jedynie urywki scen: anonimowe gnijące ciała dwóch mężczyzn i kobiety, które próbowały zabić nie tylko jego, ale także, a może przede wszystkim, Lenę. Nie potrafił przypomnieć sobie ich pogrążonych w rozkładzie twarzy, bo już je wyparł z pamięci. Zabicie tamtego żywego trupa było odruchem podyktowanym jakimś wewnętrznym nakazem – jak na wojnie, na której twoi wrogowie przestają być ludźmi w momencie, gdy próbują odebrać życie tym, których znasz, i zdeptać wartości, które organizują to życie. Nie interesowało go, kim byli tamci, zanim stali się niemartwymi. Czy byli dobrzy, czy mieli rodziny, czy ktoś gdzieś nadal na nich czekał. Nie wiedział też nic o żywych trupach – dlaczego atakowały i czego pragnęły. To nie miało znaczenia. Jak na wojnie, uznał ich za cel do zlikwidowania, bo zagrażali niewinnym ludziom, w tym przypadku Lenie. To wystarczyło. Nie miał wątpliwości, że to było zło, ale było to zło konieczne, mniejsze zło, z którym można i trzeba było jakoś żyć. W końcu uratował Lenę, a czy jej życie nie liczyło się bardziej od egzystencji tamtego stwora? Teraz jednak nie wiedział, co robić. Czy cokolwiek usprawiedliwia zabicie dziecka, nawet jeśli to żywy trup, który chce odebrać mu życie? Czy istnieje jakakolwiek okoliczność łagodząca zamordowanie dziecka?

Stał jak sparaliżowany. Dzielilo ich mniej niż sto metrów i mógł przyjrzeć się pięknej niegdyś twarzyczce, z której teraz płatami odchodziła skóra. Lewy oczodół wypełniała mieszanina brunatnej ziemi i purpurowej krwi, prawe oko, mętne i zapadnięte, patrzyło przed siebie nieruchomo. Ze spierzchniętych i popękanych sinych warg, wykrzywionych w nienaturalny sposób, wydobywało się upiorne stękanie, jakby dziewczyna bełkotała jakąś wyliczankę. Poszarpana, żółta sukienka odsłaniała bordową skórę w miejscach, w których ciało nie uległo głębszemu rozkładowi. Zebrało mu się na wymioty.

Kiedy niemartwa zbliżyła się o kolejne kilkanaście metrów, tłumiąc mdłości, napiął łuk i wycelował strzałę w sam środek jej czoła. Wstrzymał

oddech. Palce zwolniły strzałę, ale ta niespodziewanie ominęła cel i zadrżała wbita w pień grubej brzozy. Dziewczynka nie zwróciła na to uwagi. Kroczyła monotennie, wpatrując się w niego pustym wzrokiem. Upuścił łuk na ziemię i drżącymi dłońmi sięgnął po nóż. Chwycił za ostrze. Żywy trup znów zbliżył się o kilkanaście metrów. Nagle poczuł się tak, jakby ręka, w której trzymał nóż, nie należała do niego. Nie miał nad nią władzy. Wiedział, że jeszcze chwila i będzie za późno na rzut. Przełknął ślinę. Drżał na całym ciele.

Dziewczynka wydobyła z siebie jęk i w tym momencie odzyskał czucie w ręce. Przygotował się do rzutu, gdy w półmroku dostrzegł kolor włosów dziewczynki. Kasztanowy. Zabrakło mu tchu, a do oczu napłynęły łzy. Żywy trup rozmył się, przyjmując postać...

Michał wciągnął mocno powietrze nosem. Nie był w stanie się poruszyć, stał więc bezradnie, czekając na to, co – był tego pewien – nastąpi lada moment. Wpatrywał się w wyłaniające się spomiędzy obwisłych warg śnieżnobiałe ząbki, z którymi kontrastowały brunatne plamy krwi, jakby dziewczynka niedawno objadła się czekoladą. Patrząc na to, co kiedyś musiało być ludzkim mięsem, a teraz przypominało fragmenty żelków zaklinowane między siekaczami. Zrobiło mu się słabo. Żywy trup wydał głośny jęk i wpadł na Michała, ścinając go na ziemię jak drzewo. Nóż wypadł mu z ręki.

Dziewczynka napierała na niego z niewspółmierną z jej rachitycznym ciałem siłą, jakby pod resztkami skóry skrywała się maszyna napędzana reaktorem jądrowym. Jej dłonie ściskające przedramiona Michała były jak obcęgi. Szczeka zatrzasowała się przed jego twarzą, porażając jego nozdrza odorem. Nie chciał walczyć, nie miał na to siły, ale organizm go wyręczył. Teraz to były dwa ciała pozbawione świadomości, walczące o przetrwanie. Jego myśli znów zaczęły krążyć wokół Mai. Znów widział jej twarz, tuż przed sobą. Zamknął oczy...

Usłyszał jakieś odgłosy, a zaraz potem głośny trzask i rozdzierający krzyk Leny. Coś spadło na niego. Niepewnie rozwarł powieki i zobaczył nad sobą Lenę. Dyszała i drżała, przyglądając mu się z obawą. Nie mogąc znieść jej spojrzenia, przeniósł wzrok na dziewczynkę, która jeszcze przed chwilą próbowała go ugryźć. Leżała teraz bez życia na jego brzuchu. Jej głowa, z której wystawała rękojeść bojowego noża, zwisała na wysokości lewej piersi Michała. Nie żyła. I to Lena musiała ją zabić.

Odrzucił leżące na nim ciało, zerwał się na równe nogi, pochylił do przodu i zwymiotował tuż przy stopach Leny. Ta stała na lekko ugiętych nogach i oddychała ciężko. Następna porcja wymiocin wylądowała na ziemi. Michał przetarł ręką usta i spojrzał na dziewczynę zamglonym spojrzeniem. Kręciło mu się w głowie. Mocniej rozstawił nogi i oparł ręce na udach, aby nie stracić równowagi.

Lena wpatrywała się w jakiś punkt. Wyglądała, jakby znalazła się na skraju szaleństwa. Po chwili przyskoczyła do niego i zaczęła okładać jego pierś zaciśniętymi pięściami.

– Czemu nic nie zrobiłeś?! Pojechało cię?! O mało cię zagryzła! – krzyczała, waląc w niego jak w zamknięte drzwi z rozpaczliwą nadzieją, że ktoś w środku ją usłyszy. Spojrzała z przerażeniem na swoje ręce, nie mogąc uwierzyć w to, co się właśnie stało. – Co ja zrobiłam?! Przez ciebie musiałam...

– Nie mogłem... Po prostu nie mogłem. – W jego oczach znów zaświeciły łzy. – A ty nic nie musiałaś... Trzeba było jej pozwolić mnie ugryźć. Tak byłoby najlepiej...

– Zamknij się! – Z całej siły walnęła go w pierś. – Zamknij się! Rozumiesz?

Stali, mierzając się wzrokiem. Ich oddechy powoli się normowały.

– Dlaczego ona zaatakowała... – bełkotał roztrzęsionym głosem, starając się nie patrzeć na zwłoki dziewczynki, a jednocześnie nie mogąc oderwać

od nich oczu. – Mówiłaś, że one... już nie... nie atakują... A teraz... i wtedy na polanie...

– Wtedy poczuły moją krew i teraz pewnie też... Nic już nie wiem! – wrzasnęła bliska płaczu. – Wszystko przez ciebie!

– Krew? – przymknął oczy i próbował się skupić.

– Nacięcie to część obrzędu. – Wskazała ranę na nadgarstku. – Budzi ich instynkt, który pozostaje w uśpieniu – mówiła szybko, jakby chciała zagadać myśli, które pojawiały się w jej głowie. – Ale czasami atakują niezależnie od tego. Nie wiadomo dlaczego...

Zawróciła w stronę chaty, nie mogąc znieść widoku martwej dziewczynki.

– Nikt tego nie wie? – zapytał, ruszając za nią.

– Nikt poza Bratem Ezechielem.

– Kim jest Ezechiel?

– Dla mnie i innych członków Kultu jest prorokiem naszych czasów, czwartym i zarazem ostatnim. W *Objawieniu Brata Ezechiela* jest napisane, że przychodzi on po innych wielkich, którzy zapowiadali powstanie ludzi z martwych... Wiesz, że pisali już o tym w Starym i Nowym Testamencie i w Koranie?

– Nie czytam takich bzdur... – uciął.

– Brat Ezechiel przyszedł na świat nie po to, by zapowiedzieć zmartwychwstanie, ale by je zrozumieć i wytłumaczyć – ciągnęła niewzruszenie. – To jedyny człowiek, który skontaktował się z nieśmiertelnymi i powiedział, co ma czynić ludzkość, by nie tylko przetrwać, ale także dostąpić zbawienia. Tylko on tłumaczy, jak mamy żyć w nowym świecie. Właściwie całe jego przesłanie zawiera się w jednej prawdzie zapisanej w *Objawieniu*: „Ciała wasze to chleb na zbawienie świata i ludzkości”.

– Niby jak się skontaktował z nieśmiertelnymi? – Michał wolał zignorować mądrości tego świra. – Bo z tego, co zdążyłem zauważyć, nie

są zbyt rozmowni. – Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

– Mentalnie...

Lena chciała coś jeszcze powiedzieć, ale wpadł jej w słowo.

– Mentalnie? – powtórzył. – Żartujesz?! I co, wszyscy łykają te brednie?

– Nie wszyscy. – Ton głosu Leny się zmienił. Nie było już w nim nadziei, zamiast niej pojawiło się napięcie. – Niektórzy uważają, że nieśmiertelnych trzeba zniszczyć, bo zagrażają przetrwaniu ludzkości.

– Nie mówiłem ci jeszcze, ale dzisiaj... – zaczął, by przerwać ciszę, która zapadła po jej słowach.

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem. – Kiedy straciłaś przytomność, chcieli cię dorwać jacyś ludzie, którzy tak jak ja obserwowali z ukrycia cały ten obrzęd.

– Pantery... – wyrwało się Lenie. W tym jednym słowie dało się słyszeć zarówno lęk, jak i obrzydzenie. To samo po chwili pojawiło się w jej spojrzeniu. – Były tam Pantery? – zapytała.

Mina Michała mówiła sama za siebie. Nie miał pojęcia, o kim ona mówi. Dotarło to do niej dopiero po chwili. Przecież o Kulcie Brata Ezechiela też aż do dziś nie miał pojęcia!

– To właśnie Pantery uważają, że nieśmiertelnych należy zetrzeć w powierzchni ziemi, by znów stała się domem jedynie dla ludzi. Przepraszam, nie mogę... – Głos jej zadrżał i odwróciła wzrok.

– A nie należy? – zapytał zdumiony.

– Nie! – warknęła. – Zabijanie nieśmiertelnych to grzech śmiertelny i tego właśnie się dopuściłam! – jęknęła skruszona.

– Przecież ocaliłaś mi życie...

– Nic nie rozumiesz! Brat Ezechiel pisze, że apokalipsa była karą ludzkości za jej grzechy, brak tolerancji i umiłowania bliźniego oraz nadmierny indywidualizm. To pokuta za to, że ludzie zaczęli myśleć tylko o sobie, zapominając o innych. Nieśmiertelni mają nam przypomnieć, że żyjemy dla innych, że zbawienie daje wspólnota w nieśmiertelności!

– Lena, naprawdę nie chcę cię urazić, ale oni chyba wyprali ci mózg, zanim go zjedli, rozumiesz? – Mówił najłagodniej, jak potrafił, choć przychodziło mu to z trudem. – Nie wiem, kim jest ten cały Brat Ezechiel, ale namieszał ci w głowie! To, co mówisz, nie ma sensu. Przecież widziałem tego nieśmiertelnego i nie powiesz mi, że to coś ma jakąkolwiek świadomość. Wiesz, kiedy ostatni raz słyszałem podobne brednie?! Zgadnij! Kiedy oglądałem filmy ze szkolenia dżihadystów w Afganistanie! Oddanie życia dla wielkiej sprawy, zbawienia i nieśmiertelności, a tak naprawdę chodzi o zwykle zabijanie ludzi z jakiegoś szalonego powodu.

– Gadasz jak Pantery! – Lena zerwała się na równe nogi, jakby szykowała się do ataku. Coś do tej pory tłumionego wybuchło nagle z niewyobrażalną siłą. Jej ciało drżało od gotujących się w nim emocji. – Zresztą jakby cię to w ogóle wszystko obchodziło! – syknęła. – Gównu wiesz, bo siedzisz sobie tutaj od czterech lat i masz wszystkich w dupie! Nie masz pojęcia, co tam się działo. – Zatoczyła ręką, wskazując bliżej nieokreślony kierunek. – Jak teraz wygląda świat... Ale chcesz mnie pouczać! Mówić, co jest prawdą i co jest dla mnie dobre. Ale gównu wiesz! Gównu!

Słowa wypadały z jej ust z prędkością wystrzałów z karabinu maszynowego. Stał jak zamurowany, ale po chwili podszedł do niej i chwycił za ramiona, próbując ją uspokoić.

– Lena...

– Myślisz, że mnie uratowałeś, ale ja nie potrzebuję twojego ratunku! Niczego od ciebie nie potrzebuję! – Wyrwała się z jego uścisku. – I wiesz co? Wszystko tylko psujesz! Przez ciebie w jednej chwili musiałam się wyrzec wszystkiego, w co wierzę. I po co? By uratować człowieka, który zrobił mi to! – Wskazała na wciąż widoczny ślad po uderzeniu twarzą o podłogę. – Zostaw mnie w spokoju i wracaj do samotnego uzalania się nad sobą!

Omiotła go spojrzeniem i ruszyła przed siebie zdecydowanym krokiem. Raz jeszcze chwycił ją za rękę.

– Zaczekaj...

Ale ona nie zamierzała czekać. Wyrwała się z jego uchwytu, wybiegła z chaty i po chwili znikła między drzewami. W pierwszym odruchu chciał za nią biec, zatrzymać ją. Ale Lena miała rację. Przez tak długi czas nie obchodził go świat i inni ludzie, dlaczego teraz miałyby się to zmienić? Tym bardziej że świat zmienił się na gorsze. Zrobił tyle, ile mógł: uratował jej życie i próbował przemówić do rozsądku. Co więcej miał uczynić? Stworzyć jej nowy dom, w którym o tym wszystkim zapomni? Uwięzić ją i tym samym ustrzec przed obrzędem przemiany? Jakie miałby do tego prawo, skoro sam wybrał społeczne samobójstwo – samotne życie w Bieszczadach?

Nie potrafił odpowiedź na te pytania. Stał więc, wpatrując się w miejsce, w którym zniknęła mu z oczu.



Dotarli do F2-Wilno po piętnastu minutach. Na rozległej farmie rozciągającej się na kilkunastu hektarach pod dawną Warszawą znajdowało się kilkudziesięciu pracowników rolnych i kilkunastu ochroniarzy. Sekcja zabezpieczenia, do której należał (choć teraz przybył tu jako detektyw), pracowała na zmiany, ale ludzie zatrudnieni na farmie mieszkali tu na stałe. W początkowych latach wojny największy problem stanowiła uprawa ziemi i produkcja mięsa. Trwające miesiącami walki uniemożliwiały pracę, a ludzkość zdana była na zapasy zgromadzone w sklepach i magazynach. Największa odpowiedzialność spoczywała na tych, którzy teraz pracowali w sekcjach bezpieczeństwa. To oni, każdego dnia ryzykując życie, plądrowali miejsca, gdzie można było znaleźć jedzenie, ubrania i wszystko inne niezbędne do przetrwania. Nagrodą za ich trudy był komfort mieszkania z rodzinami w dobrze chronionych i w razie konieczności zdolnych do odcięcia się od świata miastach-państwach zarządzanych przez Radę Ludzkości. Oprócz nich rezydowali tu wszyscy ci, których umiejętności i wiedza mogłyby się przydać w razie kolejnej odsłony apokalipsy. Poza murami miast pracowali pozostali, którzy dzięki pomocy sekcji bezpieczeństwa przeżyli, a teraz mieli obowiązek to odplacić pracą przy uprawie roli i hodowli bydła. Nie musieli się obawiać ataków niemartwych, bo te należały już do rzadkości. Pewne zagrożenie stwarzały wprawdzie Pantery – napady na słabo

chronione farmy były dla nich łatwym sposobem zdobywania pożywienia, którego zaczynało już brakować w opuszczonych magazynach i sklepach poza obrębem państw-miast. Na szczęście Pantery atakowały sporadycznie i raczej nie krzywdziły ludzi, ograniczając się do grabieży jedzenia.

Do zadań sekcji bezpieczeństwa należała ochrona farm, a także misje zwiadowcze w wyludnione rejony, gdzie można było zdobyć materiały i narzędzia niezbędne do prac realizowanych przez Radę Ludzkości. Wytyczony przez nią plan minimum obejmował przetrwanie, z biegiem czasu jednak równie istotne stało się podwyższanie standardu życia mieszkańców państw-miast.

Wiktor przyjeżdżał tu często. Na ogół po to, by razem ze swoją zmianą strzec bezpieczeństwa ludzi. Od czasu do czasu wpadał też po wiarygodne informacje z pierwszej ręki, miał tu bowiem zaufanego człowieka. Ale był jeszcze jeden powód jego wizyt w F2-Wilno – ten, który lubił najbardziej i który pozwalał mu łączyć przyjemne z pożytecznym.

Na ulicy minął dwóch umarlaków. Nie robili już na nim takiego wrażenia jak kiedyś, ale nadal przebiegały go dreszcze, gdy byli w pobliżu. Odczuwał też wstręt – cóż, zawsze śmierdzieli gównem. Wiadomo, po śmierci następuje wypróżnienie – stąd ten odór. Ciało na ogół wracało do życia już po defekacji, ale smród fekaliów zostawał na wieczność. Gówniane życie, jakkolwiek by na to patrzeć...

Dłoń Wiktora machinalnie powędrowała do kabury. Nie miał pewności, kiedy zaatakują, ale gdy zostawił ich za plecami, opuścił rękę i przyspieszył kroku.

Alena, jak zawsze, czekała na niego za jednym z budynków służących za magazyn. Miała na sobie prostą, jasną sukienkę, która niemal zlewała się z jej alabastrową skórą. Spływające na odsłonięte ramiona blond włosy zakrywały podłużną szramę na lewym policzku, tuż pod uchem. Blizna bynajmniej jej nie szpeciła, raczej w trudny do zwerbalizowania sposób

korespondowała z jej urodą. Zielone oczy wpatrywały się w niego jak w obraz. Ukryta pod włosami szrama wiązała się z bolesnym sekretem. Wiktor go znał, choć Alena nigdy nie poruszała z nim tego tematu.

Kiedy się do niej zbliżył, chwyciła go za krocze z lubieżnym uśmiechem.

– Stęskniłam się za tobą... – wyszeptała z lekko wschodnim akcentem. Nachyliła się i przejechała czubkiem języka po jego uchu. – Nie wiem, czy cię wypuszczę.

– Wtedy nie będę ci mógł przywozić takich prezentów – powiedział przyciszonym głosem, wyjmując z kieszeni kurtki woreczek wypełniony jasnobeżowym proszkiem. Oczy Aleny rozbliły. Zachłannym ruchem, jak dziecko rzucające się na słodycze, wyrwała mu z ręki paczuszkę.

– Mamy tam u nas zdolnego chemika. Podobno kiedyś pracował na Politechnice Warszawskiej. Mądry gość. – Obserwował z zadowoleniem promieniejącą szczęściem Alenę. – Nikt już dzisiaj nie produkuje takiego towaru, bo wiadomo, czym to grozi. Na szczęście chronimy chłopaka, więc na razie mamy dostęp do łakoci...

– Rozpieszczasz mnie – szepnęła Alena, znów ściskając jego krocze, tym razem mocniej.

– Tylko dobrze to schowaj i nikomu ani słowa! Rozumiesz? – Wiktor chwycił mocno jej nadgarstek i poważnie spojrzał w oczy. – Nikt nie może się o tym dowiedzieć.

– Witia... – Tylko ona tak do niego mówiła i uwielbiała to. Było w tym coś niezwykle podniecającego. – Przecież wiesz, że potrafię dotrzymać sekretu.

Spojrzała mu w oczy tak, że poczuł, jak miękną mu nogi.

– Zaraz to schowam, ale najpierw nagroda, na którą zasłużyłeś. – Kucnęła przed nim, a on dotknął jej włosów.

– No dobra, ale potem będę miał do ciebie kilka pytań... – westchnął cicho.

Wciągane ustami opary drażniły jej receptory nieco słodkawym smakiem. W lekko drżących dłoniach trzymała rozgrzaną folię aluminiową. Zamknęła oczy, by w pełni rozkoszować się tą chwilą. Dym dotarł do jej nosa i teraz czuła wyraźny zapach, który był jak wspomnienie z dzieciństwa. Przypominał bób, który jej babcia gotowała latem z dodatkiem soli, cukru i masła. Wzięła kolejny głęboki wdech i westchnęła głośno. Sama nie wiedziała, co lepsze – seks z Wiktorem czy prezent od niego, którym teraz się odurzała.

– Błać! Ten twój chemik to jakiś jobanyj geniusz... – wymruczała cicho. Leżała z głową opartą na udach Wiktora który łagodnie gładził jej włosy. Uwielbiał, kiedy przeklinała po rosyjsku. Znów poczuł wzwód.

Była naga, miała na sobie jedynie złoty prawosławny krzyż – wisiał na cienkim pozłacanym łańcuszku, falując razem z jej sterczącymi piersiami w rytm przyspieszonego oddechu. Alena była tą jedyną naprawdę religijną osobą, jaką znał Wiktor. Patrząc na nią w tym momencie, trudno byłoby w to uwierzyć. Bóg odgrywał jednak w jej życiu istotną rolę, stanowił o jej sile. Nie znał silniejszej psychicznie kobiety. Nigdy nie spotkał kogoś równie odpornego na bolesne doświadczenia i ciosy, jakich nie szczędził jej los. Alena niechętnie o tym mówiła, ale on wiedział, że kiedyś maltretował ją mąż, który ostatecznie ją zostawił, a wkrótce potem straciła dwóch synów. Zginęli w czasie wojny, zagryzieni przez niemartwych. Mimo to pracowała tutaj, obok nich. Na szyi wciąż nosiła krzyż, który kiedyś dostała od męża, Żeni. Gdyby nie modlitwa, rozmowa z Bogiem, nic nie powstrzymałoby jej od samobójstwa. Narkotyki były tylko środkiem do celu – otwierały drogę do bliższych i głębszych kontaktów ze Stwórcą. Nie szkodziły jej, stanowiły raczej koło ratunkowe, dlatego przywoził jej najlepszy towar, jaki tylko dostał. Przynajmniej tyle mógł zrobić, by odwdzińczyć się za jej miłość.

– Próbowałeś? – zapytała, podając mu folię.

– Nie, wiesz, że wolę inne przyjemności – przejechał dłonią po wewnętrznej stronie jej uda. – Mój znajomy, znawca tematu, twierdzi, że to towar prima sort i wart swojej ceny. A tani nie jest. Ma rację? Bo jak nie, to oberwie w głupi łeb...

– Ma. A przyjemności kosztują... – zachichotała i raz jeszcze wciągnęła dym w płuca. Jej mina zapowiadała, że niebawem nastąpi odlot w rejony, z których nie wróci szybko.

– Alena. – Potrząsnął nią lekko.

– Tak? – spytała półprzytomnym głosem.

– Muszę cię o coś zapytać. – Przyciszył głos i zbliżył usta do jej ucha. Byli tu sami, ale wolał nie ryzykować. – Czy ostatnio na drodze, tej głównej od dawnej Warszawy, kręciły się jakieś samochody? Ktoś coś woził? Widziałaś coś?

Odłożyła folię na podłogę i wtuliła się w jego podbrzusze.

– Witia, padażdi! To pierwsza przyjemna chwila od tyłu dni, a ty mi tu o jakichś samochodach? Job tvaju mat! – mamrotała pod nosem. W jej głosie czaiła się cicha agresja. – Po co ci to wiedzieć?

Pogładził ją po włosach, odgarniając część z nich za ucho. Zamruczała.

– Po prostu mnie to interesuje.

– Ciągnie wilka do lasu. – Popatrzyła na niego z dołu. Dopiero teraz dostrzegł jej szkliste oczy o źrenicach wielkości główki szpilki.

– No tak, natury nie oszukasz – zgodził się i na potwierdzenie sięgnął do kieszeni po piersiówkę. Ze smutkiem skonstatował, że to już końcówka bimbru, ale w końcu okazja była przednia. Wypił do dna solidnym haustem. – Więc jak to było z tymi samochodami, Alena?

– Jakie samochody? Takie zwyczajne czy ciężarowe? – zapytała, wyraźnie zirytowana jego natarczywością.

– Widziałaś tu ciężarówki? – W jego głosie dało się wyczuć napięcie.

– Da. Widziałam. Ale nie obchodziły mnie. Jeśli tak cię to interesuje to... – jej słowa przeszły w bełkot. Jeśli dobrze zrozumiał drugą część zdania,

powiedziała: „...pogadaj z Rafałem... on może coś wiedzieć”.

Jej oddech unormował się, powieki zacisnęły, a ciało całkowicie rozluźniło. Zasnęła. Gdy spała, była jeszcze piękniejsza, choć zastanawiał się, czy to w ogóle możliwe. Mógłby patrzeć tak na nią w nieskończoność, niestety czas naglił. Musiał porozmawiać z Rafałem, a do powrotu do Fortu Wilno zostały zaledwie dwie godziny.

Wyszedł z magazynu ulokowanego na niewielkim wzniesieniu i założył ciemne okulary. Rozciągał się stąd widok na całe gospodarstwo – liczne budynki i hektary ziemi obsianej zbożem i warzywami. Na horyzoncie po prawej rysowały się rozległe sady, w których rosły jabłonie, grusze i śliwy. Mimo gorąca praca na farmie toczyła się jak zwykle. Do uszu Wiktora doszło głośnie muczenie krów i cieląt. Przyjemna odmiana po widokach i odgłosach, z jakimi miał do czynienia na co dzień w Forcie Wilno.

Wyłowił wzrokiem niemartwego snującego się wśród łanu zboża. Gdy pokonał odruch wstrętu, pomyślał, że właściwie mógłby się do nich przyzwyczaić. Życ wśród przyrody, cieszyć się prostymi pracami fizycznymi i spędzić resztę dni u boku Aleny...

Tę sielską wizję zakłóciło pojawienie się Rafała. Pracował na farmie najdłużej, był tu na długo, zanim Wiktor przyjechał na pierwszą zmianę. To on oprowadzał go po farmie i sugerował, ile trzeba osób do ochrony obiektu. Na szczęście w ostatnich kilkunastu miesiącach nie doszło do żadnego incydentu. W pewnym sensie Wiktor cieszył się, że Kult Brata Ezechiela funkcjonował przez cały ten czas. Sama organizacja nieco go niepokoiła, trzeba było jednak przyznać, że gdyby nie wyznawcy Ezechiela, sytuacja byłaby o wiele trudniejsza i mnóstwo niewinnych ludzi straciłoby życie. Kult stanowił niezbędną równowagę dla działań Panter, które nie do końca rozumiał. Niby je akceptował, jak wszyscy, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę że w ogólnym rozrachunku przynoszą więcej złego niż dobrego.

By zyskać na czasie, Wiktor ruszył w kierunku zbliżającego się energicznym krokiem Rafała. Pomachał mu na powitanie, w odpowiedzi mężczyzna uniósł dłoń w geście pozdrowienia.

Wtedy stało się coś, na co żaden z nich nie był gotowy. Niemartwy, którego Rafał minął przed chwilą na ścieżce między łanami zboża, odwrócił się i ruszył za nim. Był coraz bliżej, tuż za jego plecami. Wiktor krzyknął ostrzegawczo, wymachując desperacko rękami, ale było za późno. Niemartwy zatopił zęby w szyi ofiary. Pomimo dużej odległości Wiktor zobaczył fontannę krwi, a zaraz potem usłyszał paraliżujący wrzask. Chciał pobiec w stronę Rafała, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Ciało mężczyzny telepało się w drgawkach, krzyk stopniowo słabł, aż w końcu zapadła cisza.

Niemartwy wypuścił z łap zwłoki, spojrzał w kierunku Wiktora i zaczął niezdarnie wspinać się na wzniesienie. Wiktor sięgnął do kabury, gdy zza jednego z budynków rozległ się wystrzał. I jeszcze jeden. A potem krzyk mężczyzny. Znał ten głos, ale nie potrafił przypisać go do twarzy i osoby. Znow zastygł w bezruchu. Umarlak konsekwentnie parł naprzód. Huk kolejnych wystrzałów wyrwał Wiktora z odrętwienia. Schował broń i zawrócił pędem do magazynu. Kucnął przy Alenie, usiłując ją obudzić. Okolicę przeszła seria z karabinu maszynowego. Paniczne krzyki, głównie kobiet, stawały się coraz głośniejsze. Bez namysłu przerzucił Alenę przez lewe ramię, a prawą ręką sięgnął po pistolet. Blisko, o wiele za blisko, wyłowił uchem charakterystyczne zawodzenie...

Odwrócił się na pięcie i wypalił. Płyny i kawałki zgniłego ciała obryzgały go, pozostawiając też wyraźne brunatno-czerwone ślady na białej sukience Aleny. Skrzywił się z odrazą, ścierając z twarzy wnętrzności niemartwego, którego truchło z łoskotem upadło na posadzkę. Serce Wiktora waliło jak popsuty metronom, nie trzymając rytmu, wciąż przyspieszając. Łapczywie wciągał powietrze nosem. Liczył na to, że porządne dotlenienie mózgu zmusi go do myślenia. Zawsze był przygotowany na najgorszy scenariusz,

ale coś takiego?! W dodatku teraz błyskawiczne działanie uniemożliwiła Alena ciężąca mu na ramieniu, ale przecież nie mógł jej zostawić. Był za nią odpowiedzialny.

Na zewnątrz nie było umarłaków. Rozglądając się na wszystkie strony, przemknął między budynkami w poblize miejsca, gdzie zaparkowali wojskowe Humvee. Wystrzały odbijały się echem od murów. Podbiegł do budynku służącego za kuchnię i jadalnię. Wyrzwał zza rogu i zobaczył oba Humvee, zza których kilku chłopaków z sekcji bezpieczeństwa ostrzeliwało nadciągającą horde umarłaków. Za plecami chłopaków schroniła się grupka przerażonych mieszkańców farmy.

– Wycofujemy się! Jest ich za dużo! – krzyknął Darek, który najwidoczniej przejął dowodzenie. Jego słowa przerywały wystrzały serii. – Pero, sprawdź, czy się zmieścimy do Humvee!

Wiktor wybiegł zza budynku i ruszył w stronę pojazdów. Jeden z członków sekcji bezpieczeństwa błyskawicznie wycelował do niego z karabinu.

– Nie strzelaj, to ja, Wiktor! – wrzasnął, nie przestając biec.

Odetchnął ulgą, kiedy mężczyzna opuścił broń i pognął do Darka, przy którym stał już Pero, informując go o czymś przyciszonym głosem. Darek skinął głową i spojrzał na Wiktora.

– Już myślałem, że po tobie! Ewakuujemy się! Co tu się, kurwa, porobiło?! Przecież nikt z nas nie krwawi... Czemu atakują?!

Wiktor rozejrzał się po otaczających go twarzach.

– Gdzie Mohammed? – zapytał.

– Nie wiem, nie widziałem go – mówiąc to, Darek rozsadził strzałem czaszkę kolejnego umarłaka. Następnie, ignorując na moment obecność Wiktora, krzyknął do pozostałych: – Do Humvee wchodzi tylko moi ludzie i kobiety z dziećmi! Mężczyźni zostają!

Jeden z pracowników zerwał się na równe nogi, krzycząc coś w kierunku Darka, ale natychmiast został powalony na ziemię uderzeniem

kolby karabinu.

– Moja decyzja nie podlega negocjacom! Każda niesubordynacja będzie karana śmiercią!

Pozostali mężczyźni nawet się nie zająknęli. Chłopaki z sekcji bezpieczeństwa pomogli garstce kobiet i dzieci zająć miejsca w pojazdach, potem dwóch z nich usiadło za kierownicami. Wiktor wpakował nieprzytomną Alenę do auta stojącego bliżej niego. Pięćdziesięciolatka z pomarszczoną twarzą i czarnymi jak heban włosami, trzymająca na kolanach kilkuletniego chłopca, pomogła mu usadowić ją obok siebie.

– Kobiety i dzieci w samochodach! – zameldował Wiktor, wynurzając się z wnętrza Humvee. – Wchodźcie, będę was osłaniał!

Czterech mężczyzn sprawnie wtoczyło się do ciężarówek. Darek powalił na ziemię jeszcze jednego niemartwego i dołączył do nich. Wiktor również wycofał się do Humvee i już miał zająć ostatnie wolne miejsce, kiedy w polu widzenia znalazł się... Rafał. A właściwie coś, co przypominało Rafała. Zawodząc, wyciągało łapę w stronę Wiktora. Dzieliło ich jeszcze kilkadziesiąt metrów. Wiktor odruchowo uniósł pistolet gotowy do strzału, ale jego dłoń zaczęła drżeć. Chwycił nadgarstek lewą ręką, próbując opanować dygotanie. Umarlak zbliżał się do niego w zastraszającym tempie, a on nie mógł nacisnąć spustu. Nabral powietrza w płuca.

– Wiktor! – Krzyk Darka jakby coś w nim przełączył. Nacisnął do oporu cyngiel, a jego ręką wstrząsnął odrzut.

Nabój wyłobił dziurę w czole, które jeszcze niedawno należało do Rafała. Z otworu wyciekła bordowa ciecz. Przez moment Rafał, głównie z powodu ciemnej karnacji, przypominał hinduską kobietę z bindi – czerwoną, świętą kropką na czole. Potem kropka zamieniła się w strużkę, a ciało runęło na plecy. Wiktor patrzył na nie przez chwilę, a potem wskoczył do Humvee, który ruszył z piskiem opon.



Ciągle był ogłuszony i oszołomiony. Krzyk Weroniki wciąż rezonował w jego głowie. Miał wrażenie, że zaraz rozerwie mu nie tylko błonę bębenkową, ale całą czaszkę. Uplłynęło wiele godzin, ale miał wrażenie, że głos umierającej przyjaciółki, najbliższej przyjaciółki, wyłobił nieusuwalną rysę w winylu jego pamięci. Rysa powodowała, że igła powracała wciąż w to samo miejsce. Płyta zacięła się i już zawsze miała pozostać porysowana krzykiem Weroniki i poplamiona jej krwią.

Nie mógł sobie wybaczyć, że przeszkodził jej w oddaniu strzału. Gdyby nie jego odruch, żyłaby teraz. Dlaczego to zrobił? Po co było ratować tamtego mężczyznę? Nie wiedział nawet, kim on jest. Tylko jedno było pewne: miała na sumieniu co najmniej dwa ludzkie istnienia, więc zasłużyła na śmierć. Gdyby to było takie proste... Weronika nie była święta, podobnie jak Aleks. Mieli swoje grzechy, ale zawsze kierowali się dobrymi intencjami, zawsze stali po stronie życia. A to, że każdy ma coś na sumieniu, wiedział być może najlepiej z całej trójki. Teraz zresztą też niczego bardziej nie pragnął niż tego, żeby czas się cofnął, a nabój Weroniki trafił prosto w głowę faceta. Bo trafiłby, gdyby jej nie przeszkodził...

Mężczyzna przeżył, a co gorsza, porwał dziewczynę, która była dla nich kluczowym elementem układanki. Nie mogli też liczyć na to, że wyciągną cokolwiek od członka Kultu Brata Ezechiela, bo ten w porę ulotnił się

z polany, a Aleks, który ruszył za nim w pościg, nie zdołał go dopaść. Weronika wspominała kiedyś, że nikt nigdy nie umknął ich dowódcy – widocznie to był ten pierwszy raz. Nic nie poszło po ich myśli. Po dziewczynie i jej wybawcy zaginął wszelki ślad, więc być może nigdy już się nie dowiedzą, kto był winny śmierci ich przyjaciółki.

Musiał pobyć sam. Przez wiele lat tak właśnie wyglądało jego życie: włóczył się z miejsca na miejsce, nie potrafiąc się odnaleźć w tym nowym świecie. Zresztą nie potrafił się w nim odnaleźć także w tym starym – przed konfliktem z umarlakami. Może był stworzony do samotniczego życia? Dzięki pogodzie ducha, ciągłej gotowości do żartów i popisywania się przed innymi, był duszą towarzystwa, a to pozwalało mu być blisko ludzi, ale nie na tyle blisko, by się z nimi wiązać. Wolał zachować bezpieczną odległość. Kiedyś tłumaczył to sobie tym, że żaden z jego znajomych nie spełnia standardów, jakie wyznaczała im popkultura – żył filmami, serialami, komiksami i grami komputerowymi, których schematyczne postacie wydawały się o wiele głębsze i bardziej złożone od otaczających go w rzeczywistym świecie bohaterów tanich i kiepskich telenowel czy paradokumentów. Nawet ci, którzy czymś go zaintrygowali, nie byli tak fajni jak jego fikcyjni idole. Dopiero później zrozumiał, że to nie wina popkultury, lecz jego lęku przed stratą – bał się wiązać, bo wiedział, że każdy, nawet najbardziej skomplikowany węzeł, da się przeciąć. Bo tnie się dużo łatwiej i szybciej, niż wiąże. Najpierw sparzył się na najbliższych, czyli rodzinie. A teraz na najlepszej przyjaciółce.

Szedł przez las, jak robili to wczoraj i przedwczoraj, i każdego poprzedniego dnia, odkąd odnaleźli się po latach z Weroniką. Zapadał zmrok i niewiele już było widać. Tę porę lubili najbardziej. Wspominali dawne seriale, jeszcze te z czasów szkoły, kiedy polecali sobie nawzajem kolejne tytuły, a potem dyskutowali długimi godzinami. Ich wspólne spacerunki skończyły się, kiedy Weronika zaczęła chodzić ze swym pierwszym

chłopakiem. Ich rozmowy zostały przerwane na kilkanaście lat. Teraz skończyły się na zawsze.

Zapętłony w jego głowie krzyk, który słyszał tak wiele razy, że powoli na niego obojętniał, uciał nagle warkot ciężarówki czy maszyny budowlanej. Już sam dźwięk tak dużego silnika wydał mu się egzotyczny, bo o paliwo wciąż było ciężko, a wiadomo, ile palą samochody ciężarowe – dlatego ich unikano. Ale co, do cholery, robiła ciężarówka w samym środku bieszczadzkich lasów, w dodatku o takiej porze? Albo doznał pomieszania zmysłów, czego nie można było wykluczyć, albo działo się tu coś dziwnego. Zresztą jedno nie wykluczało drugiego. Może on sam znalazł się w pozycji bohatera *Miasteczka Twin Peaks* lub *Z Archiwum X*?

Czym prędzej pobiegł w stronę, z którego dochodził rozdzierający leśną głuszę warkot. Zatrzymał się kilka metrów od ścieżki, którą z mozołem toczyła się należąca niegdyś do wojska ciężarówka z nakrytym plandeką tyłem. Oczywiście nie była oznakowana. Jechała bardzo powoli, mocno wyginając się z charakterystycznym zgrzytem i chrobotem przy każdej nierówności terenu. Maus postanowił towarzyszyć jej tak długo, jak to będzie możliwe. Kryjąc się za zasłoną roślinności i ciężko dysząc, przebiegł kilometr, może trochę więcej, zanim się zatrzymała. Oparł się o drzewo, próbując złapać oddech i obserwował pojazd. Nikt jednak nie wysiadł ani z szoferki, ani z tylnej części ciężarówki. Po chwili doszło go ciche zawrozdzenie, a następnie głuchy odgłos uderzenia i krótkie, stłumione: „Zamknij się, posrańcu!”. Potem padły kolejne słowa, ale nie dosłyszał już ich, bo zagłuszył je warkot silnika. Maus błyskawicznie odwrócił się w kierunku, z którego dochodził głos. Najpierw dostrzegł długie światła przekłuwające mrok, a zaraz po nich jeszcze jedną wojskową ciężarówkę, która zatrzymała się obok pierwszej.

Dopiero teraz zauważył w pobliżu niewielkie wzniesienie kończące się urwiskiem tuż przy ciężarówkach. Dobre miejsce, by się przyjrzeć im i ich ładunkowi. Z ciężarówek nadal nikt nie wysiadał, postanowił więc

wykorzystać tę chwilę i dostać się na wzniesienie. Ruszył po cichu, gdy usłyszał trzask ciężkich, metalowych drzwi i przyciszone rozmowy, na których trudno mu było teraz się skupić. Przemknął ostrożnie na upatrzoną pozycję. Był już niemal na miejscu, gdy coś go zatrzymało.

To był szelest suchych liści, tuż przy nim. Odwrócił się w kierunku, z którego dochodził odgłos, ale niczego nie dostrzegł – było zbyt ciemno. Ścisnął mocniej pistolet w prawej dłoni. Nasłuchiwał przez chwilę, a kiedy jego uszy wychwyciły kolejny szmer, przylepił się do pobliskiego drzewa. Nagle coś szarpnęło gałęzią tuż obok niego. Wstrzymał oddech i odwrócił głowę...

Słońce już całkiem schowało się za horyzontem, w który wpatrywała się ze szczytu wzniesienia. Nie miała pojęcia, gdzie jest i w jakim kierunku powinna teraz iść. Dookoła widać było jedynie kolejne wzniesienia gęsto pokryte drzewami. Nic ponadto. Odwróciła się i jeszcze raz spojrzała w stronę, z której nadeszła. Gdyby teraz zawróciła, zapewne bez problemu odnalazłaby chatkę Michała i mogłaby w niej spędzić noc. Nie szła przecież dłużej niż kilkanaście minut.

Ale nie mogła tam wrócić. Nie po tym, co zrobiła. Gorliwie wierzyła w nauki Brata Ezechiela, a jednak była zdolna do zabicia nieśmiertelnego. Przez Michała wszystko straciło sens. Nie była godna przemiany i nie wiedziała już, kim jest. To ją przerażało. Teraz chciała tylko uciec jak najdalej stąd. Tyle jej pozostało.

Ruszyła w dół z boczka i po chwili znów zatopiła się w ciemnym gąszczu lasu. Zdecydowała się iść przed siebie, bo w ten sposób kiedyś musiała dotrzeć do krańca puszczy. Szła szybkim krokiem, nie rozglądając się na boki. Starła się nie myśleć o otaczającym ją półmroku i odgłosach, które z czasem i tak musiały znaleźć drogę do jej podświadomości. Ta z kolei wyświetlała w jej wyobraźni fantazmatyczne obrazy malowane kolorami jej lęków i fobii. Było w tym coś dziecinnego i nagle poczuła się

jak dziecko w baśniach braci Grimm – sama pośrodku leśnego labiryntu, z którego być może nie ma wyjścia. Wsłuchiwała się w dźwięk miażdżonych pod butami suchych gałęzi, upewniając się, że w pobliżu trzeszczą tylko one. Od czasu do czasu odruchowo zerkała za ramię, sprawdzając, czy nikt za nią nie idzie, choć mrok gęstniał z każdą chwilą i wkrótce całkowicie otulił las koldrą ciemności.

Szła coraz wolniej, z trudem dobierając optymalną ścieżkę między drzewami. Brnęła teraz przez puszcę, niepewnie stąpając po ściółce i odgarniając nisko zwisające gałęzie drzew... Zatrzymało ją dopiero wycie wilków. Niespodziewane i głośne, choć nie potrafiła stwierdzić, skąd dochodziło. Rozejrzała się w panice, bo fantazja tym razem podsunęła jej wizerunek wilkołaka. Kto wie, czego można się było spodziewać w takich miejscach po apokalipsie... Uspokoila się dopiero na wspomnienie białego wilka Michała. Może to nie wataha wilków, lecz właśnie on wył za nią, ostatni raz próbując ją przekonać do powrotu?

Stała bez ruchu i nasłuchiwała, ale wycie się nie powtórzyło. W upiornej ciszy, jaka zapadła, wydało się jej, że została zamknięta pod niewidzialną kopułą tłumiącą wszelkie dźwięki otaczającego ją świata. Nie mogła jednak pozbyć się wrażenia, że ktoś czai się w ciemności, obserwuje ją. Słyszała jedynie swój oddech – przyspieszony i ciężki. Przejechała nogą po ziemi, chcąc się upewnić, że liście wydadzą charakterystyczny szmer, i na szczęście tak się stało. Musiała stąd odejść i to jak najszybciej. Tylko gdzie? Dopiero teraz dotarło do niej, że nie wie, skąd przyszła, ani w jakim kierunku zmierza.

Kolejny szmer. A raczej uderzenie o ziemię i jeszcze jedno. Tym razem jednak nie poruszyła nogą. I jeszcze jeden. Wstrzymała oddech i wyteżyła słuch. Czekala. Początkowo słyszała tylko, jak wali jej serce, ale kiedy się uspokoiło, zza pleców doszły ją przytłumione odgłosy kroków, rozmów i... jęków. Odruchowo przykucnęła. Dźwięki ani się nie przybliżyły, ani nie oddalały. Coś się działo kilkadziesiąt, może kilkaset metrów stąd. To nie

mógł być rytuał przemiany, bo te na ogół odbywały się po świcie. To musiały być... Pantery. Poczula ciarki na plecach. Jeśli to prawda, była w poważnym niebezpieczeństwie. Może to ta sama grupa, która do spółki z Michałem przerwała jej rytuał przemiany?

Najrozsądniej było ruszyć ostrożnie przed siebie, ale z nie do końca jasnych dla siebie powodów chciała się upewnić... Może to nie oni... Może ktoś, kto pomoże jej wrócić do Kultu...

Pierwsze kroki były trudne. Walczyła z paraliżującym lękiem, nie tylko przed niewiadomą czającą się w ciemności, ale także przed świadomością, że jeden fałszywy ruch, jeden zbyt głośny szelest może ją zdradzić. Jednak każde kolejne stąpienie przychodziło już z większą łatwością. Groźna sytuacja i towarzyszące jej napięcie wyzwoliły w niej zdolności, o których nie miała pojęcia. Skradała się instynktownie, szybko i zwinnie, była już bardzo blisko źródła dźwięków, jeszcze tylko...

Zatrzymała się, w ostatniej chwili dostrzegając przed sobą kilkumetrowe urwisko. Po chwili usłyszała całkiem wyraźnie czyjeś głosy, jęki, a nawet szcęk uginających się resorów ciężarówek. Spojrzała w dół. Z początku nie potrafiła niczego dostrzec. By zyskać lepszą perspektywę, przesunęła się nieco w lewo, trzymając się mocno potężnego drzewa rosnącego tuż nad urwiskiem. Odrobina kamyków wystrzeliła w dół, uderzając o ziemię z ledwo słyszalnymi stuknięciami. Przywarła do drzewa i w tym momencie dostrzegła parę jarzących się w ciemności punktów... Oczu. Wstrzymała oddech. Oczy patrzyły w jej stronę. Po chwili z ciemności wyłoniła się jeszcze jedna para.

– Mgła przygotowana? – Usłyszała przytłumiony, charczący skrzek.

– Tak, wszystko gotowe. Czekają na nas...

– Co to było?! – Raz jeszcze coś zaskrzeczało w ciemności.

– Albo jakieś zwierzę, albo kolejny z nich. Zaraz tam kogoś wysłę.

Cichy gwizd był jak wystrzał pistoletu startowego ogłaszającego początek gonitwy. Tak jak przypuszczała, to nie byli członkowie Kultu

Brata Ezechiela, ale też nie były to Pantery. Serce znów waliło jak oszalałe. Kim oni są? I co robią tam w dole? Co to za jęki? Brzmiały jak zawrodoenie nieśmiertelnych... Zresztą nieważne, musiała uciekać albo przynajmniej ukryć się w jakimś bezpiecznym miejscu.

Nagle usłyszała trzask, a po nim głośny szelest liści. Nie zdążyła się odwrócić, gdy ktoś złapał ją od tyłu, zasłaniając jej usta jedną ręką, a drugą krępując ruchy.

Jego życie było pasmem porażek. Tak przynajmniej twierdziła jego żona. Kochał ją i musiał przyznać jej rację. Urodził się w dziesięcioosobowej rodzinie: sześciu braci i jedna siostra i on – najstarszy z rodzeństwa. Rodzice zawsze klepali biedę, ale na początku nie było najgorzej – przynajmniej nie głodował, a od wielkiego dzwonu mógł nawet liczyć na jakiś prezent. Potem, z każdym rokiem, jedzenia dla niego było coraz mniej, palmę pierwszeństwa przejmował kolejno każdy następny z braci, aż w końcu przejęła ją siostra. Przyszła na świat najpóźniej i z miejsca stała się ulubienicą rodziców i wszystkich dookoła. I pomyśleć, że jego życie mogło potoczyć się zupełnie inaczej, gdyby jego rodzice wiedzieli o istnieniu antykoncepcji... Być może jego samego też by nie było, ale biorąc pod uwagę, jak wyglądało jego życie, uważał, że nie byłaby to wielka strata...

Jako dwunastolatek musiał zacząć zarabiać. Trafił na ulicę. Wychudzone, brudne dziecko, często w towarzystwie nie mniej umorusanego brata, robiło wrażenie na przechodniach, zwłaszcza na kobietach, tych starszych. Patrząc na niego, myślały o swych wnukach, dziękując Bogu, że uniknęli podobnego losu i pracują na dobrych, państwowych posadach. A małego żebraka ratowały groszem, czasem drożdżówką z pobliskiej cukierni lub jakimś owocem. Wolał pieniądze. Wtedy mało było ryzyko, że spity pięcioma małpkami wódki o smaku grejpfrutowym ojciec spuści mu manto – wraz z brzękiem monet

wysypywanych na kuchenny stół pojawiała się bowiem wizja szóstej buteleczki.

Minęło trochę czasu, zanim zrozumiał, że wyzebrane na ulicy pieniądze nie uchronią go przed pasem, bo do totalnego upojenia alkoholowego ojciec potrzebował na ogół siedmiu małpek. I tak nie było źle, bo sąsiad potrafił wydoić ich dwanaście. Ale kiedy w końcu do tego doszedł, postanowił się przebranżowić. Jako jedyny w rodzinie miał żyłkę biznesmena. Potrafił szybko nawiązywać obiecujące kontakty. Wcześniej prosił ludzi o pieniądze, a one przecież leżały na ulicy, a właściwie stały na jej rogach w postaci różnych ciemnych typków – brukowych, ale wcale nie mniej krwiożerczych kapitalistów niż ich korporacyjne odpowiedniki. Jak wszędzie, a to pojął już na wstępie, aby wejść na rynek, trzeba najpierw coś dać od siebie. Gotówką nie dysponował, kontaktami też nie, więc handlować mógł jedynie ciałem. Nie była to waluta pokroju franka szwajcarskiego czy funta szterlinga, ale utargował swoje i w wieku czternastu lat rozpoczął działalność gospodarczą jako złodziej. Teraz nie był już żebrakiem, czuł się jak księżę ulicy i było go stać na coś więcej niż ulubione batoniki o smaku tiramisu. To mu jednak nie wystarczyło, chciał się piąć w górę. Czuł, że wszystko się odmieni i w końcu będzie kowalem własnego losu.

Niestety, łaska pańska na pstrym koniu jeździ, o czym się przekonał, gdy skończył piętnaście lat. To miał być prosty włam z dużą kasą do zgarnięcia i taki właśnie był, do czasu kiedy się okazało, że jego współnik źle rozpracował dom, a mieszkanie do którego omyłkowo trafił, zamieszkuje antyterrorysta z rodziną. Miał na imię Darek, do teraz pamiętał jego imię i twarz. Zanim trafił do poprawczaka, zaliczył pierwsze w życiu złamanie żeber – ojciec lał go tylko po dupie.

Placówka resocjalizacyjna okazała się miejscem pełnym niespodzianek. Szybko się przekonał, że istnieją jednak gorsze i bardziej toksyczne środowiska niż dom rodzinny. Większość atrakcji okrył zatem całunem

milczenia i niepamięci, bo doświadczenia ani nie były miłe, ani estetyczne, ani dobre. Pozytywny był jedynie aspekt poznawczy i znajomości zawarte na lata. W poprawczaku miał sporo czasu na networking, który po wyjściu przyniósł mu sporo zysków, ale również, co było nieuniknione w tego typu działalności, straty.

Jeszcze przed uzyskaniem pełnoletniości, po zdobyciu niezbędnych umiejętności oraz naukach pobieranych u starszych i bardziej doświadczonych kolegów, parał się między innymi rozbojami, dilerką i napadami. Tuż po osiemnastych urodzinach wrócił do złodziejstwa, zapominając, że przecież nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Zaliczył zarzut usiłowania zabójstwa, mocno jego zdaniem naciągany, i w ten oto sposób trafił do więzienia.

Nie liczył godzin i lat, może tylko przez pierwsze miesiące, bo pod wpływem pewnej informacji doszedł do wniosku, że życie po więzieniu może być jeszcze gorsze. Osiem miesięcy po rozpoczęciu odsiadki został ojcem. Dziecko miało na imię Bonawentura, po dziadku, choć początkowo był skłonny się założyć, że jednak po babci swej wybranki, z którą wziął ślub, gdy mały Bonawentura szedł do podstawówki.

Mirellę poznał w klubie, w którym kumpel z poprawczaka parał się sutenerstwem – trzeba przyznać, że miał do tego talent. Historia Mirelli była równie optymistyczna i pełna przygód jak jego, dlatego dla zachowania zdrowia psychicznego nigdy nikomu jej nie opowiadał. Usłyszał ją raz, to wystarczyło.

Był jednak ojcem, a to zobowiązywało. Nie chciał być dla Bonawentury takim dupkiem jak jego ojciec dla niego. Możliwe, że zaliczał się do szczęśliwego promila tych, których dotknęła lecząca ręka systemu penitencjarnego i którzy otrzymali zbawienie przez resocjalizację, bo rzeczywistość więzienna podsunęła mu rewolucyjną myśl o podjęciu legalnej działalności. Nie miał wprawdzie wykształcenia, ale miał praktykę

– umiejętności i doświadczenie, czyli to, czego rynek potrzebował najbardziej.

Zaczął pracować przy utylizacji odpadów medycznych (to kurator załatwił mu tę robotę), szybko jednak przerzucił się na utylizację opon. Za zarobione pieniądze kupił dziesięcioletniego fiata multiplę i został taksówkarzem. Na kolejną zmianę pracy nie czekał długo, bo najpierw został okradziony przez dwóch gówniarzy (przypominali mu jego samego z czasów między poprawczakiem a więzieniem), a następnie jego samochód spłonął w niewyjaśnionych okolicznościach. Na szczęście los postawił na jego drodze kolejnego znajomego z poprawczaka, który akurat został menedżerem restauracji i szukał szefa kuchni. Rekrutację na to stanowisko znacznie ułatwiał fakt, że właściciele nie obchodziła jakość jedzenia, bo lokal służył do bardziej dochodowej działalności niż karmienie niewybrednych polskich gęb. Dowiedział się o tym parę miesięcy później, kiedy menedżer wraz z właścicielem poszli siedzieć, a on musiał szukać kolejnej roboty. Najgorsze było to, że szef zalegał z wypłatą i to przez pięć miesięcy.

W międzyczasie urodziło mu się kolejne dziecko. W przeciwieństwie do swoich rodziców wiedział o antykoncepcji i starał się nie skazywać kolejnych istot ludzkich na podobną drogę krzyżową, jaką sam przeszedł, ale tabletki nie dawały pełnej gwarancji. Tym razem córka. Gryzelda. Jej rodzina pochodziła z zachodniopomorskiego – tak Mirella umotywowała wybór imienia i jemu to wystarczyło. Nie drażył tematu, bo jej nie dało się przegadać – pracując w klubie, stała się mistrzynią erystyki, choć dyskusje mogła prowadzić jedynie z koleżankami. Zamiast tracić siły na spory z żoną, zaczął szukać nowej pracy.

Zanim odpowiedział na ogłoszenie, które mogło odmienić jego życie, media poinformowały o pierwszym, oficjalnym przypadku zagryzienia człowieka przez żywego trupa. Po dysfunkcyjnej rodzinie, poprawczaku, więzieniu i upokarzających zajęciach, przerywanych jedynie wizytami

w domu, gdzie czekała na niego żona z dziećmi o dziwacznych imionach, nastąpiła apokalipsa. Był pewien, że zginie w pierwszych dniach. Wokół wszyscy padali jak muchy. Zaczął żałować, że usiłowanie morderstwa było karane tak krótką odsiadką – w więzieniu byłby zapewne bezpieczniejszy. Niemniej, nic mu się nie stało, w przeciwieństwie do żony i dzieci. Wszyscy troje zginęli w pierwszym tygodniu ataku żywych trupów, on zaś musiał ciągnąć swą hiobową egzystencję.

Najwyraźniej złych nie biorą do piekła, bo przetrwał kolejne trzy lata. Jakimś cudem zawsze udawało mu się ująć przed umarlakami, a potem nagle przestały atakować. Życie powoli wracało do normy. Po cichu liczył na to, że być może w tym nowym świecie coś się zmieni. I tak też się stało. Poznał najcudowniejszą kobietę na świecie – Miriam. Analizował to potem wielokrotnie i doszedł do wniosku, że ma słabość do kobiet o niecodziennych imionach na literę M. Zdarza się. Kwestiami genetycznymi, choć wcale się na tym nie znał, tłumaczył swą wyjątkową płodność rodzinie, bowiem dwa miesiące po poznaniu Miriam okazało się, że znów zostanie ojcem. Ta perspektywa ponownie obudziła w nim poczucie odpowiedzialności za żonę i dziecko.

Jakieś dwa tygodnie temu w ruinach dawnej Warszawy spotkał znajomego. Przed laty połączyła ich dilerka, potem nawet przez pewien czas siedzieli razem w pierdłu. Juliusz był sympatycznym gościem. Rodzice nadali mu imię na cześć wieszczka Słowackiego, ale syn nie wyrósł bynajmniej na poetę. Kiedy poznał Juliusza, pomyślał, że to zabawny przypadek – sam miał na imię Adam, choć szczerze wątpił, czy miało to związek z innym narodowym wieszczem, podejrzewał, że jego rodzice nawet o nim nie słyszeli.

Juliusz załatwił mu dobrą robotę, dzięki której mógł zapewnić bezpieczeństwo i godne warunki życia swojej nowej rodzinie. Zajęcie było wprawdzie „tajne łamane przez poufne”, ale nie zaprzętał sobie tym głowy. Dobrze, że cokolwiek się trafiło.

W pierwszym dniu pracy miał się stawić w wyznaczonym punkcie i tak też zrobił. Zastanawiał się wprawdzie, co może mieć do roboty na skraju Bieszczadów, w końcu machnął na to ręką – przecież w przeszłości zdarzało mu się spotykać z kontrahentami w różnych dziwnych lokalizacjach. Gdy późnym popołudniem dotarł na wskazane miejsce, czekało tam już kilkanaście osób. Punktualnie o osiemnastej przed grupą stanął wysoki mężczyzna ubrany na czarno i w krótkich słowach wyjaśnił, co mają robić, oraz dodał, że wszystkich obejmuje tajemnica, której złamanie będzie karane szybkimi kulkami w łeb zdrajcy i jego rodziny.

Dostali krótkofalówki, noktowizory i nadajniki GPS. Mieli pracować w trzyosobowych zespołach nadzorowanych przez jednego przedstawiciela firmy. Zadanie było proste: namierzyć umarlaka, zgłosić nadzorcy i złapać. Liczyła się liczba złowionych żywych trupów – za każdego płacono osobno. Większość osób musiała odczuwać lęk na myśl o łowieniu umarłaków, ale nie on. Skoro nie zabiła go apokalipsa, nie straci życia w czymś takim.

Jego grupie szło świetnie. Zgarnęli sześciu umarłaków i teraz czekali na transport. Było już ciemno, słońce zaszło kilkadziesiąt minut temu. Reszta jego drużyny była już w miejscu zbiórki, on jednak chciał wytropić kolejnego umarlaka – zawsze to więcej kasy. Krążył wokół wyznaczonego terenu, kiedy coś dostrzegł przez noktowizor. Niewielki ruch gałęzi. Wyteżył słuch. Usłyszał kroki na wyschniętych liściach. W końcu dostrzegł postać – całkiem niedaleko, tuż nad urwiskiem, pod którym kilkadziesiąt sekund temu zaparkowały ciężarówki. Wyglądała jak zwykły dzieciak, ale równie dobrze mogła być małym umarlakiem. Zaszedł ją od tyłu, ścisnął pistolet w prawej ręce, wyciągnął przed siebie prawą dłoń i szybkim ruchem odwrócił ofiarę w swoją stronę...



To nie tak miało wyglądać! – krzyknął w myślach. Nie czuł bólu, choć gałęzie smagały go podczas obłąkańczego biegu, pozostawiając, przede wszystkim na jego twarzy, czerwone ślady. Był jak w transie, intuicyjnie wybierając najlepszą trasę wzdłuż ściany lasu i umiejętnie stawiając kroki na nierównym terenie. Ścigał się z czasem, by uratować ostatnie z istnień ludzkich, które można było jeszcze ocalić z tego rytuału śmierci. W tym momencie tylko to się liczyło.

Kolejna gałąź uderzyła o jego lewy policzek, rozcinając go aż do krwi. Nawet tego nie zauważył. Nie zatrzymując się, spojrział w prawo. Na łące zapanował chaos, ale on wciąż był za daleko... Starał się o tym nie myśleć, ale był zły, a kiedy był zły, robił się niebezpieczny – wiedział o tym każdy, kto miał z nim kiedykolwiek do czynienia. Nie, nie był zły. Był wkurwiony. Być może właśnie ważyły się losy ludzkości, a on nie mógł nic zrobić. Co gorsza, wszystko zależało od tamtej dziewczyny. Oczywiście powiedział Weronice i Mausowi, że to właśnie dziewczyna jest kluczowym elementem, ale nie wytłumaczył dlaczego. W tym momencie nikt poza ścisłym kierownictwem Panter jeszcze nie powinien wiedzieć, by nie robić nikomu złudnej nadziei. A nie powiedział, bo wyartykułowanie tych słów wiązałoby się z koniecznością konfrontacji z ich sensem. I nie chodziło o to, czy oni są na to gotowi, ale czy on sam był w stanie się z tym zmierzyć...

Niezależnie od wszystkiego musiał wykonać plan do końca. To był projekt, nad którym pracowali z kierownictwem Panter od miesięcy, właściwie od końca apokalipsy, kiedy Piter trafił w internecie na informację, która wszystko zmieniła.

Od początku przeczuwali, że atak żywych trupów nie był przypadkiem, że ktoś za nim stał. Przypadkowe wydostanie się wirusa na wolność? Ta, jasne... A zdobyta przez Pitera informacja według Aleksa dostarczała dowodu na to, że winne były międzynarodowe koncerny, a właściwie grupa skupionych wokół nich przedsiębiorców, działaczy, naukowców i artystów filantropów, którzy w sekrecie dążyli do zagłady ludzkości. Nie było wątpliwości, że to był największy spisek w historii ludzkości. Ta grupa była znacznie silniejsza od rządów i politycznych unii. To dlatego z taką łatwością doprowadziła do rozkładu – i to dosłownego – cywilizacji. Ale w ich planie coś poszło nie tak, czegoś nie przewidzieli i apokalipsa nie zabrała ze sobą wszystkich ludzkich istnień. Umarlaki przestały atakować. Wymyślili więc Kult Brata Ezechiela, który po kryjomu kontynuował zaplanowaną eksterminację ludzkości w jej dawnym kształcie – kształcie, o który dziś walczyły już tylko Pantery. Tak przynajmniej wynikało z informacji, do których dotarł Piter. Dzięki niej Pantery mogły teraz powstrzymać nie tylko Kult Brata Ezechiela, ale również epidemię żywej śmierci. Od Pitera wiedzieli także, że właśnie ta dziewczyna może być kluczem do rozwiązania obu tych kwestii...

Wystrzał z karabinu odbił się głośnym echem wśród drzew. To, co zerwało do lotu ptaki z pobliskich drzew, przywiązało jego nogi do ziemi. W ułamku sekundy zatrzymał się, obrócił w prawo i zobaczył barczystego mężczyznę zatapiającego ostrze noża w czole umarlaka. Skoro go zabił, pewnie pomoże dziewczynie, która leżała nieprzytomna na trawie. Czyli jedna rzecz z głowy. Obok dziewczyny w nienaturalnej pozycji spowodowanej nagłą śmiercią, zapewne z ręki tego samego

mężczyzny, spoczywało ciało członka Kultu Brata Ezechiela. Druga rzecz załatwiona. Kątem oka dostrzegł ruch w zaroślach.

Odruchowo obejrzał się za siebie, jakby próbował przejrzeć gęstą zasłonę drzew, by dostrzec Weronikę i Mause, ale ci byli daleko za nim. Mógł na nich zaczekać, niebezpieczeństwo minęło i przez chwilę nawet się zastanawiał, czy nie powinien zająć się dziewczyną, uznał jednak, że Weronika i Maus powinni sobie poradzić z nieprzytomną nastolatką i jakimś gościem z łukiem. On w tym czasie mógłby dopaść ostatniego uczestnika obrzędu przemiany i być może wyciągnąć z niego ważne informacje dotyczące dziewczyny.

Las zdecydowanie nie był środowiskiem naturalnym dla uciekającego. Co innego Aleks – świetna orientacja w przestrzeni, kondycja i siła fizyczna w połączeniu z partyzancką przeszłością robiły swoje. Po kilkudziesięciu sekundach sprintu zbieg był już w zasięgu jego wzroku. Aleks układał już w myślach listę pytań, które zaraz zada. Było ich sporo, ale naprawdę chciał wiedzieć, co uczestnik Kultu wie o dziewczynie i jej przeszłości i czy zdaje sobie sprawę, kim była. Skazanie jej na przemianę temu przeczyło.

Uciekający musiał słyszeć kroki Aleksa, bo choć stawiał je wyjątkowo lekko, liście pod jego butami szeleściły jak rozpościerane prześcieradło. Nie obejrzał się jednak ani razu, z godną podziwu determinacją brnąc przed siebie. W końcu nie wytrzymał, zwolnił i obrócił głowę. Aleks rzucił się na niego i sprowadził do parteru. Wprawnym ruchem przewrócił go na plecy, usiadł na nim okrakiem i zerwał kaptur z jej głowy...

– Sara?! – wydusił z trudem. Przebiegł dobry kilometr, ale dopiero teraz poczuł się zmęczony, zakręciło mu się w głowie i musiał wziąć głęboki oddech.

– Aleks...

– Co ty tutaj robisz?! – zapytał po dłuższej chwili głosem, którego sam nie poznał. Brzmiał, jakby karmił dziecko za to, że wbrew zakazowi wybrało się tam, gdzie nie wolno mu było chodzić.

Patrzyła na niego struchlała z przerażenia. Jej ciało drżało nierytmicznie, jakby nadawało za pomocą alfabetu Morse'a sygnał mayday. Palce dłoni zatopiły się głęboko w ściółkę, szukając w niej korzeni, których mogłaby się chwycić. Zacisnęła mocno oczy.

– Zabijesz mnie, prawda? – wymamrotała dygoczącymi wargami. Dotknęła jego ręki umorusaną dłonią. Była lodowata. – Zabijesz mnie... – powtórzyła.

Szelest liści w oddali był jak bodziec początkujący odruch warunkowy. Błyskawicznie nakrył jej trzęsące się usta dłonią. Zaczęła się miotać, myśląc, że Aleks chce ją udusić, ten jednak położył palec na swych ustach, nakazując milczenie. Chrząst suchego runa leśnego przybierał na sile. Aleks zwolnił nieco ucisk. Rozejrzył się nerwowo dookoła i nagle przyłgnął mocno do dziewczyny, nakrywając ją swoim ciałem. Przeszył go krótki dreszcz. Czuł szybkie bicie jej serca, pulsowanie żył, w uszach dudnił mu jej krótki, paniczny oddech. Wdech, wydech, wdech, wydech. Miarowy tupot ciężkich wojskowych butów nie miał szans przebić się przez tę ścianę dźwięku. Zamknął oczy delikatnym, powolnym ruchem przejechał prawą dłonią po jej brzuchu i dotknął ziemi, jakby chciał wyczuć wibracje, które wzbudzały w ściółce kroki zbliżających się osób.

Leżeli tak kilkanaście, może kilkadziesiąt sekund, ale dla Sary to była wieczność. Myśli i obrazy przeskakiwały przed jej oczami jak sceny filmu oglądanego na szybkim przewijaniu najpierw do tyłu, a potem znów do przodu. Kolejne urywki z jej życia to pojawiały się, to znikwały. Ich główną bohaterką była oczywiście Weronika, dopiero po pewnym czasie pojawiły się przebitki z Alekssem, ale film raptownie urwał się wraz z ruchem jego ciała. Chłopak podniósł się nagle. Stał teraz nad nią okrakiem i patrzył jej w oczy.

Sara leżała bez ruchu na ziemi, otulona żółto-czerwono-brązowym dywanem utkanym z liści, uschniętych gałęzi, owoców i nasion. Otworzyła

usta, by coś powiedzieć, Aleks jednak znów gestem nakazał jej milczenie. Kucnął przy niej. Zacisnął mocno pięści i przejechał nimi po udach.

– Kult Brata Ezechiela? serio?! – wycedził cicho przez zęby i przygryzł lekko drgającą dolną wargę aż do krwi. – Przecież twoja siostra walczy z nimi w Panterach! Wiesz, że mogła cię dzisiaj zabić?! Ona tam była! Pomyślałaś o tym?!

Łzy skleiły jej powieki. Pod nimi pojawiła się postać starszej siostry i ten widok wywoływał ból, lecz bała się otworzyć oczy. Bała się świdrującego, karcącego spojrzenia, wwiercającego się w jej umysł i przebijającego wszystkie drzwi do miejsc, do których nie chciała już wracać. To były zamknięte rozdziały życia. Przynajmniej odkąd dołączyła do Kultu Brata Ezechiela, w którym, w przeciwieństwie do Panter, przyjęli ją z otwartymi ramionami.

– Słyszysz, co do ciebie mówię? – warknął przytłumionym głosem i potrząsnął nią mocno za ramiona, podnosząc z ziemi.

Nadal mocno zaciskała powieki, a kiedy w końcu je otworzyła, wielka łza spłynęła po jej porcelanowym policzku, małym podbródku i długiej szyi. Jej rozwichrzone ciemnobrązowe, niemal czarne włosy opadały na twarz, kryjąc przed spojrzeniem Aleksa lewy profil. Zamrugnęła prawym okiem.

– Słyszę – odparła z trudem, nie potrafiąc opanować drżenia głosu.

– W takim razie dlaczego?!

Nie dziwił ją oskarżycielski ton Aleksa. Miał do niego prawo. Żałowała jedynie, że się spotkali. To było okropne uczucie.

– Nie zrozumiesz... – załkała.

– To spróbuj mi wytłumaczyć! – wrzasnął. Skuliła się, a Aleks, sam przestraszony swą gwałtowną reakcją, natychmiast poluzował uścisk.

– Przynajmniej spróbuj... – poprosił, tym razem szeptem.

– Kiedyś chciałam być taka jak Wera. Była moim wzorem... Ale już nie jest.

Tak jak przypuszczała, Aleks nie zrozumiał. Skąd miał wiedzieć, jak bliska więź łączyła siostry jeszcze kilka miesięcy temu? Potem Wera ją opuściła. Jakby umarła. A ona nie potrafiła i nie chciała żyć bez niej.

– Kiedy nas zostawiła, chciałam się zabić! Ale sama nie potrafiłam, tego zrobić. – Przełknęła łzy i pociągnęła nosem, pocierając nerwowo dłońmi o uda. – Wstąpiłam do Kultu Brata Ezechiela, bo miałam wszystkiego dość... Miałam tylko ją, więc pomyślałam, że jeśli nie możemy być razem, wolę się zabić...

Nie zdążyła dokończyć. Aleks uniósł prawą dłoń i uderzył ją w twarz. Nie zareagowała. Przełknęła kolejną porcję łez.

– Czy ty słyszysz, co mówisz?! Okrywasz hańbą rodzinę, za nic masz wartości, w które wierzy Weronika. Gdyby ona cię teraz słyszała...

– Może w końcu powinna! – niemal wykrzyczała. Czowała bezsilną wściekłość, która narastała w niej od kilku miesięcy.

– Zamknij się! Powinienem cię zabić... Kult Brata Ezechiela?! Mordujecie niewinnych ludzi, a za to należy się wam śmierć!

– Nikogo nie mordujemy! Oferujemy zbawienie.

– Tej ostatniej dziewczynie też?! Sama tego chciała?

– Tak! Tego właśnie chciała. Chciała przestać być kimś takim jak ty – żalonym, śmiertelnikiem bez przyszłości.

Aleks spoliczkował ją.

– Co o niej wiesz? – warknął.

Sara popatrzyła mu w oczy i splunęła w jego stronę, ale w porę się uchylił.

– Co o niej wiesz? – wycedził raz jeszcze, chwytając jej głowę i ściskając. W oczach Sary pojawił się lęk.

– A co mam wiedzieć? – zapytała z paniką w głosie. – Chciała przemiany. Miała dość ludzkiego życia, jak my wszyscy.

– Jej obrzęd był zaplanowany na dzisiaj?

Popatrzyła na niego i zawahała się przez moment.

– Nie... – zająknęła się. – Ale ktoś wypadł i wczoraj dostała decyzję o szybszej przemianie.

– Kto ją wydał? – Dłonie Aleksa zacisnęły się na jej szyi.

– Nie wiem – szepnęła. – Nie wiem...

Aleks zwolnił uścisk. Jego zęby zgrzytały, tarły o siebie, jakby szykowały się do zatrzaśnięcia na jej szyi, jakby to one, a nie gnijące, pogrążone w rozpadzie szczęki niemartwych, miały ją pozbawić życia, odbierając jednocześnie szansę na nieśmiertelność. Dłonie Aleksa znów zacisnęły się na jej ramionach.

– Jesteś bezużyteczna i nie zasługujesz na życie.

– Więc mnie zabij! Podobno jesteś w tym najlepszy... – powiedziała przez łzy. Drżała na całym ciele.

To nie była próba sił ani testowanie jego człowieczeństwa. Coś w niej pękło i chyba naprawdę chciała umrzeć. Było to widać w jej oczach – pustych jak oczodoły niektórych umarłaków. Odepchnął ją na ziemię ze wstrętem, jak trędowatą, od której mógł się zarazić. Cofnął się o krok.

– No dalej! Zabij mnie!

Zerwała się na kolana i wypięła pierś, czekając na cios nożem, który zwisał u boku Aleksa. Teraz ona świdrowała go wzrokiem. Nie mógł znieść tego spojrzenia, budzącego jego wszystkie lęki. Odsunął się, robiąc kolejny krok do tyłu. Poczuł, jak wilgotnieją mu spojówki.

– Spieprzaj stąd! Następnym razem naprawdę cię zabiję!

Odwrócił się i odszedł, patrząc przed siebie.

– Jesteś tchórzem! Pierdolonym tchórzem!

Usłyszał jeszcze za sobą jej jadowity syk, ale ten szybko został zagłuszony przez trzaski gałęzi i liści miażdżonych pod jego wojskowymi butami.

– Dymitriego też nie potrafiłeś zabić! – zawołała.

Stał jak wryty.

– Coś ty powiedziała? – warknął, nie odwracając się.

– Poszedłeś walczyć, a ich zostawiłeś! Zostawiłeś brata i rodziców! Tak, wiem o wszystkim, bo Wera mi powiedziała, a ty powiedziałeś tylko jej... Zabijała się w tobie i opowiadała mi te wszystkie łożawe historie! Podobno chciałeś zabijać nieśmiertelnych, ale jak przyszło co do czego, jednego z nich nie potrafiłeś zabić! – Sara nie spuszczała z tonu.

Aleks odwrócił się powoli w jej stronę. Miał kamienną twarz. Drżały mu jedynie usta.

– Zamknij się. Dobrze ci radzę.

Ledwo nad sobą panował.

– Sam się zamknij i przestań się okłamywać! Dopiero nauki Brata Ezechiela uświadomiły mi, że wszyscy jesteście zakłamanymi popaprańcami! A zwłaszcza ty! Zwerbowałeś Werę i zrobiłeś jej pranie mózgu! Wmówiłeś jej, że musicie zabijać nieśmiertelnych, chociaż oni nas ratują. Dają nam coś więcej, niż mamy – życie się kończy, nieśmiertelność trwa wiecznie. Bez nich wszyscy kiedyś byśmy umarli, również Dymitri! Mógłby umrzeć za dzień, miesiąc lub rok, a tak może żyć wiecznie, bo jest nieśmiertelny. Chyba że któryś z twoich kolegów strzeli mu w łeb, jak to macie w zwyczaju. A może jego akurat powstrzymasz, co?!

Aleks stał w bezruchu, wpatrując się w ziemię.

– Zamknij się – powtórzył rozedrganym głosem. – Po prostu się zamknij.

– Aleks, czy ty niczego nie rozumiesz? Oni dali zbawienie Dymitriemu i twoim rodzicom. Powinieneś być im wdzięczny...

Zanim dokończyła, Aleks rzucił się na nią. Oplótł dłonie wokół jej szyi i zacisnął je z całej siły. Zaczęła wierzgać i charczeć. Próbowwała się wyrwać. Walila piąstkami w jego ramiona, których mięśnie napięte były teraz do granic możliwości. Z każdym uderzeniem słabła. Patrzył w jej nabiegające krwią oczy. Początkowe przerażenie teraz ustąpiło w nich miejsca pogodzeniu. Zanim jej ciało przestało stawiać opór, popatrzyła na niego łagodnie. Wzdrygnął się i gwałtownie oderwał ręce od jej szyi, ale

było już za późno. Leżała na liściach, wbijając w niebo nieruchomy wzrok. Zwymiotował. On, który zabił dziesiątki umarłaków, po raz pierwszy się zrzygał.



Tej nocy nie mógł zasnąć. Wiercił się w hamaku, od czasu do czasu zapadając w rodzaj półsnu, podczas którego przed zamkniętymi oczami stawały mu obrazy zarówno z poprzedniego dnia, jak i sprzed wielu lat. Lena przeplatała się w nich z Mają, Aga z Anią, na sceny nakładały się urywki zdań, czasem pojedyncze słowa. Im dłużej tak leżał, tym mniej był pewien, czy to wspomnienia, czy też wytwory jego wyobraźni. Noc była upalna, co tylko potęgowało rojenia w jego głowie.

W końcu dał za wygraną i usiadł na hamaku. Słońce jeszcze nie wstało. Najwyraźniej jego przyjaciel też nie mógł spać, bo czuwał na środku izby, wpatrując się w niego. Spojrzenie wilka było jak wyrzut sumienia – to było jeszcze gorsze niż wszystkie te niepokojące myśli, które torturowały jego umysł przez noc.

– Tak, wiem, to moja wina...

Ale wilk nie dał za wygraną. Zaskamlał, wstał, okręcił się wokół własnej osi i zatrzymał się przy wyjściu. Znów wbił ślepią w Michała.

– No dobra, już idę – powiedział niechętnie. Nie powinien był pozwolić jej odejść. Zachował się nieodpowiedzialnie i głupio. Dla niego przetrwanie w górach czy lesie nie stanowiło problemu. Radził tu sobie tak dobrze jak kiedyś w mieście. Rozumiał przyrodę i potrafił komunikować się z nią. Ale nie zawsze tak było. Pamiętał, jak trudno mu było na początku znaleźć z nią wspólny język. Przez większość życia mieszkał w mieście, i gdy był

małym chłopcem, natura jawiła mu się jako coś niezrozumiałego i dzikiego. Nigdy nie zapomni swego pierwszego obozu harcerskiego w Kostkowicach. Bogactwo kolorów, zapachów, odgłosów i ruchu fascynowało go, ale i napawało lękiem. Potem jeździł na kolejne obozy, ale nadal czuł, że las to nie miejsce dla niego. To było jak przerzucanie się z fast foodów na sałatki (czego zresztą w swoim czasie doświadczył z powodu podwyższonego cholesterolu). Przez długi czas nie umiał sobie wyobrazić cotygodniowej diety bez kilku cheeseburgerów, równie ciężko było mu wtedy pomyśleć o dłuższym niż kilka dni pobycie poza miastem. A już na pewno nie przypuszczał, że kiedyś las i góry staną się jego domem.

W przeciwieństwie do natury, miasto miało w sobie coś harmonijnego – panował w nim porządek, a wszechobecna technologia dawała złudzenie panowania nad światem wokół niego. Dopiero potem odkrył, że to było tylko złudzenie. Wystarczył jeden moment, jedno zdarzenie, by pielęgnowane przez długie lata poczucie bezpieczeństwa rozbiło się niczym porcelanowy bibelot. To było jak wataha dzików pustosząca centrum miasta – coś, co w jego rodzinnych Katowicach zdarzało się dość często, gdy jeszcze tam mieszkał. W miejsce porządku pojawił się nieład, a harmonię zastąpił chaos. Nie był już kapitanem swojego okrętu i kowalem własnego losu. Dawna spójność i celowość świata nagle stały się odległym, nierealnym wspomnieniem, niewyraźnym snem. Minęło wiele czasu, zanim odszukał drogę do swojego miejsca. Jak na ironię, znalazł je w naturze, z dala od miejskiego zgiełku i dawnego życia. Przyroda miała w sobie prawdziwe piękno, ale potrafiła też być niebezpieczna.

Teraz czekała go z nią rozmowa. Musieli się jak najszybciej dogadać w sprawie dziewczyny, która zapewne nadal błąkała się po okolicy. Świtało. Drzewa poruszały się niespokojnie pod wpływem delikatnych podmuchów wiatru. Wiało z południa, co zapowiadało nadejście deszczu.

– Niedobrze, zatrze ślady – powiedział, patrząc na wilka. Jego przyjaciel poruszył łbem, tak jakby miał na ten temat podobne zdanie.

Szybko podjęli trop i ruszyli w dół zbocza, a potem znów pod górę. Kiedy dotarli do skraju tej części lasu, jego obawy co do zmiany pogody potwierdził łuk tęczy jarzący się nad horyzontem. Popatrzył w niebo. Chmury przybierały soczewkowaty kształt. Nadciągał chłodny front, a z nim mocniejszy wiatr i obfite opady. Owady jeszcze nie zaczęły kęsać jak zawsze przed deszczem, co oznaczało, że na znalezienie Leny miał dwie, trzy godziny. Przyspieszyli.

Dziewczyna zostawiła dużo śladów, dzięki temu mogli systematycznie posuwać się do przodu. A gdy Michał na chwilę gubił trop, z pomocą przychodził mu przyjaciel. Weszli w gęsty las. Tu szczególnie liczył na wsparcie wilka i jego węch. Nie zawiódł się. Po kilkudziesięciu minutach zatrzymali się nad urwiskiem. W puszczy panowała absolutna cisza, a w powietrzu czuć było wyraźny zapach zieleni. Natura przygotowywała się na przyjęcie wody. Coś delikatnie ukłuło go w szyję. Odruchowo, błyskawicznym ruchem ręki, zmiażdżył komara wysysającego z niego krew po lewej stronie karku.

Nagle za plecami usłyszał szmer. Obejrzał się, ale niczego nie dostrzegł. Wilk zawarczał groźnie, lecz Michał uciszył go gestem. Szelest się powtórzył. Michał powoli ruszył w jego stronę, uważnie stawiając kroki. Schował się za okazałym bukiem, wyjrzał zza niego... i odetchnął z ulgą. Kilkadziesiąt metrów od nich zerował dorodny jelen. Czując spojrzenie człowieka, podniósł łeb ze swoim imponującym porożem. To był dwunastak nieregularny. Wyglądał zjawiskowo. Niestety, warknięcie wilka spłoszyło jelenia, który pognał w głąb puszczy.

Michał zawrócił w stronę urwiska, gdzie urwał się trop Leny. Popatrzył w dół. Na ziemi wyraźnie odcinały się ślady dużych opon, najprawdopodobniej ciężarówki. Dziwne, pomyślał. Zszedł na dół, by przyjrzeć się im z bliska. Obok nich znalazł ślady drugiego samochodu, a wokół nich odciski butów kilku, a może nawet kilkunastu osób. Do tego

ledwo dostrzegalne koleiny, jakby ktoś szedł, powłócząc nogami. I to nie jeden ktoś, lecz grupa osób.

Rozejrzał się wokół. W krzakach znalazł kilka niedopałków papierosów. Kilka metrów od nich ktoś oddał mocz i sądząc po tym, że liście w tym miejscu były mniej suche niż dookoła, musiało to być najdalej kilka godzin temu. Ale czy Lena natknęła się na nich? Czy – z własnej woli lub nie – poszła razem z nimi? Urywający się ślad potwierdzał to przypuszczenie. Zaklął cicho i zacisnął dłoń w pięść. Natura oczywiście potrafiła być niebezpieczna, znacznie bardziej groźni byli jednak ludzie. I żywe trupy. Ale tu raczej natknęła się na tych pierwszych. Nie miał pojęcia, czy to były wspomniane przez nią Pantery, wyznawcy Brata Ezechiela, czy ktoś jeszcze inny, ale ogarnęło go złe przeczucie. Nic tu do siebie nie pasowało. Ślady opon w tym miejscu, te dziwne koleiny, duża grupa osób nocą w środku lasu... W tej sytuacji jednak nie pozostawało nic innego, niż ruszać natychmiast śladem samochodów, zwłaszcza że sądząc po coraz częstszych ukłuciach owadów, deszcz był coraz bliżej.

Ciężarówki przyjechały w to miejsce, następnie nawróciły i pojechały drogą, którą przybyły. Ponieważ przemieszczały się przecinającym puszcę duktem, Michał nie musiał już przywiązywać wagi do drobnych śladów. Biegł truchtem, a obok niego podążał wilk. Po kilkunastu minutach dotarli do miejsca, w którym ślady opon rozchodziły się. Jedna z ciężarówek pojechała na wprost, druga skręciła w lewo. Michał zatrzymał się, normując oddech. Popatrzył w niebo. Spomiędzy koron drzew przebijały się jeszcze promienie słoneczne, ale nadciągały już ciemne chmury. Wiatr duł coraz mocniej, a las szumiał w odpowiedzi, kołysząc się w takt podmuchów. Michał musiał teraz dokonać wyboru, od którego mogło zależeć życie dziewczyny, jeśli wpadła na nieodpowiednich ludzi...

Droga na wprost prowadziła na skraj lasu, który dostrzegł w oddali, więc przypuszczalnie łączyła las z innymi drogami. Ciężarówka, która nią pojechała, równie dobrze mogła być już kilkadziesiąt kilometrów stąd.

Druga droga wiodła z powrotem do lasu. Istniała zatem możliwość, że samochód nadal gdzieś tu jest. Tak przynajmniej chciał w tej chwili myśleć. Po krótkim wahaniu wybrał ślady opon pojazdu, który skręcił w lewo.

Biegł kilka minut, gdy dotarł do miejsca, gdzie ślad znów się rozwidłał – jeden skręcał w prawo, drugi biegł nadal prosto leśną dróżką. Dopiero po chwili Michał zorientował się, że samochód musiał wjechać na moment w głąb lasu, następnie się wycofał i wrócił na ścieżkę. Potwierdzał to ślad kierujący się w prawo, który urywał się po kilku metrach, a zatem ciężarówka dojechała do tego miejsca i zatrzymała się. Dookoła znów wypatrzył ślady butów i te dziwne koleiny. Te ślady prowadziły w głąb lasu, ale po kilkudziesięciu krokach urywały się i zawracały – nie wszystkie jednak... Tylko odciski podeszew wojskowych buciorów.

Stał nad rowem przysypanym z góry świeżą ziemią. Po prawej zauważył rozgrzebany grunt i charakterystyczne odciski wskazujące na użycie łopat. Ktoś musiał tu coś zakopać. Koleiny mogły sugerować, że to jakieś skrzynie albo innego typu ładunek. Co mogło w nich być? I kto chciał je ukryć pośrodku lasu?

Myśl, która przeszła jego umysł, sprawiła mu fizyczny ból, tak intensywny, że musiał przymknąć oczy. Może zakopali tu ciało Leny, która przypadkowo zobaczyła coś, czego nie powinna była widzieć? Czym prędzej zeskoczył do rowu i zaczął odgarniać ziemię. Z pomocą przyszedł wilk, którego łapy sprawnie rozkopywały grunt. Z każdą odkopaną grudką intensywny zapach lasu ustępował woni zgnilizny i rozkładu. Michał odgarniał ziemię coraz szybciej i szybciej, aż w końcu jego palce wyczuły miękkość ludzkiej skóry. Wilk zaskamlał i odskoczył od wykopaliska. Michał, drżącymi dłońmi, ostrożnie i powoli odrzucił ostatnią, wierzchnią warstwę ziemi.

Zobaczył powykęcane ciało niemartwego. Leżał w nienaturalnej pozycji na... innych truchłach. Było ich ponad dziesięć, może dwadzieścia?

Targany trwogą, rozsuwał zwłoki, sprawdzając, czy nie ma wśród nich ciała Leny. Stracił nad sobą kontrolę. Wydobywał jedno truchło za drugim i układał je z boku. Wilk odsunął się jeszcze o kilka kroków i obserwował go z bezpiecznej odległości, lekko przekrzywiając łeb.

Ułożył ostatnie nienaturalnie powyginane zwłoki na stertę po lewej stronie wykopu. Odetchnął z ulgą. Ciało Leny nie było. To wcale nie musiało oznaczać, że dziewczyna żyje, ale przynajmniej wciąż istniało takie prawdopodobieństwo. Spoglądał z obrzydzeniem na stos zwłok. Twórcy tego grobu musieli być groźni. Z pewnością nienawidzili niemartwych, pytanie jednak, jaki mieli stosunek do innych ludzi. To mogły być Pantery, tak przynajmniej by obstawiał po tym, czego dowiedział się od Leny. Kolejne pytanie: czy byli wśród nich ci, którzy tam, na polanie próbowali przerwać obrzęd przemiany? Wedle słów dziewczyny oni również byli dla niego śmiertelnym zagrożeniem.

Niespodziewany łoskot nieomal przyprawił go o zawał serca. Wilk odskoczył jak poparzony. Po chwili skonstatował z ulgą, że źródłem hałasu były zwłoki, które zsunęły się ze stosu. Głowa niemartwego leżała teraz u stóp Michała, wpatrując się w niego nieruchomymi, pustymi oczami. Ale coś było z nią nie tak. Dopiero po chwili zrozumiał, co: nie było na niej żadnych ran! Zresztą całe ciało nie zdradzało śladów obrażeń poza znamionami po ugryzieniach odpowiadających zapewne za przemianę w niemartwego. Wydało mu się to dziwne, bo z tego, co zaobserwował wczoraj, oraz ze słów dziewczyny wynikało, że niemartwego można zabić jedynie strzałem w mózg lub jego przebicciem.

Głowy kolejnych zwłok również nie nosiły śladów okaleczenia. Coś natomiast było nie w porządku z ich skórą. Była szara i pokryta małymi grudkami przypominającymi pęcherze. Jej powierzchnia zrobiła się chropowata. O co tu chodzi? Zastanawiał się, gdy nagle poczuł, że coś prześlizgnęło się w okolicy jego lewej stopy. Błyskawicznie się odsunął, spojrzał pod nogi i zastygł. Jeden z niemartwych nadal żył. Z trudem

poruszał palcami, starając się dosięgnąć kostki Michała, wydając przy tym słaby, ledwo słyszalny jęk. Michał podszedł bliżej i spojrzał nieumarłemu w oczy. Dostrzegł w nich coś, co niespodziewanie wzbudziło w nim współczucie. To nie było spojrzenie potwora, który chce mu zrobić krzywdę. Raczej kogoś, kto prosi o zmiłowanie. Odwrócił wzrok. Żywy trup jednak nadal jęczał, jakby błagał o miłosierdzie, które mogło oznaczać tylko jedno... Michał zajrzał raz jeszcze w jego szeroko rozwarte, rozbiegane teraz oczy, następnie sięgnął do paska po nóż i zdecydowanym, mocnym ciosem wbił go aż po rękojeść w czaszkę niemartwego. Jęk błyskawicznie ustał, a ciało opadło na glebę i przestało się ruszać.

Przerzucił zwłoki do dołu i dłońmi zasypał go ziemią. Kiedy kończył, a z ziemi wystawały już jedynie powykręcane dłonie i palce żywych trupów, do szelestu drzew kołyszących się na wietrze dołączył charakterystyczny marsz uderzeń kropel o liście. Pierwsza kropla spłynęła z prawej strony jego czoła aż do szyi. W ślad za nią podążyły kolejne i po kilkunastu sekundach był już całkiem przemoczony. Ze wszystkich stron otaczały go ściany deszczu. Po lesie rozszedł się głośny pomruk pioruna. Dopiero teraz zauważył, że zrobiło się ciemno jak w nocy, a mrok co chwila rozświeślały podwójne, a nawet potrójne błyski. Sześć, pięć, a potem cztery sekundy od każdej błyskawicy pojawiał się grzmot.

Burza błyskawicznie zbliżała się w jego stronę i wiedział, że za chwilę znajdzie się w samym jej centrum. Instynktownie rzucił nóż na ziemię, zeskoczył w dół i położył się w grobie żywych trupów. Przywołał wilka, który podbiegł i przywarł do niego. Gwałtowne podmuchy wiatru przekrzywiały drzewa tak mocno, że te niemal dotykały ziemi. Obfity deszcz zamienił się w istną ulewę. Z nieba lały się na nich wiadra wody, a wkrótce dołączył do nich grad wielkości przepiórczych jaj. Grunt zatrząsł się i potężny grzmot niemal ogłuszył Michała. Potem kolejny. Przyłgął do ziemi i zamknął oczy. Starał się nie myśleć o powykręcanych zwłokach leżących tuż pod nim, ale wystające palce i dłonie wbijały się mu w plecy.

Choć żołądek miał pusty, czuł, że coś cofa się w górę jego układu pokarmowego. Wziął głęboki wdech. Kolejny piorun rozświetlił okolicę i natychmiast przeppełnił ją dudnieniem. W panującym dookoła zamięcie słyszał trzask łamanych gałęzi i walenie gradu o konary drzew.

Nagle wszystko ustało. Z nieba sączył się jeszcze słaby kapuśniak, lecz spomiędzy chmur ponownie wychynęło słońce. Michał wygrzebał się z dołu. Otrzepał plecy z odrazą i spojrział raz jeszcze na wystające spod ziemi członki niemartwych. Potrzebował chwili, by się uspokoić. Następnie wrócił na leśną drogę, by potwierdzić to, czego był właściwie pewien – deszcz zatarł wszelkie tropy, które mogły zaprowadzić go do Leny. Ulewa zmyła ślady opon, a bez nich jego pościg był jak poszukiwanie igły w stogu siana. Nie pozostało mu nic innego, niż zawrócić w stronę chaty i liczyć na to, że natknie się na ślad, który być może wcześniej przeoczył i który zdołał przetrwać burzę.

Znów stał pod urwiskiem, w miejscu, w którym zaparkowane były obie ciężarówki. Na szczęście burza nie doszła aż tutaj i wszystko wyglądało dokładnie tak jak przedtem. Niestety, nie znalazł nic, czego mógłby się ucześcić. Utknął w martwym punkcie.

– Może trzeba jeszcze raz spojrzeć na to z góry? – zapytał, patrząc na wilka. Zaniepokoił go fakt, że od spotkania z Leną zaczął nie tylko ponownie używać języka, ale także mówić do siebie. Nie podobało mu się to, a w dodatku musiało dezorientować jego przyjaciela, który nie był przyzwyczajony do takiej formy komunikacji.

Stanął na skraju urwiska i spojrział w dół. Niestety, nadal nic... Tkwił tak oparty plecami o drzewo, zastanawiając się, co mogło mu umknąć. Machinalnie pociągnął w dół zwisającą gałąź, a ta pękła z głośnym trzaskiem. Była już wcześniej nadłamana, dlatego tak łatwo złamała się pod jego naciskiem. Skierował na nią wzrok i wtedy zauważył skrawek białego materiału. Z takiego samego uszyta była bluzka Leny. W polu widzenia pojawiło się coś jeszcze... Kucnął. To była krew na wysuszonym,

żółtym liściu. Ostrożnie obejrzał inne liście w pobliżu. Część z nich usiana była ciemnoczerwonymi plamkami krwi.

Zbadał najbliższą okolicę drzewa, szukając kolejnych plam krwi. I znalazł! Ranna osoba oddalała się od urwiska, a zatem poszła w przeciwnym kierunku niż ten, w jakim pojechały ciężarówki. Więc może jeszcze nie wszystko było stracone – miał kolejny strzęp, którego mógł się chwycić. Z pomocą znów przyszedł przyjaciel, którego węch był znacznie efektywniejszy w tropieniu dalszych śladów krwi niż wzrok Michała. Nie uszli zbyt daleko, gdy zatrzymały ich podniesione głosy. Trudno powiedzieć, czy była to ożywiona dyskusja, czy już kłótnia, ale jej echo niosło się po całym lesie.



Podróż minęła w milczeniu. Ale to było inne milczenie niż to, które towarzyszyło im w drodze do F2-Wilno. Niepokój i przeczucie zastąpiła absolutna pewność. Sądząc po twarzach osób siedzących w pojeździe, nie on jeden domyślał się, że to, co ma nastąpić, nastąpi raczej prędzej niż później. Nie było mowy o szoku, jaki towarzyszył atakowi żywych trupów trzy lata temu. Sytuacja przypominała oczekiwanie na nieuniknione spełnienie się przepowiedni.

No właśnie, czy ludzie nieświadomie sami tego nie sprowokowali? Na przykład Pantery? Akcja wywołuje reakcję. Być może Kult Brata Ezechiela ma rację i zabijanie umarłaków tylko dlatego, że są umarłakami, powoduje, że niemartwi zabijają ludzi, bo wciąż są ludźmi. Nawet jeśli diagnoza była właściwa, nie istniała skuteczna terapia. Zabijanie umarłaków wynikało z lęku przed nimi, braku akceptacji. Nawet wtedy, gdy przestali atakować ludzi i przestali być groźni. Ktoś powiedziałby, że prostym rozwiązaniem byłaby tolerancja i pewnie w „najlepszym z możliwych światów”, jak mawiał Kandyd, właśnie ona uratowałaby ludzkość.

Uwielbiał powiastkę Woltera i często do niej wracał, ale bynajmniej nie aspirował do miana filozofa. Znacznie chętniej widziałby się w roli historyka, choć ani jego wykształcenie, ani droga zawodowa nie miały nic wspólnego z tą dziedziną wiedzy. No może tylko tyle, że jako detektyw

w jakimś sensie zajmował się nią, rozwiązując kryminalne zagadki z przeszłości. Tak czy inaczej, nauka płynąca z historii zawsze najbardziej go interesowała, choć – szczególnie dzisiaj – prezentowała znacznie bardziej pesymistyczną wizję niż ta, której zwolennikiem był Kandyd.

Podobno historia jest nauczycielką życia, ale kiedy przychodzi co do czego, mało kto wybiera korepetycje właśnie u niej. Nie jest to raczej seksbomba o rozmiarze miseczki D, o której fantazjowałoby się zarówno na lekcjach, jak i po nich, z długimi, zgrabnymi nogami, wyeksponowanymi spod spódniczki do połowy uda i ustami wymalowanymi krwistoczerwoną szminką. Raczej stara jak świat raszpla z przetłuszczonymi włosami, musztardówkami na nosie, roztaczająca wokół siebie woń mauzoleum z lekką nutą zbutwiałych kronik i roczników. Belferka, co bije linijką po łapach i zawsze jest nie tylko gotowa, ale także chętna do poniżenia ucznia przed całą klasą.

Pozostawiając na boku nieatrakcyjność historii, należało zapytać: co w tym przypadku historia mogła podpowiedzieć Wiktorowi i całej reszcie ludzkości? Biorąc pod uwagę, ile czasu zajęło wypracowanie (i to nie wszędzie) względnej tolerancji wobec homoseksualistów, imigrantów czy przedstawicieli obcych religii, mając też na uwadze fakt, że nieufność wobec tych grup nigdy nie zniknęła, trudno było oczekiwać, by ludzkość w kilka, no dobrze, kilkanaście miesięcy nauczyła się tolerancji dla żywych trupów. Tym bardziej że te – w przeciwieństwie do poprzednich grup, które były ofiarami – wyróżniły zdecydowaną większość ludzkości, niezależnie od płci, wieku, społecznego koloru skóry, pochodzenia, religii czy statusu społecznego.

Pojazd zatrzymał się. Wiktor wyjrzał przez okno. Wysokiego na pięć metrów muru ciągnącego się przez kilka kilometrów w jedną i drugą stronę nie można było pomylić z niczym innym – wrócili do Fortu Wilno. Pierwsze fortyfikacje w postaci wysokich murów odgradzających ludzi od żywych trupów pojawiły się w Izraelu, potem na Węgrzech i w kilku

innych państwach Europy Wschodniej. Szybko okazało się, że to jedyny sposób na zapewnienie ludziom bezpieczeństwa w miastach, więc dwa miesiące po wybuchu apokalipsy zaczęto wznosić obwarowania wokół Fortu Wilno. Niegdyś jedno z największych luksusowych osiedli w Warszawie, teraz gigantyczny fort obronny, a zarazem komfortowe miejsce schronienia dla tej części ludzkości, której sprzyjało szczęście. Ci, którzy nie wygrali losu na loterii, mieszkali poza murami, narażeni na ataki umarłaków.

Wysiadł z Humvee. Darek podszedł do ciężkiej bramy i uruchomił procedurę wjazdu. Wiktor oparł się o samochód i odruchowo sięgnął po piersiówkę. Serce nadal kołatało mu w piersi i chciał je uspokoić balsamem dla duszy, tym swoistym panaceum. Wódka była dla niego lekiem na wszystkie dolegliwości fizyczne, ale także stres, zmęczenie i emocje. Pomagała na niedomagające serce, nerwy, ból pleców i niewykluczone, że zmniejszała także poziom cholesterolu. Po takim dniu jak dzisiaj, który w dodatku jeszcze się nie skończył, jego usta bardziej niż całusa Aleny czy Hani, domagały się pocałunku tej, która wspierała w najtrudniejszych chwilach i nigdy go nie zawiodła. Nigdy, aż do dziś – okazało się bowiem, że jej idealne kształty nie kryją ani jednej kropli życiodajnego napoju. Potrząsnął piersiówką dla pewności, ale nie odpowiedział mu żaden odgłos. Wylądowała z powrotem w kieszeni. Druga ręka przejechała błyskawicznie po kieszeniach spodni w poszukiwaniu paczki papierosów, której oczywiście też nie było. Jego dłoń zadrżała nerwowo. Za papierosa byłby teraz w stanie oddać nawet swoją ukochaną wątrobę, choć ta nadawała się tylko na szrot. No tak, fajki ma przecież Mohammed! Rozejrzał się i dopiero teraz dotarło do niego, że Mohammeda nie ma z nimi. Kurwa! – zaklął w myślach.

Procedury bezpieczeństwa trwały dłużej niż zwykle i trudno było się temu dziwić. Członkowie sekcji bezpieczeństwa przeszli przez nie szybciej, bo byli cały czas monitorowani – wystarczyły oględziny ich ciał

i stwierdzenie, że nie noszą śladów ugryzień. Dla pewności wykorzystano także specjalne testy, które Rada Ludzkości przygotowała w celu szybkiego wykrycia infekcji. Te jednak, ze względu na trudność ich wytworzenia, były stosowane niezwykle rzadko i w nadzwyczajnych przypadkach – takich jak ten. Kobiety i dzieci z F2, a wśród nich Alena, musiały przejść szczegółowe badania i podlegać kwarantannie w przeznaczony do tego strefie. Kwarantannę uznano za konieczność, ponieważ okres inkubacji wirusa był kwestią indywidualną i zależał od wielu czynników. Każdy organizm radził sobie z nim nieco inaczej – na ogół zarażenie, powodujące śmierć i zmartwychwstanie, następowało natychmiast, ale odnotowano również przypadki, kiedy podochodziło do niego po trzech, a nawet czterech dniach. Dlatego przymusowa izolacja trwała pięć dni.

Dla Wiktora to była świetna informacja, przynajmniej jedna w tym całym bagnie. Dlaczego? Bo przez te pięć dni nie musiał się przejmować Aleną. Jej uratowanie było wprawdzie nakazem serca, ale serce nigdy przecież nie jest dobrym doradcą – przynajmniej w jego przypadku. W Forcie mieszkała jego żona i dzieci, Alena była więc ostatnią osobą, której tutaj mu brakowało. Szanse by została tu na dłużej, były niewielkie – raczej trafi z powrotem na F2 lub jakąś inną farmę, a do tego momentu będzie musiał jakoś się nią zająć. Może Darek mu pomoże? Choć oddanie jej w ręce narkomana nie było najlepszym rozwiązaniem.

Ale teraz najważniejsze było śledztwo i to nim musiał się zająć w pierwszej kolejności. Problem Aleny musiał poczekać.

– Wspominałeś, że znasz kogoś, kogo moglibyśmy zapytać o te substancje chemiczne. To ten twój diler? – Wiktor spojrzał na Darka, wciąż przeszukując kieszenie, w nadziei że jednak znajdzie się jakiś papieros.

– Ta, pogadam z nim i zobaczę, czy uda mi się nas umówić. I tak muszę spotkać się z nim... – Darek był twardzielem, który nigdy nie zdradzał, co czuje. Tłamsił wszystko głęboko w sobie, ale od czasu do czasu tłumione emocje musiały znaleźć ujście. W tym właśnie pomagała mu

metamfetamina. Wiktor kilka razy był świadkiem tego „odreagowania po akcji” i za każdym razem powtarzał sobie, że nie ma ochoty na powtórkę. Tego dnia było mu to jednak obojętne – nic nie mogło przebić tego, co widział w F2. Przed oczami znów stanął mu Rafał przeistoczony w niemartwego. – Choć niczego nie obiecuję – dodał Darek.

– Wiadomo. Pewnie nie pali się do zawierania nowych znajomości z ludźmi z sekcji bezpieczeństwa.

Darek skinął głową.

– Dobra, w takim razie zobacz, co da się zrobić. – Wiktor zamyślił się na moment. – Aha, flashka.

Darek dopiero po chwili zaskoczył.

– Jasne, dobrze, że mi o tym przypomniałeś – powiedział, wyjmując z kieszeni przenośną pamięć.

– Podrzucę to Darii, a przy okazji dowiem się, czy ma coś nowego. Umówmy się tu za godzinę, okay?

Darek przytaknął, machnął Wiktorowi na pożegnanie i ruszył w głąb Fortu Wilno.

Izabela Darczyńska od dobrych kilku lat nie używała tego imienia. Dla nielicznych znajomych i współpracowników była po prostu Darią. Na ogół tkwiła w prosektorium, a właściwie w dawnej piwnicy jednego z apartamentowców, którego podziemia zaadaptowano na laboratorium chemiczno-medyczne i kostnicę. Była niską, szczupłą kobietą po trzydziestce z burzą rudych loków. Na czubku nosa nosiła okulary w grubych oprawkach, które nadawały jej profesorskiego wyglądu i powagi. Zza szkieł świat lustrowało świdrujące spojrzenie, zawsze skupione na obiekcie, który poddawała analizie. Nie zdarzało się bowiem, by czegoś nie badała. Krążyły plotki, że Daria w ogóle nie opuszcza podziemi. Wiktor, patrząc na jej bladą i w przeważającej części pokrytą kolorowymi tatuażami smoków, kwiatów i układów gwiazdnych skórę, był

w stanie w to uwierzyć. Taką cerę miały wampiry w starych czarno-białych filmach.

– O, Wiktor, czułam, że się dzisiaj spotkamy – powiedziała, nie odwracając się i nie przerywając grzebania we wnętrznościach żywego trupa na jednym z dwóch stołów stojących w centralnym miejscu rozległego pomieszczenia.

– Nie rozumiem, jak ty to robisz? – Wiktor się uśmiechnął. Przygnębienie, jakie odczuwał od powrotu z F2-Wilno, nagle znikło.

– Skąd wiem, że to ty? Kroki, Wiktorze, kroki.

Rzuciła na niego okiem przez ramię i odwzajemniła uśmiech.

– Przyszedłeś w sprawie Pawła i Gawła?

– Pawła i Gawła? – zapytał zbity z tropu.

– No, tych dwóch przystojniaków. – Machnęła dłonią w kierunku ciał na stołach. – Muszę ich jakoś nazywać, a te imiona wydały mi się wyjątkowo adekwatne. I zabawne. Mama czytała mi w kółko ten wierszyk, kiedy byłam mała. – Jej twarz znów rozjaśnił uśmiech. Wiktor słyszał, że Daria woli towarzystwo zwłok. Podobno lepiej się z nimi dogaduje niż z żywymi – pewnie wpływ na to miało jej przedwcześnie zakończone małżeństwo.

– Adekwatne? A to dlaczego? – zapytał Wiktor, podchodząc do stołu. – Co za smród! – Skrzywił się i zakrył usta i nos dłonią.

– Spokooolnie – odparła Daria, obchodząc zwłoki. – Zaraz się przyzwyczaisz. A jeśli chodzi o twoje pytanie. Hm... Dlaczego? Bo są jak przeciwieństwa, w których na dodatek nic się nie zgadza. Mężczyzna ginie od kulki w łeb, choć ten rodzaj śmierci na ogół rezerwujemy dla żywych trupów. Z kolei umarłak umiera z bliżej nieokreślonej przyczyny, ale na pewno nie z powodu urazu głowy.

– Okay, tyle już wiem – stwierdził, odrywając dłoń na próbę i znów przykładając ją do twarzy. – Masz coś nowego?

– Coś tam mam. – Znów uśmiech. Chciałby mieć tak optymistyczne nastawienie do życia. Może trzeba było zostać anatomopatologiem? – Od kogo chcesz zacząć, od Pawła? – Daria wskazała na zwłoki żywego trupa – czy Gawła? – Dłoń powędrowała w stronę mężczyzny.

– Może zacznijmy od Pawła. – Choć bardzo się starał, nie potrafił pozbyć się tonu zażenowania z głosu. Jednak Daria nie wydawała się urażona.

– Paweł. Jasne. – Kobieta obrzuciła spojrzeniem swój notes, który leżał na rogu stołu. – To jest ciekawy przypadek. Nawet bardzo...

Daria zawiesiła głos i zatopiła się w lekturze.

– Bo?

– Ach, tak. Bo... Znalazłam w jego organizmie dosłownie wszystko.

– Wszystko? Nie rozumiem...

– To fascynujące, ale w jego zwłokach znalazłam ślady chlormetyny, tiotepy, cisplatyny, metotreksatu, merkaptopuryny, kapecytabiny i gemcytabiny, winkrystynę, docetaksel, idarubicynę, mitoksantron, bleomycynę, mitomycynę, a do tego jeszcze topotekan i irynotekan! – wymieniała ożywionym głosem, nakręcając się z każdą nazwą. – Mówiła coraz szybciej, co chwilę zerkając do notatek. Wiktorowi wydawało się, że mówi po chińsku. – Niesamowite, co? – zapytała na koniec.

– Bardzo... – westchnął. – A masz też wersję po polsku?

– No tak, no tak. Zapomniałam, że do ciebie trzeba, jak do dziecka. – Odgarnęła włosy z oczu. – No więc znalazłam w nim właściwie wszystkie grupy substancji, które stosowało się w chemioterapii... Wiesz, leczeniu raka. Stąd te zmiany na skórze i jej dziwny kolor. Chyba tak to działa na umarłaków.

– Leczeniu raka? – zapytał zaskoczony.

– Dokładnie.

– Czy to znaczy, że on chorował kiedyś na raka?

– Nie... – odpowiedziała. Zamyśliła się. Nagle jej oczy otworzyły się szerzej. – I tak! – dodała.

– To tak czy nie?

– I to, i to. Poziom niektórych substancji wskazuje, że podane zostały stosunkowo niedawno, ale inne ślady świadczą o tym, że chemioterapię stosowano również kilka lat temu. To ciekawe... – mruknęła pod nosem.

– I to chemioterapia doprowadziła do jego śmierci?

– Nie wiem. Zrobię kolejne badanie, to będę wiedzieć więcej. Mam też w planach testy DNA... Ale znając ciebie, Wiktorze, masz co robić przez najbliższe godziny i dasz mi na to trochę czasu? – Załopotana rżęsa.

– Mam, mam. – Wziął głęboki wdech. – A co z tym, jak mu tam...

– Gawłem? – podpowiedziała Daria. – To też zagadkowy gość, nie ma co, dobrali się pod tym względem.

– To co w nim takiego ciekawego? – Popatrzył na ciało z góry, skupiając spojrzenie na dziurze na środku czoła. Wzdrygnął się, bo znów przez moment zobaczył twarz Rafała.

– Coś nie tak? – zapytała Daria troskliwie.

– Nie, nic. – Odetchnął. – To co z nim?

– Teoretycznie nic wielkiego, bo zginął od kulki w łeb i żeby to stwierdzić, nie trzeba być geniuszem. Nie ma śladów walki. Egzekucja. Ale...

– Ale?

– Ma ślady pobicia sprzed kilku, może kilkunastu dni.

– Pobicia?

– Dostał kilka razy pod żebra i w brzuch. Musiało boleć... – Skrzywiła się i pogłaskała dłoń denata.

– Coś jeszcze?

– Na razie nie, ale mam nadzieję, że ta informacja jakoś ci się przyda.

– Zobaczymy. A próbowałaś coś o nim znaleźć? – Wiktor wskazał na mężczyznę.

- Nie, Wiktorze, nie miałam czasu. Paweł zupełnie mnie pochłonał!
- Właśnie widzę... Ale jak już będziesz szukała, rzuć też okiem na to. – Sięgnął do kieszeni i podał jej przenośną pamięć.
- Co to? – zapytała z takim zainteresowaniem, jakby pierwszy raz w życiu widziała flashkę. Obracała ją w palcach, oglądając z każdej strony.
- Pendrive. Znaleźliśmy go w gabinecie... – zawiesił głos – Gawła.
- O, cudownie! Wpadniesz po to późnym wieczorem? Może już będę coś miała.
- Jasne. Póki co mam co najmniej jedną rzecz do sprawdzenia. – W drodze do wyjścia odwrócił się i popatrzył raz jeszcze w stronę Darii.
- Tylko mi nie mów, że coś jeszcze – powiedziała z udawanym zdziwieniem.
- Wiesz, tak sobie myślę... Sprawdź jeszcze, czy w Forcie Wilno mamy jakiegoś Jana Barowskiego...
- Jana... – zanotowała na kartce i zawiesiła pytająco głos.
- Barowskiego – dokończył. To trochę strzał w ciemno, ale różnie bywa.
- Wiadomo! Jeśli coś znajdę, dam znać. Na razie! – Posłała mu szeroki uśmiech na pożegnanie i odwróciła się na pięcie w stronę ciała Pawła tak szybko, że jej włosy zatańczyły, jakby w prosektorium zawiął wiatr.



Dłonie Adama niepewnie zbliżały się do postaci stojącej na skraju urwiska. Już niemal dotknął jej ramienia, gdy... zapadła całkowita ciemność.

Maus nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. W mroku, dosłownie metr od niego stała dziewczyna, której poszukiwali! Ta, która kilkanaście godzin temu zniknęła z polany. Dziewczyna, którą uratował mężczyzna odpowiedzialny za śmierć Weroniki... Była niemal na wyciągnięcie ręki, ale sytuacja, w której się znajdował, komplikowała się z każdą sekundą. Musiał to załatwić na tyle cicho, by grupka pod urwiskiem niczego nie usłyszała, nie miał bowiem pojęcia, kim są ci ludzie.

Jedynym rozwiązaniem było ogłuszenie dziewczyny. Ujął kolbę pistoletu, a kiedy dziewczyna cofnęła się o krok, odsuwając się od krawędzi urwiska, wziął zamach...

W tym samym momencie usłyszał szelest liści. Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył ubraną na czarno postać o zielonych, świecących w ciemności oczach. Gdy postać była już bardzo blisko, dotarło do niego, że to mężczyzna z noktowizorem na głowie. Zbliżał się do dziewczyny od tyłu, trzymając pistolet w jednej ręce, a drugą wyciągając w jej kierunku.

Maus bez namysłu zrobił krok w bok, znalazł się tuż obok mężczyzny i uderzył kolbę pistoletu w jego potylicę. Ciało bezwładnie upadło na ziemię. Dziewczyna poruszyła się niespokojnie. Upuścił pistolet

na ziemię, zasłonił jej usta jedną ręką, a drugą skrępował ruchy. Następnie przywarł do drzewa. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robił, ale teraz pomyślał, że to było jak w dobrym filmie akcji z Michaeliem Dudikoffem albo Jeanem-Claudem Van Dammem.

Dziewczyna próbowała się szarpać i krzyczeć, więc wzmocnił uścisk.

– Jeśli się nie uspokoisz, zabiję cię – szepnął wściekle wprost do jej ucha. – Nie żartuję...

Z dołu dobiegła go jakaś rozmowa, na której nie mógł się skupić z powodu dziewczyny. Mało brakowało, by mu się wyrwała. Ręka, którą do tej pory zakrywał jej usta, błyskawicznie przesunęła się na szyję i zacisnęła na niej. Dziewczyna wiła się i rzucała, charcząc cicho, ale on nie puszczał. Poruszyła z trudem nogą, potem jeszcze raz i jej ciało bezwiednie zawisło w jego rękach. Ostrożnie położył ją na ziemi i rozejrzał się wokół.

Coś wyrwało ją ze snu. Ocknęła się i przeszedł ją dreszcz. Jeszcze chwilę temu pamiętała, o czym śniła, widziała czyjąś twarz, prowadziła rozmowę, której nie chciała przerywać. Ale z kim i o czym rozmawiała?

Już wiedziała, co ją obudziło – swędzenie na czole, którym uderzyła o podłogę w chacie Michała. Nie otwierając oczu, zamierzała się podrapać i wrócić do przerwane go snu, ale coś krępowало jej ruchy. Ostrożnie rozwarła powieki.

– Nie wierzę... – szepnęła, patrząc na opaskę zaciskową krępującą jej nogi.

Siedziała na krześle w namiocie. W środku było parno. Obejrzała się, naciągając mocno szyję – jej ręce również ścisnęła opaska. Dopiero teraz dotarł do niej ostry głos wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny po trzydziestce. Miał wygoloną głowę, na której czubku sterczały zaczesane do przodu jasnobrązowe włosy. Widziała takie fryzury w książce do historii – nosili je Kozacy. Przeszywał wzrokiem drugiego mężczyznę,

który siedział na krześle po jej prawej stronie i tak jak ona był związany. Wyglądał na przerażonego.

– Pytam raz jeszcze, pracowałeś dla niego czy nie?!

– Nie wiem, naprawdę... – zająknął się mężczyzna. – My tam tylko...

– Wiem, co tam robiliście – przerwał mu Kozak. – Wiem o truciźnie i mgłę, ale nie o to mi teraz chodzi.

Kozak spojrział na Lenę. Uśmiechnął się.

– Maus, dziewczyna się ocknęła! – krzyknął za siebie. – Przynies kamerę, laptopa i antenę!

Skrepowany mężczyzna obrócił się w stronę Leny. Jego wargi drżały, podobnie jak prawa brew, która podskakiwała nierytmicznie w nerwowym tiku. Na twarzy widać było ślady uderzeń. Z prawego kącika ust ciekła krew, a oczy zdradzały narastającą panikę. Patrzył na nią tak, jakby chciał jej coś przekazać. Jego wargi nie przestawały się poruszać. Nagle wydało się jej, że on coś powtarza, ale nie potrafiła rozszyfrować słów.

– Hej! – Kozak pchnął ramię mężczyzny, a ten aż podskoczył na krześle. – Jeszcze z tobą nie skończyłem...

– Ale ja nic nie wiem... Już mówiłem... Powiedzieli nam tylko, że mamy łapać umarłaków i że za każdego dostaniemy zapłatę... Wieźliśmy ich ciężarówkami, mieliśmy swoich opiekunów, ale nie znam ich... Mieli robić jakieś testy i jeśli wszystko poszłoby po ich myśli, byłyby kolejne zlecenia... Ja o nic więcej nie pytałem, nie chciałem wiedzieć... Mam dziewczynę... Miriam. Kocham ją... A niedługo będę też miał dziecko... Dlatego się zgodziłem... Proszę... Nic nie wiem, nie zabijajcie mnie!

Kozak patrzył na niego, ale wydawało się, że wcale go nie słucha. Myślami był daleko stąd.

– Zamknij się! – warknął, a mężczyzna aż się skulił. – Nie zabijemy cię. W ogóle nas nie obchodzisz, jasne?

Mężczyzna skinął szybko głową.

– Mam jeszcze tylko jedno pytanie... – Kozak chwycił podbródek mężczyzny i uniósł go tak, że ich spojrzenia po chwili się spotkały. Ciało więźnia napięło się do granic możliwości.

Do namiotu wszedł pulchny dwudziestolatek z odstającymi uszami. Lena gdzieś już widziała tę twarz. Myśli zaczęły chaotycznie krążyć po jej głowie, próbowała wertować pamięć i w końcu to do niej dotarło. To on był w lesie i to przez niego się tu znalazła. Obrzucił ją nienawistnym spojrzeniem, wnosząc do namiotu laptopa, na którym położył antenę, zwój kabli i kamerę.

– Wierzę ci. Naprawdę. – Kozak złagodził ton, obserwując kątem oka Mause. – Czy ktoś z tamtych ludzi wspominał cokolwiek o Jakubie Morycu?

Lena pomyślała, że się przesłyszała. To przecież niemożliwe... W jednej sekundzie zapomniała o Mause. Jej myśli wjechały na zupełnie inny tor, od dawna niszczący w jej pamięci. Jakub Moryc. Nie słyszała tej zbitki imienia i nazwiska od blisko trzech lat, a od kilku miesięcy – odkąd spotkała mamę, a raczej to, w co się zamieniła – nawet nie przywoływała jej w pamięci. Samo wspomnienie rodziło ból, którego nie potrafiła znieść.

– O kim? – jęknął skrzepowany mężczyzna, gdy Maus opuścił namiot.

– Jakub Moryc – powiedział Kozak powoli i wyraźnie.

Czyli jednak się nie przesłyszała. Nie potrafiła wziąć kolejnego oddechu. Wzrok, do tej pory wbity w ziemię, rozpaczliwie poszukiwał czegoś, na czym mógłby się zawiesić. Wodziła nim na wszystkie strony, próbując złapać oddech. Jej ciało zaczęło dygotać, choć w namiocie panował tropikalny klimat. Kozak spojrział, a ona w końcu zatrzymała rozbiegane spojrzenie. Wbiła je w jego oczy. Nadal jednak drżała.

– Hej, co ci jest? – Szturchnął ją mocno. – Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się.

Zaschło jej w ustach i z trudem przełknęła ślinę. Czowała się tak, jakby znów miała stracić przytomność. Dłoń Kozaka lekko uderzyła najpierw w jeden, potem w drugi policzek. Jego obraz zaczął się rozmazywać.

– Hej, słyszysz mnie? – zapytał nerwowo.

Zrobiło się jej ciemno przed oczami. Poczowała chłód na wargach.

– Napij się. To woda. Dobrze ci zrobi.

Jego głos brzmiał życzliwie, zupełnie do niego nie pasował. Rozchyliła wargi i przełknęła łyk chłodnej wody. Potem kolejny. Odetchnęła i ponownie otworzyła oczy. Obserwował ją uważnie. Był spięty. Nachylił się nad nią.

– Już lepiej? – Wciąż trzymał się tego nienaturalnego dla siebie tonu.

– Dlaczego... zapytałeś go o mojego... tatę? – Każde słowo wymagało wysiłku i powodowało ukłucie w klatce piersiowej. Oddychała z trudem.

– O kogo? – zapytał natychmiast, jakby chciał się upewnić, czy dobrze usłyszał.

– O mojego tatę... – Starła się mówić głośniej, ale z jej ust wydobywał się tylko szept.

– Bo czegoś od niego potrzebuję. – Odsunął się od niej. – Wiesz, gdzie on jest?

– Nawet nie wiedziałam, że żyje... – Siły wracały, dlatego w jej głosie pojawiła się złość i niedowierzanie.

– Żyje i być może ma coś, co pozwoli nam uzdrowić tę chorą sytuację. Zresztą po to ściągnęliśmy cię tutaj.

Do namiotu wrócił Maus z kamerą i statywem, który zaczął ustawiać przed Leną.

Wzrok Kozaka przeniósł się na skrzepowanego mężczyznę.

– Wiesz coś o Jakubie Morycu? Gdzie możemy go znaleźć?

– Nie znam żadnego Jakuba Moryca... – wydusił mężczyzna. – Nic nie wiem... – Zauważył, że Kozak wygląda na niezadowolonego, próbował więc się ratować. – Ale wiem, kto może zdobyć o nim informacje. To człowiek, który wie wszystko – dodał szybko.

– Kto to taki?

– Juliusz. To on mi załatwił tę robotę.... Zna wszystkich! Jeśli trzeba, dowie się czegoś o tym całym Morycu...

– Wątpię, ale sprawdzimy to. – Kozak spojrział na Mause, który właśnie podłączał kabel od kamery do laptopa. – Gotowe? – zapytał.

– Jeszcze tylko podłączę antenę i możemy zaczynać.

Do namiotu zajrzała kobieta o czarnych włosach, ciemnych oczach i ostrych rysach twarzy.

– Hej, pomóc wam w czymś? – zapytała, kierując spojrzenie na Kozaka.

– Nie, Patrycja, dam sobie radę. Ale dzięki, że pomogłaś Mausowi z tą dwójką. Jestem twoim dłużnikiem... – Kozak uśmiechnął się nieznacznie.

– Dobra, jakby co, wołajcie – rzuciła i wyszła.

Maus wpiął kolejny kabel do komputera i poszedł instalować na zewnątrz antenę. Kozak znów skupił uwagę na dziewczynie.

– A teraz ty, Leno...

Mimowolnie zadrżała, patrząc mu oczy. Czaiło się w nich coś groźnego.

– Nie bój się. Tobie też nie zrobię krzywdy... – Przerwał na chwilę, bo Maus wrócił do namiotu i włączył laptopa. – Musimy cię nagrać, aby twój ojciec uwierzył, że żyjesz i jesteś w naszych rękach.

– Czego od niego chcecie? I gdzie on jest?! – zapytała bliska płaczu. Nic z tego wszystkiego nie rozumiała.

– Twój ojciec pracował nad czymś ważnym przed apokalipsą, a potem w jej trakcie. Musimy to dostać, ale nie wiemy, gdzie go szukać. Z różnych powodów ukrywa się od lat, nie podejmując z nikim współpracy, choć jego badania mogłyby zmienić świat... Myślę, że twój widok i świadomość, że może ci się coś stać, sprawią, że zmieni zdanie. Oczywiście nie chcemy ci robić krzywdy, chyba że sytuacja nas do tego zmusi. – Wyjął zza paska duży wojskowy nóż. – Ale na razie nie musisz się obawiać. Wierzę, że twój tata to racjonalny czło...

– Aleks, gotowe – przerwał mu Maus. – Nagrywajmy to i wysyłajmy jak najszybciej. Mamy dobre łącze.

– Dzięki, Maus – odparł Aleks i znów spojrzał na Lenę. – Wierzę, że twój ojciec to racjonalny człowiek i da nam to, czego potrzebujemy – dokończył.

Aleks podszedł od kamery i sprawdził kadrowanie. Zrobił zbliżenie na twarz dziewczyny, która cały czas drżała. Była spanikowana, ku uciesze Aleksa – jej stan powinien uświadomić Morycowi grozę sytuacji.

– Maus, podejdz tu – powiedział, zbliżając się do Leny. – Widać mnie?

– Tak.

– To włączaj nagrywanie i miejmy to z głowy.

Maus przełączył coś na kamerze. Tuż nad obiektywem błysnęło czerwone światelko. Aleks patrzył przed siebie i mówił spokojnym głosem.

– W ostatnich dniach kilkakrotnie próbowaliśmy skontaktować się z tobą. Niestety, bezskutecznie... – Aleks zawiesił głos i westchnął. – Tak jak pisaliśmy w poprzednich wiadomościach, przypuszczamy, że masz coś, na czym bardzo nam zależy. Nie chciałeś nam tego dać za darmo, to oczywiste. Dlatego postanowiłem zdobyć coś, na czym tobie może zależeć. Twoją córkę.

W oczach Leny pojawiły się łzy. Maus zrobił zoom na jej twarz.

– Tato... – załkała.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz Aleks zasłonił jej dłonią usta.

– Jeśli nie skontaktujesz się z nami w ciągu dwudziestu czterech godzin i nie wyznaczysz miejsca, w którym przekażesz nam to, czego chcemy, twojej córce stanie się coś złego. – Kolejna pauza. – Może nawet stracić życie. – Ostatnie słowa podkreślił, dobywając znów noża. – Moryc, ja nie żartuję. Masz dwadzieścia cztery godziny. Potem ona zginie, rozumiesz? – Spojrzał na zegarek. – Czas start.

Maus przełączył coś w kamerze i czerwone światelko zgasło. Lena łkała cicho.

– Masz to? – Aleks spojrzał na Mausea przeciągle, a ten tylko potaknął. –
W takim razie zrzuć na laptopa i wysyłaj.



Darek czekał w wyznaczonym miejscu.

– Masz szluga? – rzucił Wiktor na przywitanie.

Darek sięgnął do kieszeni po zapalniczkę i paczkę papierosów, poczęstował Wiktora, wyjął papierosa także dla siebie i przypalił – najpierw koledze, a potem sobie.

– Jeśli chwilę zaczekasz, zapalimy coś dużo lepszego. Należy się nam odrobina relaksu... – powiedział, zaciągając się. – A przy okazji, wykorzystales tę działkę, którą ci dałem?

Nikt nie wiedział o romansie Wiktora z Aleną. W oczach ludzi z sekcji bezpieczeństwa, przynajmniej tych wtajemniczonych, uzależnienie od dragów nie było problemem. Najlepiej pokazywał to przypadek Darka, który mimo widocznych śladów wskazujących na to, że wciąż bierze, dla wielu z nich był naturalnym liderem i osobą, na której zawsze mogli polegać. Zresztą to Darek zawsze załatwiał towar dla narkomanów z sekcji i tylko on utrzymywał kontakt z tajemniczym Wernerem – miejscowym czarodziejem, który do swoich chemicznych czarów potrzebował jedynie pipet i szklanych kolb.

Wiktor zignorował pytanie Darka.

– A skąd niby ten lepszy towar?

– Umówiłem nas z Wernerem. Jeśli ktoś wie cokolwiek o tych chemikaliach, to tylko on. – Darek w nieznacznym uśmiechu ujawnił

uzębienie metamfetamisty. – W końcu go poznasz. – Rzucił wypalonego do połowy papierosa na ziemię. – Dobra, zbierajmy się, pewnie już na nas czeka.

Wiktor postanowił dopalić szluga w drodze do kryjówki Wenera. Na początku kluczyli, często się zatrzymując i przeglądając w szklanych witrynach, nienaruszonych w czasie apokalipsy, potem wędrowali bocznymi drózkami dawnego osiedla. Wszystko w całkowitym milczeniu. Wiktor szedł bezwolnie za Darkiem, pogrążając się w płątanie myśli.

W końcu zatrzymali się w zaułku, z którego nie było wyjścia. Wiktor rozejrzał się po bokach, a potem spojrzął w górę. Otaczające ich budynki nie miały okien. Było zupełnie cicho, tylko z daleka dochodziły ich ciche odgłosy życia w Forcie Wilno.

– Zgubiłeś się? – zapytał Wiktor niepewnie. Darek nie odpowiedział. Przykucnął, wprawnym ruchem odsunął włącznik do studzienki kanalizacyjnej i ruchem głowy nakazał Wiktorowi wejść pod ziemię. Trzewia osiedla, jak każde wnętrza, wydzielają osobliwą mieszaninę smrodu i stęchlizny. Ten fetor był nawet gorszy niż odór rozkładających się flaków żywych trupów. Wiktor poczuł w ustach treść żołądka. Z trudem powstrzymał się, by nie puścić pawia na kroczonego przed nim kompana. W kanale było ciemno, orientował się w przestrzeni jedynie po odgłosie kroków Darka, które odbijały się od kamiennych ścian podziemnego labiryntu. Wkrótce na końcu tunelu zajaśniało blade światło. Kiedy tam dotarli, zobaczył korytarz oświetlony żarówkami ledowymi, a na jego końcu drzwi z włącznikiem, kojarzącym się z bankowym sejfem albo łodzią podwodną. Darek przyspieszył kroku, jakby w wejściu zainstalowana była wędka, która przyciągała go teraz niewidzialną żyłką, kręcąc kołowrotkiem na najwyższych obrotach. Wiktor wiedział, że metamfetamina była dla Darka jak robak dla ryby. Stanowiła przynętę, na którą zawsze dawał się złowić, tak jak Alena na heroinę. Cóż, każdy ma swojego robaka. Wiktor swojego wolał zalewać.

Darek dotarł do włazu, zastukał dwukrotnie kolbą pistoletu, zrobił krótką przerwę i uderzył jeszcze trzy razy. Po chwili usłyszeli chrzęst, a potem ciężkie metalowe drzwi uchyliły się. Wyrzwał z za nich niski Azjata z postawioną na żelu fryzurą, w sięgającej połowy kolan koszulce koszykarskiej, džinsach i białych trampkach. Szybkim ruchem ręki nakazał Darkowi wejść, kiedy jednak wąż otworzył się szerzej i dostrzegł również Wiktora, wymierzył w Darka pistoletem. Wskazał lufą na intruza i uniósł brwi. Wiktor zamarł. Darek chwycił za pistolet i skierował go w dół.

– Hai, pojebało cię? Werner wie, że przyjdę z nim – wskazał na Wiktora – więc zabieraj tę pukawkę, zanim sobie, albo co gorsza nam, zrobisz krzywdę. – Azjata skinął głową i wpuścił ich do środka. Za wjazdem mieściło się coś, co wyglądało jak biuro urządzone w postindustrialnym stylu. Biurko, fotel, kilka krzeseł, obrazy na ścianach... Wiktor na moment zapomniał, że znajdują się w dawnym systemie kanalizacji miejskiej.

Z korytarza, który dochodził do biura z przeciwległej strony, wszedł mężczyzna ubrany w błękitny garnitur, białą koszulę, niebieski krawat i lakierki w tym samym kolorze. Był tak wysoki, że włosami spiętymi w koński ogon dotykał sufitu. Na oko Wiktora miał jakieś dwa metry. Pełniący funkcję odźwiernego Azjata wyglądał przy nim jak karzeł. Do pełni nieco czarodziejskiego wyglądu brakowało mu jedynie kapelusza.

Jeśli to był osławiony Werner, powiedzieć, że Wiktor wyobrażał go sobie całkiem inaczej, to nic nie powiedzieć. Spodziewał się białego kitla, gogli, a nawet maski ochronnej, czyli ubioru roboczego chemika, a nie stroju, który byłby na miejscu na wybiegu dla modeli. Inna sprawa, że nigdzie nie widział sprzętu laboratoryjnego.

Mężczyzna uśmiechnął się na widok Darka.

– Miło cię znowu widzieć – powiedział, podając mu rękę.

– Ciebie również.

Wymienili uściski, po czym facet w błękitnie przeniósł wzrok na Wiktora. Serdeczny uśmiech znikł.

- A to... – zawiesił głos.
- Wiktor – powiedział Darek.
- Miło pana poznać.

Wiktor wyciągnął dłoń do mężczyzny, ale ten jakby jej nie zauważył. Popatrzył znów na Darka.

– Rozumiem, że nie muszę się obawiać? – Jego głos brzmiał teraz o ton groźniej.

– Werner, daj spokój. Ręczę za niego. – Darek wyglądał na zirytowanego. To był typowy dla niego stan wywołany brakiem zasilenia organizmu przez metamfetaminę. Odczuwając głód narkotykowy, zawsze robił się nerwowy. Teraz musiał umierać z głodu. – Obaj mieliśmy ciężki dzień. I nie chodzi jedynie o śledztwo, o którym ci wspominałem, dlatego zejdź ze mnie.

– Tak, słyszałem o ataku umarłaków. Ale najprawdopodobniej to jedna i ta sama sprawa. – Na ułamek sekundy usta mężczyzny wygięły się w nieznacznym uśmiechu. – Siadajcie – zaproponował.

Wiktor nie zdołał ukryć zdziwienia, jakie pojawiło się na jego twarzy. Spojrzał na Darka, szukając zaniepokojenia w jego oczach, ale niczego w nich nie znalazł.

– Skąd wiesz o ataku? Przecież to świeża i poufna sprawa...

– Wiktorze... Mogę tak się do ciebie zwracać? – odezwał się mężczyzna w błękicie, a gdy Wiktor przytaknął, kontynuował. – Wiem o wielu sprawach. Niemal o wszystkim, co dzieje się w Forcie Wilno. I nie tylko.

Rozsiadł się w fotelu, wskazując gestem dwa krzesła po przeciwnej stronie biurka. Mrugnął w kierunku azjatyckiego pomocnika i nieznacznym ruchem głowy nakazał mu wyjść.

– Werner, poza tym że gotuje dla mnie metę, a dla ciebie herę – zaczął Darek, zwracając się do Wiktora – kontroluje całe podziemie i wie, co się dzieje na górze.

– Myślałem, że jesteś chemikiem, który pracował na Politechnice Warszawskiej... – zdziwił się Wiktor. Coś mu tutaj nie pasowało.

– I bardzo dobrze myślałeś. Więc jednak Darek zdradził co nieco na mój temat. Ciekawe co jeszcze powiedział? – Przez jego twarz znów przeleciał uśmiezek.

– Werner przed apokalipsą współpracował z półświatkiem – wyjaśnił niechętnie Darek. – Tak się poznaliśmy. To był... To jest jeden z moich najlepszych informatorów.

– A Darek był i jest jednym z moich najlepszych klientów. – Mężczyzna poprawił się w fotelu.

– Ale skąd, do cholery, wiesz o ataku? – Wiktor postanowił przerwać tę wymianę uprzejmości, pamiętając skomplikowane relacje z własnymi informatorami, z których większość, jeśli nie wszyscy, zapewne już nie żyła.

– A jak myślisz? Wyglądasz na inteligentnego faceta, więc takie pytania nieco podważają ten wizerunek... – Werner spojrzał w oczy Wiktorowi. – Handluję narkotykami, alkoholem, papierosami i lekami, czyli tym, czego wszyscy bardziej lub mniej potrzebują. Barter oczywiście wchodzi w grę, ale bardziej interesują mnie informacje. Może nie wiem wszystkiego, ale całkiem sporo.

W pomieszczeniu znów pojawił się Azjata. Podeszedł do Darka i wręczył mu woreczek wypełniony drobnymi kryształkami. Darek tylko skinął głową, odbierając pakunek, i Azjata wyszedł. Tymczasem gospodarz sięgnął do jednej z szuflad biurka i wyjął z niej cedrowe pudełko. Otworzył je i podsunął w stronę Darka i Wiktora.

– Może cygaro? To z Dominikany. – Popatrzył najpierw na jednego, potem na drugiego. – Dzisiaj za free, za te kilka lat współpracy, Darku.

Darek, nerwowo uderzając o udo woreczkiem trzymany w lewej ręce, prawą sięgnął po cygaro. Wiktor poszedł w jego ślady. Nigdy wprawdzie

nie palił czegoś takiego i wolałby zwykłego papierosa, ale teraz było mu wszystko jedno.

– Kiedyś wszyscy twierdzili, że najlepsze były te z Kuby, ale to tylko siła marketingu. Powtarzali to w kółko, więc nikt tego nie podważał, a już mało kogo interesowało, jak jest naprawdę. A prawda jest taka, że najlepsze były te z Dominikany. Zrobili je wprawdzie Kubańcy, ale z tytoniu z Dominikany. Tam jest najlepszy tytoń. Rozumiecie? – Zapalił długie cygaro typu churchill za pomocą złotej zapalniczki żarowej. Wypuszczając z ust kłęby dymu, podał zapalniczkę Darkowi. Ten natychmiast przekazał ją Wiktorowi i odłożył cygaro na biurko. Ścisnął w dłoni woreczek i wstał.

– Zaraz wracam – rzucił krótko i ruszył do korytarza, w którym kilkadziesiąt sekund wcześniej zniknął Azjata.

– Ludzie wierzą w to, co im się powie. Nie zastanawiają się, jak naprawdę rzeczy się mają. – Mężczyzna nawet nie zwrócił uwagi na wyjście Darka. Obserwował Wiktora nieporadnie zapalającego cygaro. – Jak w przypadku umarłaków. Bo co my o nich wiemy?

Wiktor przerwał walkę z trzymanym pomiędzy rozchylonymi wargami najlepszym wyrobem tytoniowym na świecie i spojrzał z zaciekawieniem na swego rozmówcę. Wyjął ledwo żarzące się cygaro z ust i mimowolnie nachylił się w jego stronę.

– A powinniśmy wiedzieć coś więcej niż teraz? Że to śmiercionośny wirus, który niemal doprowadził do zagłady ludzkości?

– Śmiercionośny wirus... – Mężczyzna pokiwał głową z uznaniem. – Skąd masz takie informacje? Mało kto wie, że badania nad pierwszymi przypadkami przeprowadzono błyskawicznie w ośrodkach wojskowych i to stamtąd wyszły pierwsze oficjalne komunikaty. Śmiercionośny wirus to ich marketing. Sprzedali nam wyjaśnienie, jakiego potrzebowaliśmy i najłatwiejsze do przyjęcia. – Chcesz powiedzieć, że to nieprawda? Dlaczego mieliby kłamać?

Mężczyzna wzruszył ramionami i mocno pociągnął cygaro. Kolejna chmura dymu uniosła się pod sufit. Pochylił się i strzepnął popiół do ciężkiej drewnianej popielnicy wykończonyj szlachetną stalą.

– Nie wiem, może jak zwykle dla zachowania władzy? – zapytał sarkastycznym tonem. – To byłoby najbardziej logiczne wyjaśnienie, jeśli w kontekście żywej śmierci można mówić o logice. – Zęby znów błysnęły w nieznacznym uśmiechu. – Ale zarazem zbyt logiczne, zbyt proste. Mutacja wirusa, który uaktywnił się po kilkudziesięciu tysiącach lat na skutek globalnego ocieplenia i topnienia lodowców na Antarktydzie? Proszę cię...

– To typowa śpiewka Panter – rzekł Wiktor zawiedziony. Zupełnie zapomniał o cygarze, które zgasło, zwisając smętnie pomiędzy palcami jego prawej dłoni. – Teorie spiskowe to ich specjalność. Czyli próbujesz mi powiedzieć, że stały za tym światowe rządy albo międzynarodowa grupa naukowców i polityków, która chciała wprowadzić nowy ład światowy?!

Porcja cygarowego dymu znów wzbogaciła atmosferę pomieszczenia o sporą dawkę tlenku węgla i związków amoniaku w stanie gazowym.

– Nawet jeśli to typowa śpiewka Panter, to skąd wiesz, że nie ma w niej racji?

– Szczerze mówiąc, mam to w dupie. Teraz interesują mnie te chemikalia, dlatego tu jestem. – Wiktor był coraz bardziej rozdrażniony. – Bo jak rozumiem, na temat przyczyny ataków i kolejnych przemian ludzi w te pieprzone potwory, nic nie możesz mi powiedzieć? – Wiktor zawahał się na moment. – Właśnie dlatego mam to w dupie. Widziałem dziś człowieka, którego to dotknęło... Nie pragnął śmierci jak członkowie Kultu Brata Ezechiela. Miał kobietę i dzieci, chciał żyć i żyłby, gdyby nie Pantery i ich ataki... Ale on nie tylko umarł, on chciał zabijać dalej!

Cygaro wypadło mu z drżącej dłoni. Przetarł oczy i przełknął ślinę. Natychmiast jednak się opanował i podniósł cygaro z podłogi.

– Miałem nadzieję, że właśnie ty nie masz tego w dupie. – Teraz Werner wyglądał na zawiedzionego. – Rozumiem, że Darkowi wszystko jedno. On ma metę i to jest sens jego życia. Ale ty? A co byś zrobił, gdybym powiedział, że te dwie sprawy się łączą?

– Tak, już to sugerowałeś... Ale masz na to dowody czy to tylko teoria?

Spojrzenie Wenera powędrowało na złotą obrączkę na serdecznym palcu Wiktora.

– Widzę, że masz żonę, może dzieci... Może kogoś jeszcze innego? – Te słowa wyrwały Wiktora z zamyślenia. Wpatrywał się w Wenera w osłupieniu. Ten kontynuował, zupełnie się nim nie przejmując. – Choćby z ich powodu na pewno cię obchodzi, jak jest naprawdę. Mogę się założyć, że sprawdzisz każdy trop. A to może być dla ciebie niebezpieczne, przyjacielu...

– Niby dlaczego?

– Wydaje ci się, że badasz sprawę zabójstwa, o którym Darek jedynie mi wspomniał, ale to wierzchołek góry lodowej. Intuicja podpowiada mi, że dowiesz się znacznie więcej, niż myślisz. I niż byś chciał. – Zawiesił głos i znów zaciągnął się cygarem.

– Intuicję zostaw mnie – rzucił ostro Wiktor. – I przejdź do sedna, bo nie mam ani czasu, ani ochoty na zagadki.

– Zaczekaj, zaczekaj. Zaraz do niego przejdę – odparł Werner, podnosząc dłoń w geście uspokojenia. – Ale powiem ci jedno. Przed wybuchem apokalipsy, zanim pojawiły się te wszystkie historie o wirusie, zajmowałem się gotowaniem dla grubych ryb polskiego narkobiznesu. Czasy były ciężkie, bo oferowaliśmy towar najwyższej jakości, a rynek zalewały te tanie, syntetyczne gówna. Dopalacze. – Skrzywił się i strzepnął popiół do popielnicy.

– Pamiętam. Syn sąsiadki brał to gówno.

Wiktor przez te pięć lat zupełnie zapomniał o sąsiadce i jej synu. Teraz stanął mu przed oczami obraz, jak wiezie ją do szpitala na OIOM,

na którym przez kilka dni leżało jej jedyne dziecko. Organizm zdrowego siedemnastolatka powaliło jak spróchniałe drzewo. Chłopak ledwo z tego wyszedł. Niezupełnie, bo dopalacze uszkodziły mu nerki, jedna zupełnie przestała pracować. Wiktor dorwał tego, który sprzedał chłopakowi to badziewie, dla zasady złamał mu rękę i porządnie obił wymuskaną mordę. Dopiero wtedy przekazał go kolegom z policji. Miał nadzieję, że facet posiedzi kilka lat, bo syn sąsiadki nie był jego pierwszą ofiarą. Jednak sąd zrobił swoje i wypuścił gówniarza za kaucją, a potem słuch po nim zaginął.

– Pod koniec 2015 roku albo zaraz na początku 2016... W każdym razie niedługo przed pierwszym atakiem, kiedy wrzawa wokół dopalaczy przycichła, na rynku pojawiło się coś, co funkcjonowało pod nazwą nekro. Przyszło z za wschodniej granicy, ale nie z Chin, tylko z Ukrainy albo Rosji. Ludzie, z którymi wtedy pracowałem, powiedzieli mi o tym towarze dość późno, bo weszło to do nas zupełnie nowymi kanałami. Usłyszeliśmy o nekro dopiero wtedy, gdy w środowisku zaczęły krążyć dziwne historie o dopalaczach, które najpierw uśmiercają delikwenta, a potem, po kilku minutach, przywracają do życia z takim kopem, że bardziej przypomina zwierzę niż człowieka. Oczywiście uznaliśmy to za brednie. – Werner wciągnął do ust porcję dymu, a potem wypuścił go, wlepiając wzrok w sufit. Wiktor poczuł, że dym zaczyna go drapać w gardło. – Któregoś dnia – kontynuował Werner – nekro wziął jeden z ochroniarzy naszej linii produkcyjnej. Wezwali mnie, bo jako jedyny z tej bandy idiotów miałem jakiegokolwiek pojęcie o pierwszej pomocy. Niestety, spóźnili się, bo gość ewidentnie zszedł. Wiesz, nieruchomy wzrok, brak tętna i oddechu, a jakby tego było mało, zesrał się. Nie miałem wątpliwości, więc zadzwoniłem po chłopaków, żeby sprzątnęli zwłoki. Tyle że on, jak gdyby nigdy nic, podniósł się z ziemi. Wywalone białka, piana z ust, otępienie, zmiany na skórze. Przerywam więc połączenie i mówię, że trzeba go brać do szpitala. Ale kiedy chłopcy do niego podeszli, ugryzł jednego z nich.

Głęboko, aż krew trysnęła z jego szyi. Darł się przy tym wniebogłosy. To wtedy pierwszy raz zobaczyłem umarlaka... Chłopcy wpakowali w niego dwa pełne magazynki i dopiero strzał w łeb załatwił sprawę. To samo powtórzyło się z ugryzionym, więc też dostał kulkę w głowę. – Znów przerwał i pociągnął cygaro, aby lekko się zażarzyło. – Chciałem sprawdzić skład tego nekro, ale towar wyparował z rynku i trzeba było czekać na kolejną dostawę. A potem zaczęła się apokalipsa.

– Po co mi to mówisz? – zapytał Wiktor wprost.

– Bo wielu rzeczy nie wiesz i nawet nie podejrzewasz, jak sprawy się mają. – Werner odłożył cygaro na popielniczkę, oparł łokcie o róg biurka i nachylił się w stronę Wiktora. – Nie możesz mnie pamiętać, bo nikt nie wiedział i nadal mało kto wie o moim istnieniu, ale ja ciebie pamiętam. Jeszcze z czasów, gdy pracowałeś w kryminalnych. Byłeś nieprzewidywalną, ale solidną firmą. I pewnie się to nie zmieniło, co? A to może być problem. Lepiej by było, gdybyś odpuścił sobie przy tym śledztwie... – Spojrzał na Wiktora, sięgnął po cygaro i odchylił się w fotelu.

– Nie rozumiem.

Werner roześmiał się, ale szybko spoważniał.

– Jasne, że nie rozumiesz. Pewnie nie wiesz też, co to znaczy odpuścić sobie. Ale niezależnie od tego, jak jesteś twardy, albo jak ci się wydaje, że jesteś twardy, trochę wyluzuj, dobrze ci radzę. Nie chciałbym, żeby coś stało się twojej rodzinie albo tobie, tym bardziej że dzisiaj nawet cię trochę polubiłem.

– To groźba? – zapytał spokojnym głosem Wiktor. – Grozisz mi, tak?

Werner znów się roześmiał. Przyłożył rękę do serca.

– Wiktor, uwierz mi, ja nic do ciebie nie mam. Na prośbę Darka popytałem o chemikalia, choć miałem na to tylko chwilę. Dowiedziałem się też coś niecoś o miejscu, w którym znaleźliście zwłoki tego faceta...

– I?

– I to jest grubsza sprawa. Jeśli będziesz drażnić temat, podrażnisz ludzi, których nie chcesz drażnić. – Wciągnął i wypuścił dym. – Świat może jest w rozsypce, ale nadal działają w nim potężne siły, których nie widać, a przy których ja jestem zaledwie pionkiem. A jeśli ja wiem o twojej żonie, dwójce dzieci i białoruskiej kochance, oni też szybko się dowiedzą, o ile już nie wiedzą.

– Zdradź mi chociaż, dlaczego mam się tym nie zajmować... – westchnął Wiktor.

– Żeby oddać skalę sprawy i sił, które za nią stoją, powiem ci tylko jedno. Laboratorium, w którym znaleźliście ciało tamtego faceta, przed apokalipsą współpracowało między innymi z NASA, CIA i Pentagonem. Ale nie tylko. Współpracowali też z Rosjanami, Chińczykami czy kilkoma farmaceutycznymi start-upami z Izraela. Prowadzono tam badania o najwyższej klauzuli poufności. Bóg jeden wie, co tam robili.

Wiktor odchylił się na krześle. Zacisnął wargi i skupił spojrzenie na rozmówcy.

– I przypuszczasz, że kontynuowali tam badania nad czymś związanym z umarlakami? To by się zgadzało...

– Ja nie przypuszczam. Ja to wiem. Pracowali tam nad czymś. Nad czymś, co może zupełnie zmienić dotychczasowy układ sił. Niewykluczone też, że ma to związek z nowymi atakami umarlaków.

– A wiesz, nad czym dokładnie?

Werner pochylił się w stronę Wiktora i przyciszył głos.

– Nad bronią masowego rażenia, która zadawałaby ostateczną śmierć umarlakom. Ale nie wiesz tego ode mnie – dodał konfidencjonalnym tonem. – Do tego potrzebne im były wszystkie substancje chemiczne, które sukcesywnie dostarczano im w ostatnich miesiącach. Wiem to z pierwszej ręki od tych, którzy je dostarczali.

– Ja pierdołę! – wyrwało się Wiktorowi. – Broń masowego rażenia na żywe trupy?!

Werner pokiwał głową.

– A jak to się ma do ataków niemartwych?

– Czytałeś *Objawienie Brata Ezechiela*?

– Nie – odparł Wiktor.

– Ja zadałem sobie ten trud. Brat Ezechiel pisze, że jedyną szansą na to, by przerwać ataki umarłaków, a tym samym, by ludzkość przetrwała, jest okazanie miłosierdzia niemartwym. Jeśli my ich nie będziemy atakować, one również nas oszczędzą.

– A tak, znam tę teorię... – przerwał mu Wiktor znużonym głosem.

– Niezależnie od tego, co o niej myślisz, to działało. Przez długi czas niemartwi właściwie nie atakowali. – Werner zamilkł na chwilę i podjął już właściwie szeptem. – A teraz wyobraź sobie, że od pewnego czasu trwają testy broni masowego rażenia i umarłaki giną dziesiątkami. Może pozostałe to wyczuwają i atakują ludzi w odwecie?

Wiktor zamyślił się. Z jednej strony brzmiało to absurdalnie, z drugiej czuł, że coś jest na rzeczy i to go niepokoiło. Musiał jak najszybciej porozmawiać z Darią i dowiedzieć się, co zawierał pendrive, który jej przekazał.

– No dobra – podjął po dłuższym milczeniu – założmy, że sobie odpuszczę. Ale, pytam czysto hipotetycznie, gdybym jednak chciał się dowiedzieć trochę więcej, kogo powinienem zapytać?

– Gdybyś pytał czysto hipotetycznie, odesłałbym cię do jednej z osób, która handlowała tymi chemikaliami, ale obawiam się, że nie będzie zainteresowana rozmową. Sam rozumiesz, jesteś przedstawicielem Rady Ludzkości, mógłbyś ściągnąć na nią kłopoty.

– A gdybym obiecał, że kłopotów nie będzie?

Werner po raz ostatni zaciągnął się cygarem.

– Mogę zapytać, ale jeszcze raz ci radzę: zostaw tę sprawę. – Szybkim ruchem zgasił w popielnicy cygaro. – Odezwę się, jeśli cokolwiek uda mi się załatwić. Ale będziesz moim dłużnikiem.

- Dobra, a teraz coś polej...
- Whisky, koniak? Jakiś rum?
- Wystarczy wódka. Czysta najlepiej oczyszcza umysł.
- Tak mówił mój stary. To nie działa – powiedział Werner.



Wystarczyło jeszcze kilka kroków, by pierwszy namiot znalazł się w zasięgu jego wzroku. Potem pojawiły się kolejne – wszystkie ustawione w trzech szeregach w równych odstępach od siebie. Docierały do niego krótkie, urywane fragmenty rozmów i zwykłe odgłosy obozowego życia, ale od obozowiska wciąż dzieliła go na tyle bezpieczna odległość, by mógł je spokojnie obserwować. Na obrzeżach, kilkadziesiąt metrów od niego, krążyli wartownicy z karabinami maszynowymi, ubrani w mundury w kolorze camo. Między namiotami kręcili się ludzie uzbrojeni w pistolety i noże. To musiały być Pantery – bojówka, o której wspominała Lena. Już raz próbowali ją dorwać, a teraz zapewne im się to udało. Nerwowo uderzył pięścią w udo. To jego wina... Nie powinien był jej puszczać!

W polu widzenia pojawił się niewysoki, pulchny mężczyzna z odstającymi uszami. Rozpoznał go od razu – dzień wcześniej widział na polanie. Mężczyzna, niosąc przed sobą jakiś przedmiot, wszedł do namiotu przypominającego jurte. Michał bezszelestnie przekradł się w miejsce, z którego mógł go obserwować. Wejście było odsłonięte. Ten z uszami rozkładał teraz coś na stole stojącym na lewo od wejścia, a po prawej na krześle... siedziała Lena! Była skrępowana. Obok niej, na drugim krześle, siedział ze zwieszoną głową mężczyzna przed czterdziestką. On również był związany. Był tam ktoś jeszcze – rosły umięśniony facet, spoglądający z góry to na Lenę, to na drugiego więźnia.

Musiał coś zrobić. Ale co? Miał przeciwko sobie co najmniej kilkanaście uzbrojonych osób. Przypuszczalnie drugie tyle tkwiło jeszcze w namiotach. Rozejrzał się po okolicy, rozpaczliwie szukając rozwiązania. W głowie miał całkowitą pustkę, a czas uciekał. Za chwilę mogło być za późno... Uświadomił to sobie z całą mocą, kiedy umięśniony mężczyzna, rozmawiając z Leną, wyjął zza paska wojskowy nóż. To musiał być były żołnierz, świadczyły o tym jego charakterystyczne ruchy, sposób chodzenia, gesty. „Niedobrze”... – pomyślał Michał. Poznał w swym życiu kilku byłych żołnierzy – wszyscy po zagranicznych misjach. Każdy z nich był jak tykająca bomba, która mogła wybuchnąć w najmniej spodziewanym momencie...

Ładunek wybuchowy! To jest to! – olśniło go nagle. Jeszcze raz omiół wzrokiem obóz. Szukał źródła dźwięku, który podsunął mu pomysł przygotowania ładunku wybuchowego i w końcu je znalazł. Niski, miarowy warkot wywoływany był przez agregat prądotwórczy na skraju polany. Obok generatora stał jeep wrangler – może udałoby się go porwać, bo odbicie Leny, to jedno, a błyskawiczna ucieczka to drugie. Tuż przy generatorze zauważył kilka kanistrów z ropą. Wystarczyłby jeden, nawet pusty...

Michał był jedynakiem i od dziecka starał się być samowystarczalny, także gdy chodziło o remonty czy naprawy w domu. Agę zawsze to irytowało – powtarzała do znudzenia, że lepiej oddać sprawy w ręce fachowca. Ale Michał był innego zdania. Uważał, że sam najlepiej poradzi sobie z każdą usterką. Często po powrocie z pracy, nawet po ciężkim dyżurze, zaszywał się w garażu, by naprawić odkurzacz albo jakiś drobiazg w samochodzie. Alfa romeo 159 było jego drugim po córce oczkiem w głowie i poświęcał mu naprawdę sporo czasu, bo wieczne usterki niejako z automatu przypisane były tej marce. Pewnego dnia postanowił zespawać coś w okolicy baku. Całe szczęście, że akurat po koleżankę Mai przyjechał jej tata – mechanik. Złapał się za głowę, gdy Michał zdradził mu swój plan,

i zabronił zbliżyć się z palnikiem do baku. „Wystarczy chwila, by bak eksplodował” – tłumaczył. „Paliwo gromadzi się w strukturze metalu, a więc metal niejako nasiąka nim jak gąbka. Podgrzewane paliwo paruje i w postaci lotnej przechodzi do zbiornika, a następnie, po zmieszaniu z tlenem z powietrza, tworzy mieszankę wybuchową”. Teraz Michał przypomniał sobie tę lekcję i postanowił z niej skorzystać. Najpierw jednak musiał zdobyć jeden z pojemników stojących pod lasem.

Usłyszał trzask gałęzi i natychmiast przywarł do drzewa, sięgając po nóż. Wstrzymał oddech i wyjrzał zza pnia. Jeden ze strażników oddalił się od obozowiska, by oddać mocz. Stał teraz dwa metry od Michała, odwrócony do niego plecami. Sikał przed siebie, podśpiewując pod nosem. Michał nie wahał się dłużej niż ułamek sekundy. Podkradł się do mężczyzny i wprawnym ruchem uderzył go rękojeścią noża w potylicę. Strażnik padł na ziemię jak ścięte drzewo. Michał przeciągnął go do niewielkiego zagłębienia w pobliżu, zdjął z niego spodnie, kurtkę i czapkę z daszkiem w kolorze camo. Przebrał się błyskawicznie. Spodnie były trochę za krótkie, a kurtka za ciasna, ale na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało całkiem normalnie. Wyjął pasek ze swoich spodni i związał nim ręce i nogi mężczyzny. Dla pewności zdjął mu ze stopy skarpetę i za jej pomocą zakneblował mu usta. Zaciągnął daszek czapki na oczy i ruszył w kierunku agregatu.

Kiedy był już na skraju lasu, zauważył z prawej strony kolejnego strażnika, tym razem kobietę. Ponownie przywarł do drzewa, podniósł z ziemi gałąź i rzucił w głąb lasu – w stronę, z której nadchodziła strażniczka. Kobieta obejrzała się i po chwili wahania obrała kurs na źródło podejrzanego odgłosu.

Michał upewnił się, że w pobliżu nie ma nikogo. W obozowisku panował ruch i w każdej chwili ktoś mógł spojrzeć w jego kierunku. Póki zachowujesz się normalnie, nikt nie zwróci na ciebie uwagi – pomyślał

i pewnym krokiem podszedł do kanistrów z ropą. Kiedy schylał się po metalowy pojemnik, ktoś go minął, ale nawet na niego nie spojrział.

Pierwszy kanister był pełny. Podobnie drugi. „Do trzech razy sztuka” – szepnął. I rzeczywiście – kiedy poruszył trzecim, usłyszał delikatny plusk. Sprawdził jeszcze dwa i znalazł kolejny niemal pusty. Złapał jeden pojemnik lewą, a drugi prawą ręką i jak gdyby nigdy nic zawrócił w kierunku lasu.

Był znów w miejscu, w którym pozostawił ciało wartownika. I miał kanister, czyli swoją bombę. Potrzebny był mu jeszcze zapalnik – innymi słowy musiał rozpalić małe ognisko. Ale to nie był problem, bo deszcz, który przemoczył go do suchej nitki kilka kilometrów stąd, najwidoczniej tutaj nie dotarł. Czym prędzej przygotował hubkę: suchy mech i zeschnięte liście, a na rozpałkę drobne gałęzie. Przyszykował też kawałek suchej kory, który miał posłużyć za tackę na węgiel drzewny. Potem znalazł większe kawałki drewna do zbudowania dwóch ognisk – bo co dwie bomby, to nie jedna. Dwa wybuchy w niewielkich odstępach czasu powinny wprowadzić niezły zamęt. Rozstawił ogniska w odległości kilkudziesięciu metrów od siebie.

Na szczęście po niedawnych burzach na ziemi leżało sporo grubych gałęzi złamanych przez wichurę. Teraz niezbędna była już tylko iskra. Metodę łuku i wiertnika miał opanowaną do perfekcji, bo w ostatnich latach najczęściej tak właśnie wzniecał ogień. Błyskawicznie znalazł deseczkę idealnie nadającą się na podkładkę oraz drugą, którą wykorzystał jako płytkę dociskową. Bez trudu wybrał kawałek drewna na wiertnik oraz sprężystą gałąź, która miała pełnić funkcję łuku, czyli cięciwy. Gdy wszystko było gotowe, uformował z hubki kulkę i wepchnął w nią do połowy wiertnik – wyglądało to jak częściowo wydrążona tuleja. Owinął wiertnik cięciwą, jeden z jego końców umieścił w przygotowanym wcześniej zagłębieniu w podstawce, a drugi w płytce dociskowej, pod nacięcie wsunął tackę na węgiel drzewny i wziął się za rozpalanie. Zaczął

rytmicznie i szybko przesuwając łuk w poziomie. Pocierał o siebie przygotowane kawałki drewna do momentu, gdy pojawił się dym. Przesypał żar na podstawkę i dmuchał delikatnie, aż hubka zajęła się ogniem. Podpalił najpierw jedno, a potem drugie ognisko. Wszystko to zajęło mu kilkanaście minut.

Spojrzał w stronę namiotu, w którym przetrzymywali Lenę. Dziewczyna nadal siedziała w środku z drugim więźniem, ale po niskim, pulchnym mężczyźnie i tym drugim wysokim nie było już śladu. Jurty pilnowała dwójka strażników z karabinami maszynowymi. Cofnął się do ogniska. Drewno strzelało snopami iskier, trzaskając głośno. Upewnił się jeszcze, że nieprzytomny wartownik znajduje się w bezpiecznej odległości od ogniska, a następnie położył kanister na rozżarzone gałęzie. Pobiegnął do drugiego ogniska i zrobił to samo.

– Spotkamy się w chacie – szepnął do wilka stojącego tuż przy nim. – No już. Idź!

Wilk zamrugnął ślepiami i zniknął w głębi lasu.

Ukrył się za drzewem na skraju polany. I wtedy okolicą wstrząsnął potężny huk. Michał, w przeciwieństwie do Panter, był na niego przygotowany. Ba, czekał na niego z utęsknieniem. Obserwował ze spokojem, jak z strażnicy rozstawieni wokół obozowiska dobywają broni i gnają w kierunku, z którego dobiegł wybuch. Z namiotów wylegali zdezorientowani ludzie. Ktoś wykrzykiwał jakieś komendy. Wszyscy biegali po obozowisku jak furiacko brzęczące muchy umykające przed niewidzialną packą, która uderzyła blisko nich i za chwilę może uderzyć znów.

Tylko on wiedział, co robić w tym niespodziewanym chaosie. Zmierzał pewnym krokiem do jurty, w której przetrzymywali Lenę. Tak jak przypuszczał, w tym zamieszaniu nikt nie zwrócił na niego uwagi. Skonstatował z zadowoleniem, że jeden z wartowników sprzed jurty dołączył do kolegów tropiących przyczynę wybuchu. Podeszedł do wejścia

i nim pozostały na posterunku strażnik zdążył cokolwiek zrobić, nokautujący cios pięścią w nos pozbawił go przytomności. Zanim runął na ziemię, Michał umiejętnie go złapał i wciągnął do jurty.

– Michał! – pisnęła Lena na jego widok.

– Ciszej! – szepnął, ale w głębi ducha odetchnął, widząc, że nic jej nie jest.

Drugi więzień Panter wyglądał znacznie gorzej. Miał obitą twarz, ale ciosy, które na niego spadły, musiały być znacznie słabsze niż te, które powaliły strażnika leżącego teraz tuż przy wejściu.

– Nie ruszaj się... – rzucił Michał w stronę dziewczyny, dobywając noża. Przeciął opaskę zaciskową najpierw na jej nogach, a następnie na rękach.

Lena rzuciła się Michałowi na szyję i mocno go objęła.

– Myślałam, że już cię nie zobaczę... Że zostawisz mnie jak wszyscy... – Rozpłakała się. – Przepraszam...

– To ja przepraszam. Nie powinienem był cię puszczać samej.

Przytulił ją mocniej. Wiedział, że nie powinien, bo liczyła się każda sekunda. Pantery w każdej chwili mogły się zorientować, że wybuchy to była tylko dywersja. Ale nie potrafił wypuścić jej z objęć. Nie czuł tego przez tak wiele lat. Ostatni raz ścisnął tak...

Okolicą wstrząsnęła kolejna eksplozja. Lena zadrżała i poruszyła się niespokojnie, ale on nadal ją trzymał. Na zewnątrz znów podniosły się krzyki.

– Nie bój się. Nic nam nie będzie – szepnął, całując włosy Leny na czubku głowy. – Zaraz nas stąd wyciągnę.

Popatrzył w jej oczy, a ona tylko skinęła głową. Chwycił ją za rękę i skierował się w stronę wyjścia. Ale dziewczyna ani drgnęła.

– Musimy uciekać! – szepnął zdezorientowany.

– Nie możemy go tu zostawić... – wymamrotała Lena, wskazując na drugiego więźnia, a ten spojrzał z nadzieją najpierw na dziewczynę, a potem na jej opiekuna.

– Nie mamy czasu! Mogą tu być lada moment... – Michał starał się mówić spokojnym tonem, ale jego głos drżał od nadmiaru emocji.

– Michał! – Szarpnęła jego rękę, znów stawiając opór. – On może mi pomóc odnaleźć tatę!

– Ale przecież mówiłaś, że on nie żyje...

Nie ogarniał tego, co się działo od dwóch dni, ale zrezygnował z choćby próby ułożenia sobie tego wszystkiego w głowie. Wilgotne od łez oczy Leny patrzyły na niego tak, jakby nie chodziło o uratowanie jej i obcego mu mężczyzny, ale całego świata. Być może odnalezienie ojca było dla niej z tym równoznaczne.

Michał puścił rękę Leny i wypadł z namiotu. Usłyszał jeszcze za sobą krótkie i przerażone: „Michał!”. Zobaczył, że wszyscy skoncentrowali się na skraju lasu, gdzie trwała analiza wybuchów. Najwidoczniej zapomnieli o więźniach. Podbiegł do jeepa zaparkowanego kilkanaście metrów od jurty. Otworzył drzwi od strony kierowcy i zajrzał przez okno do środka. Tak jak się spodziewał, w stacyjce dyndały kluczyki. Szybkim krokiem wrócił do namiotu.

– Co ty robisz? – pisnęła Lena.

Nie zważając na nią, podszedł do więźnia i kucnął przy nim.

– Jeden głupi ruch i zginiesz – wycedził przez zęby, zaglądając mu głęboko w przerażone oczy. Mężczyzna nerwowym skinieniem głowy potwierdził, że zrozumiał jego słowa.

Dwa zdecydowane cięcia uwolniły go zaciskowych więzów. Mężczyzna wstał i z trudem rozprostował nogi.

– Przebieraj się! – Michał wskazał na strażnika leżącego na ziemi.

Mężczyzna natychmiast zrzucił ubranie i wciągnął na siebie za duże spodnie i kurtkę strażnika. Na oczy nacisnął czapkę z daszkiem.

– Idziemy po jeepa. Ty będziesz prowadził... – zarządził, po czym skierował wzrok na Lenę. – A ty zaczekasz, jasne? Kiedy pojedziemy, wskoczysz do środka. Zrozumiano?

Potaknęli jak na komendę.

Zdecydowanym krokiem podeszli do jeepa. Michał otworzył lewą ręką drzwi od strony pasażera. Czubek ostrza noża trzymanego w lewej ręce dotknął pleców mężczyzny.

– Wsiadaj powoli i przesuń się na miejsce kierowcy – powiedział cicho.

Mężczyzna wykonał polecenie, a Michał wsiadł za nim i ostrożnie zamknął drzwi. Przekręcił kluczyk w stacyjce i jeep odpalił. Spojrzenia zaniepokojonych członków Panter zwróciły się w ich stronę.

– Jedź! – warknął Michał, zbliżając ostrze do boku mężczyzny.

Samochód wystrzelił do przodu, zatrzymując się po kilkudziesięciu metrach przed jurką. Lena wybiegła z namiotu i wskoczyła na tylne siedzenie. Rozległ się huk wystrzału, potem kolejny. Lena skuliła się na tylnej kanapie.

Mężczyzna nie czekał na kolejną komendę Michała. Wcisnął pedał gazu do oporu, trzymając dłonie na kierownicy, całą resztę roboty wykonywała automatyczna skrzynia biegów. Koła zabuksowały, a trafiony jednym z pocisków ukryty pod maską diesel zaryczał jak ranny bizon. Pojazd wyrwał przed siebie, tratując wszystko, co było na jego drodze, łącznie z małym namiotem, z którego w ostatniej chwili wybiegła dwójka osób. Naboje świszczwały za nimi, ale odgłosy wystrzałów z każdą chwilą były coraz cichsze. Po kilkuset metrach, mknąc leśną ścieżką i mocno telepiąc się na boki, słyszeli już tylko obłąkańcze wycie silnika.



– Powiedz, że masz dla mnie coś konkretnego – rzucił ponuro zmęczonym głosem, wchodząc do królestwa Darii.

Poprzedni dzień dał mu w kość, a to, co powiedział Werner, męczyło go całą noc. Jakby tego było mało, panował nieznośny upał. Starał się nie wiercić w łóżku, żeby Hania się nie obudziła. Nie chciał jej niepokoić, choć przypuszczał, że i tak coś podejrzewa. Czytała w nim jak w otwartej księdze i wyczuwała, że myślami cały czas jest poza domem. Pewnie dlatego rano nie podjęła zapowiadanej poważnej rozmowy. Po Hani jednak można się było spodziewać wszystkiego, postanowił więc jak najszybciej uciec do pracy, choć wiedział, że nie będzie mógł uciekać bez końca. Rozmowa była nieunikniona, ale teraz miał inne sprawy na głowie. Na szczęście w domu znalazł resztkę bimbru. Solidny łyk na chwilę go uspokoił.

– Oho, widzę, że to nie jest twój najlepszy dzień – zaszczebotała Daria, siedząc przed dużym, płaskim monitorem komputera i analizując wyniki badań. Mówiła, nie patrząc w jego stronę. – Jest jeszcze zdecydowanie za wcześnie na to, żebym ci zaproponowała szklaneczkę czegoś mocniejszego, ale widzę, że sam już dzisiaj się poratowałeś...

– Akurat tego nigdy dość, więc jeśli...

– Nie. Wystarczy ci – ucięła kategorycznie. – Pytałeś, czy coś dla ciebie mam...

– No właśnie, masz? – Podeszedł do biurka, przy którym pracowała, i rozsiadł się w fotelu na kółkach tuż obok niej.

– Zacznę od tego, czego nie mam, bo dałeś mi całą listę zadań... – Otworzyła notes i przejrzała go błyskawicznie. – O, pendrive!

– Coś na nim było?

– Jeszcze nie wiem. To znaczy, było i to nawet sporo! Ale nic nie mogłam odczytać. Flashka jest zakodowana, a szyfr... nigdy czegoś takiego nie widziałam. No, może raz, kiedy przed laty współpracowaliśmy przy dochodzeniu z ABW. To była jazda! W akcję wmieszane były wtedy obce służby, a dowód, którego potrzebowaliśmy, był podobnie zaszyfrowany jak to ustrojstwo. Słabo się na tym znam, niemniej obstawiam, że to coś poważnego, z czym, mimo niewątpliwego geniuszu, sama sobie nie poradzę. Ale przecież nawet Batman czasami potrzebował pomocy Robina, więc tłumaczę so...

– Daria... – przerwał jej, czując, że jeszcze kilka sylab, a jego głowa eksploduje. Zapowiadał to ćmiący ból po lewej stronie czoła. Ucisnął skroń palcami prawej dłoni i przymknął oczy, ale nie pomogło. – A masz jakiegoś Robina do pomocy? Bo te informacje z pendrive'a mogą być dla nas kluczowe.

– Robin, dobre! – roześmiała się. – Patric będzie zachwycony nową ksywą!

– Patric?

– Mój znajomy z Sieci. Jest z Irlandii. Poznaliśmy się online, graliśmy w *The Zerg Vs Zombies*. To taki mod *Starcrafta 2* zrobiony przez jakiegoś Chińczyka. Ogólnie masakra. Grałeś? – Zamrugła szybko i wbiła w niego duże oczy ubrane w czarne oprawki.

– Nie...

– Dobra, nieważne. Wiem, że komputery to nie twoja działka. O czym to ja? – Zamyśliła się na moment. – A! No tak. Patric. Patric to taki mój Robin, o ile uznamy mnie za Batmana... Tak czy inaczej, ma chyba

największą sieć komputerów-zombie, które właśnie próbują złamać dla nas szyfr z przenośnej pamięci. Jeśli ktoś w tej chwili dysponuje mocą obliczeniową zdolną szybko złamać te zabezpieczenia, to tym kimś jest Patric i jego pracowite jak pszczoły boty.

– Jak długo to może potrwać? – zapytał Wiktor. Jego ręką zawładnął dobrze mu znany tik polegający na niekontrolowanym przetrząsaniu kieszeni w poszukiwaniu paczki papierosów albo piersiówki.

– Wiktorze! Przecież dopiero to dostał! No dobra, wczoraj, ale dajmy mu chwilę. Tym bardziej że zombie to nie sprinterzy, prawda? – Zaprezentowała zęby w radosnym uśmiechu, ale Wiktor go nie odwzajemnił. – Ale nie martw się – dodała już poważnym tonem. – Mam też dobre wiadomości!

– Na przykład? – Jego oczy zaczęły się zamykać. Przyjemny chłód podziemi kontrastujący z upałem na zewnątrz wywołał marzenia o krótkiej drzemce. Łagodny wietrzyk z mruczącej sennie klimatyzacji zachęcał go do odrobienia zaległości z nocy.

– Zacznę od najciekawszej sprawy, bo widzę, że trochę się nudzisz... – powiedziała z przekąsem, ale Wiktor nie zareagował. Siedział mocno odchylony w wygodnym skórzanym fotelu, pogrążony w półśnie.

– Dokończyłam testy DNA i okazało się, że... – suspens w przypadku tej informacji był niezbędny – ...Paweł i Gawel są ze sobą spokrewnieni.

– Że co?! – Wiktor aż podskoczył. Po półśnie nie było już śladu. – To rodzina?!

Daria wzruszyła ramionami, udając, że jego nagłe ożywienie nie zrobiło na niej wrażenia.

– Na to wygląda, Wiktorze. Ale to nie wszystko. Wiem też, kim był Gawel i gdzie pracował – rzuciła od niechcienia, zerkając na ekran monitora.

No dobra, uwielbiał ją. Była ładna, inteligentna i miała w sobie to coś, co sprawiało, że kobieta, niezależnie od wszystkiego, przyciągała uwagę.

I jeszcze to jej szaleństwo, które tak go kręciło... Gdyby nie to, że razem pracowali, ich znajomość z pewnością skończyłaby się namiętym romansiem. Ale Wiktor, który na ogół nie przestrzegał regulaminów i reguł, pozostawał wierny jednej zasadzie: „Nie romansuj z kobietami, z którymi pracujesz, bo tam gdzie w pracy zaczyna się romans, kończy się profesjonalizm”. Ale gdyby nie to...

– Nie interesuje cię, kim był? – Daria odwróciła się, spoglądając w jego rozmarzone oczy. Zarumieniła się, ale szybko, jak to miała w zwyczaju, obróciła sytuację w żart. – Ziemia do Wiktora, słyszysz, co do ciebie mówię?

– Tak – potwierdził i przełknął ślinę. – Kim był?

Nos Darii znów zanurkował w notatki.

– Nazywał się... Grzegorz Nowicki. Był onkologiem, miał tytuł doktora nauk medycznych. To był jakiś pieprzony geniusz i przyznam, że czytając o nim, czułam się nieswojo, nawet trochę się zdenerwowałam. – Uśmiechnęła się, jakby żartowała, ale Wiktor znał ją na tyle, by wiedzieć, że daleka była od żartów. W jej głosie wyczuł zazdrość. – Poszedł o rok wcześniej do podstawówki – kontynuowała Daria – potem przeskoczył jeszcze dwie klasy. Najlepszy na swoim roku na medycynie. Doktorat w wieku dwudziestu pięciu lat. Te dwie ostatnie rzeczy nawet bym zrozumiała, gdyby jego rodzice byli lekarzami, profesorami medycyny, ale nie. Rozumiesz?

– Nic nie rozumiem...

– Ech, Wiktorze, to potwierdza, że naprawdę był geniuszem! Jeśli w tym wszystkim nie pomogli mu rodzice, jak to zwykle bywa w medycznym świecie, to musiał być jakimś supermanem. Wierz mi, coś o tym wiem, a właściwie nie wiem... – przygryzła wargę, a jej oczy się zwężyły. – Nieważne. Wracając do tego, co istotne. Przez jakiś czas pracował w państwowej służbie zdrowia, miał też prywatną praktykę. Ale

jeszcze przed trzydziestką skaperowali go do polskiego oddziału LiveMore Corp. To firma farmaceutyczna z międzynarodowym kapitałem.

– Niech zgadnę: amerykańskim, chińskim i izraelskim? – przerwał jej Wiktor.

– No, no. Jestem pod wrażeniem. – Daria kiwnęła głową z uznaniem. – Skąd wiesz?

– Też odrobiłem swoją lekcję. – Uśmiechnął się mimowolnie, bo Darię niełatwo było zaskoczyć. Jemu właśnie się udało i poczytał to jako swoiste zwycięstwo.

– Nie za wiele znalazłam na temat działalności firmy. Dotarłam jedynie do informacji, że LiveMore Corp. jako jedno z pierwszych podjęło współpracę z filadelfijskim Wistar Institute. Razem prowadzili badania nad budową i sposobem działania telomerazy. To enzym kontrolujący mechanizm podziału komórkowego. Ciekawa sprawa... – powiedziała, ale mina Wiktora sugerowała, że nie jest zainteresowany rozwijaniem tego niewątpliwie ciekawego wątku. – Okay, może nie dla ciebie... W każdym razie pracował nad tym z niejakim Jakubem Morycem. To z kolei mikrobiolog, ale o nim nie znalazłam absolutnie nic. Nie wiadomo, co się z nim stało. Może będę miała coś więcej, gdy Patric rozkoduje pendrive'a.

– Czyli ten umarłak to mógł być ktoś z rodziny, kogo ten cały Nowicki leczył na raka przed apokalipsą, a kto potem zamienił się w żywego trupa?

– To bardziej niż prawdopodobne – oceniła rzeczowo Daria. – Myślę, że nie mógł się pogodzić ani z jednym, ani z drugim stanem bliskiej mu osoby i do końca starał się ją ratować jakąś nowatorską terapią. Stąd te plamy i zmiany skórne.

– Straszne...

– Raczej piękne... Pomyśl, walczył o niego do końca. Ani perspektywa śmierci, ani sama śmierć go nie załamały. – Zamyśliła się. – Niestety, najwidoczniej coś poszło nie tak i po ostatecznej śmierci nie było już powrotu – dodała cicho.

– Nawet na pewno coś poszło nie tak. Jeśli szukał leku, to bardzo się pomylił – zakpił w swoim stylu Wiktor. – Wiem z dobrze poinformowanego źródła, że robili tam jakąś broń masowego rażenia na umarłaków.

– Masowego rażenia?! – Teraz Daria była zaskoczona.

– Dokładnie.

– No tak, to ma sens! Wiesz, że greckie słowo oznaczające lekarstwo, czyli *farmakon*, używane było też do określenia trucizny? Boże, jak ja nienawidziłam greki i łaciny na studiach – westchnęła, wznosząc oczy ku górze. – Ale teraz przynajmniej na coś może się to przydać. Chodzi o to, że nieodpowiednie dawkowanie leku czyni z niego truciznę, a trucizna w odpowiednich dawkach może się okazać lekarstwem...

– Tak, to naprawdę fascynujące, ale bez danych z pendrive’a pozostaje nam zgadywanie – stwierdził Wiktor. – Choć jedna rzecz nie daje mi tu spokoju...

– Jaka?

– Skoro zajmowali się tam bronią masowego rażenia na niemartwych, to raczej nie zabiły go Pantery, bo po co? Przecież oni chcą eksterminacji umarłaków. Raczej współpracowałyby z tym całym Nowickim.

– A jeśli nie Pantery...

– ...to Kult Brata Ezechiela – dokończył za nią Wiktor. – Ale to tylko domysły. – Odchylił się w fotelu i przymknął oczy. – Wygląda na to, że musimy czekać, bo ja ze swoimi tropami też stoję w miejscu.

– Nie, no mamy jeszcze coś.

Wiktor spojrzał na nią pytająco.

– Pytałeś o tego Jana Barowskiego, prawda?

– Tak. Znalazłaś go?

– Jego nie. Ale w Forcie Wilno mieszka lub mieszkała Agata Barowska...

– Matka? Żona? Córka?

– Albo siostra. Ale ustalenie tego pozostawiam tobie. Nie mogę przecież robić wszystkiego za ciebie, nieprawdaż? – Uśmiechnęła się promiennie i wcisnęła mu małą karteczkę w dłoń. – Masz tu jej adres. A teraz zabieraj się stąd, bo zaraz mi tu zaśniesz, a chcę jeszcze sprawdzić kilka rzeczy.

– Dobra... – mruknął niepokieszony, wstając z trudem z fotela. – Choć dzisiaj, jak nigdy, wolałbym zostać tu z tobą.

– Też cię kocham.

– Ja nie o tym... – rzucił obojętnie. – Na zewnątrz panuje prawdziwe piekło.

– A czego się spodziewałeś po apokalipsie? Poza tym pomyśl o zmianie garderoby, tym bardziej że ten płaszcz na tobie nie leży.

– Co wy wszyscy macie do mojego prochowca?

Daria chciała coś na ten temat powiedzieć, ale nagle spoważniała.

– Cholera, zupełnie bym zapomniała! Szukał cię Andrzej. Prosił, żebyś do niego zajrzał. To podobno pilne.

– Okay. Zajrzę do niego. Trzymaj się! – rzucił na pożegnanie i niechętnie opuścił krainę chłodu.

Iście afrykańskie tropiki panujące od wczoraj w Forcie Wilno były tak niezwykle o tej porze roku, że niektórzy byliby skłonni uznać je za omen. Gdyby żyła jego babcia – zagorzała czytelniczka trylogii Sienkiewicza oraz sprzedawanych za bezcen na bazarach wszelkiej maści zbiorów prorocत्व, z których każde zapowiadało Polskę od morza do morza i nowego króla, godnego następcę Stanisława Augusta Poniatowskiego – powiedziałyby zapewne, że ten upał to znak zwiastujący „jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia”. Jednak ani jednych, ani drugich w ostatnim czasie nie brakowało. Było ich tyle, że stały się normą i na pewno nie zapowiadał ich nagły wzrost temperatury. Skwar zwiastował po prostu kolejny popieprzony dzień w tym popieprzonym świecie – tylko tyle i aż tyle. I był upierdliwy, to trzeba było przyznać.

Rozłożył karteczkę, którą dostał od Darii. Widniał na niej odręczny, miejscami niewyraźny napis: „Agata Barowska, Ponarska 11/113”. Miejsce oznaczone tym adresem znajdowało się więc dość blisko, ale jeszcze bliżej miał do Andrzeja. Wizyta w pierwszej kolejności w jego gabinecie miałyby jeden niezaprzeczalny plus: mógłby napić się tego, czego przezornie odmówiła mu Daria. Whisky w taki upał była najlepszym rozwiązaniem – poza odprężeniem zapewniała ochłodę. Podobno. Minus był taki, że nie miał ochoty przekonywać się na własne oczy, jak na takie upały reaguje cielsko Andrzeja.

Była jeszcze jedna możliwość – sprawdzić, jak Alena znosi kwarantannę. No dobra, po prostu zobaczyć Alenę. Uznał jednak, że to nie najlepszy pomysł, a kilkudniowy odwyk od jej ciała dobrze mu zrobi. Przez ten czas będzie musiał zadowolić się wódką. Pozostał więc tylko jeden wybór: robota. Dla wszystkich, których znał, może poza Darią, życie osobiste było odskocznią od pracy, która stanowiła dla nich źródło frustracji i niepowodzeń. Dla niego to praca była odskocznią od domowego życia, które wciąż piętrzyło przed nim problemy, głównie związane z kobietami. Robota była najważniejsza i w głębi ducha każdego dnia dziękował Bogu, choć nie do końca w niego wierzył, za ten jedyny talent, który od niego otrzymał.

Po krótkim rozważeniu wszystkich „za” i „przeciw” ruszył w stronę Ponarskiej.

Wzdłuż ulicy ciągnęły się białe apartamentowce. Zanim dotarł do numeru jedenaście, minął kilka identycznych budynków. Tu nie było śladu po apokalipsie. Na balkonach suszyło się pranie, pyszniły się zadbane rośliny doniczkowe, a na rozległych zacienionych tarasach, rozparci na wygodnych leżakach relaksowali się ci, którzy mogli sobie na to pozwolić. Istna oaza raju w panującym dookoła piekle.

Wszedł na pierwsze piętro. Na drzwiach naprzeciwko schodów wisiały cyfry układające się w liczbę sto jedenaście. Poszedł w prawo i wcisnął

dzwonek mieszkania z numerem, którego szukał. Nikt nie otworzył. Zadzwoił jeszcze raz. Z wewnątrz doszły go odgłosy krzątania się. Po chwili kobiecy głos zapytał:

– Kto tam?

– Wiktor Strachowski, sekcja bezpieczeństwa. Proszę otworzyć – wyrecytował służbowym tonem, nadającym formułce magiczną moc zaklęcia „Sezamie, otwórz się!”. I rzeczywiście, drzwi uchyliły się ze zgrzytem zawiasów przypominającym otwieranie skarbca.

– Słucham? – Na kobietę najwyraźniej nie podziałały jego czarodziejskie zdolności. W jej głosie dało się usłyszeć wyraźny przekaz: „Mów, o co chodzi, i spieprzaj, bo nie mam ochoty na rozmowę z nikim, a zwłaszcza z ludźmi z sekcji bezpieczeństwa”.

– Szukam Agaty Barowskiej...

– Nikt taki już tutaj nie mieszka – powiedziała szybko. Zbyt szybko.

– A czy wie pani...

– Nie, nie wiem. Nie zostawiła adresu. Przepraszam, ale śpieszę się. Do widzenia.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale drzwi zatrzasnęły się mu przed nosem. Niewykluczone, że dane w systemie były nieaktualne i Agata Barowska rzeczywiście już tutaj nie mieszka, pomyślał Wiktor, ale to nie zmieniało faktu, że kobieta coś ukrywa.

Wyszedł na zewnątrz i ukrył się w cieniu za rogiem budynku. Może i kobieta coś skrywała, ale to, że się śpieszy, okazało się prawdą – nie minęło pięć minut, gdy wyszła z apartamentowca i ruszyła przed siebie energicznym krokiem. Odprowadził ją wzrokiem, a potem spojrzał w okna mieszkania wychodzące ulicę. W jednym z nich drgnęła biała firanka. Nie spieszyło mu się do Andrzeja, więc postanowił raz jeszcze spróbować szczęścia.

Zadzwoił do drzwi i przyłożył do nich ucho. Nic. Zadzwoił ponownie. Jakiś ruch.

– Wiem, że tam jesteś – mówił donośnie, starając się jednak nadać głosowi łagodny ton. Brzmiał teraz jak przyjaciel, a nie funkcjonariusz. To też miał wyuczone, a intuicja podpowiadała mu, że to klucz do tych drzwi. – Otwórz. Chcę tylko porozmawiać. Nic więcej.

Kolejny szmer. Ktoś zbliżył się do drzwi.

– Szukam Jana Barowskiego. Jeśli go znasz, otwórz proszę. To może mi bardzo pomóc w śledztwie, które prowadzę.

Chwila milczenia i szcęk zamka. Drzwi się uchylily i wyjrzała zza nich młoda dziewczyna. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat.

– Mogę wejść? – zapytał z uśmiechem.

Dziewczyna skinęła głową i wpuściła go do środka. Wzrok Wiktora od razu padł na jej szyję owiniętą czarną apaszką. Wszedł do mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

– Znasz Jana Barowskiego?

Dziewczyna ponownie skinęła głową. Patrzyła w podłogę, opierając się o ścianę.

– Znałam. To mój ojciec.



Łagodnie zbrocza ubrane w zielono-czerwono-złote szaty z liści drzew, pożółkłych traw i szarych skał ciągnęły się wzdłuż drogi, którą mknął jeep wrangler. Jednak tylko Lena zwróciła na to uwagę. Adam koncentrował się na kontrolowaniu toru jazdy po wyboistej, nieutwardzonej jezdni, a Michał spoglądał to na siedzącego po lewej mężczyznę, to na Lenę zajmującą tył pojazdu. W ręce trzymał nóż na wypadek, gdyby ich więźniowi przyszło do głowy coś głupiego.

Jechali w milczeniu. Monotonny odgłos pracującego silnika urozmaicały głośnie skrzypienie zawieszenia oraz stukot wystrzeliwujących spod kół kamyków, którymi usiana była droga. Samochodem bujało jak łódką, co nie najlepiej świadczyło o resorach. Pojazd nosił ślady znacznego zużycia, ale o jego kiepskim stanie informowała wprost jarząca się na żółto kontrolka na desce rozdzielczej. Jej natarczywe mruganie nie robiło na nikim wrażenia, przynajmniej do momentu, kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości od obozu Panter. Zbliźali się do granicy lasu, gdy nastąpił niespodziewany wystrzał. Samochodem zarzuciło i gdyby nie refleks Adama, a dokładnie odpowiednie kontrowanie kierownicą, wylądowałiby na coraz gęściej zalesionym poboczu. Jeep z głośnym piskiem opon wyhamował bokiem, wznosząc tuman pyłu, który gryzł w oczy i utrudniał i tak już niełatwe w panującej duchocie oddychanie.

Gdyby Michał nie był przypięty pasami i nie trzymał się prawą ręką relingu, najprawdopodobniej leżałby poturbowany na jezdni. Teraz, z trudem łapiąc oddech, spojrzął w bok. Miejsce kierowcy było puste. Zaklął w duchu, błyskawicznie odpiął pasy, wyskoczył z samochodu i, cały czas mocno ściskając nóż, rozejrzał się za zbiegiem. Namierzył go od razu. Mężczyzna kucał obok leżącej na trawie Leny, sprawdzając, czy nic jej się nie stało. Poza lekko rozciętym czołem – musiała uderzyć o coś głową, gdy samochód zahamował – była cała i zdrowa.

Michał przyjrzał się jeepowi. Tylne opony, z której uszło całe powietrze, przypominała smętny kapeć. Po bliższych oględzinach znalazł w niej długi, wykrzywiony gwóźdź, który do połowy zagłębił się w gumie. Na szczęście z tyłu samochodu wisiało koło zapasowe, a lewarek i zestaw kluczy znalazł pod siedzeniem pasażera.

– Zajmiesz się tym? – zapytał, a raczej wydał polecenie mężczyźnie, przekazując mu zestaw narzędzi. Adam od razu zabrał się do roboty.

Lena doszła już do siebie, choć nadal była lekko ogłuszona. Leżała na trawie, trzymając się za czoło.

– Co się stało? – spytała, wpatrując się w Michała, który kucnął przy niej.

– Złapaliśmy gumę. Wymienimy koło i ruszamy dalej. – Zamilkł na chwilę. – No właśnie, dalej, czyli gdzie?

Lena westchnęła i usiadła, podciągając nogi pod brodę. Uciskała skronie palcami. Zmrużyła oczy, walcząc z oślepiającym słońcem.

– Nie wiem – powiedziała cicho, a potem ruchem głowy wskazała na mężczyznę. – Ale on wie. Mówił, że może się dowiedzieć, gdzie jest mój tata...

Michał wstał.

– Hej, jak masz na imię? – zawołał w stronę mężczyzny.

– Adam.

– Okay, Adamie, podobno wiesz, gdzie możemy znaleźć jej ojca? – zapytał, podchodząc nieco bliżej.

– Ja nie, ale znam kogoś, kto może się dowiedzieć.

– Kogo? – zapytał podejrzliwie Michał. Gość pomógł Lenie i wydawał się być w porządku, ale to nie oznaczało, że miał mu od razu ufać.

– To facet, który mnie wciągnął w to wszystko... – Adam skrzywił się i splunął na ziemię. Odblask promieni słonecznych na nożu Michała oślepił go na moment, więc odruchowo zakrył oczy dłonią. – Posłuchaj, nie ucieknę wam. Słowo. Dziewczyna już wie, że jestem tutaj tylko dlatego, że mam żonę i dziecko w drodze. Robię to dla nich i nie chcę kłopotów. Pomogę wam, jeśli potem puścicie mnie wolno.

Michał raz jeszcze zmierzył go wzrokiem i schował nóż.

– Zawsze byłem zbyt ufny w stosunku do ludzi, ale wierzę ci. Chowam nóż, ale mam go cały czas pod ręką i lepiej o tym pamiętaj, jasne? – Spojrzał Adamowi w oczy, a gdy ten potaknął, wrócił do porzuconego wątku. – No dobra. Kto może nas naprowadzić na trop jej ojca?

– Juliusz. To mój stary znajomy i ma u mnie dług za tę całą historię. W niezłe bagno mnie wciągnął... Ale to spoko facet. Wie, co się dzieje, i potrafi wszystko załatwić. W przeszłości nieraz sobie pomagaliśmy. – Ostatnie słowa wymówił z trudem, zdejmując pękniętą oponę i zakładając koło zapasowe.

– Można mu zaufać?

– To mój przyjaciel. Pomoże nam.

– Oby. – Michał nie spuszczał z niego wzroku. – Gdzie znajdziemy tego Juliusza?

– Fort Oaza.

– Fort Oaza? – powtórzył Michał i zmarszczył brwi.

Zapadła cisza. Adam już otwierał usta, by coś powiedzieć, kiedy wtrąciła się Lena.

– Michał od czterech lat nie był poza Bieszczadami. Nie wie, co to forty...

Powieki Adama otworzyły się tak szeroko, że oczy omal nie wyszły mu z orbit. Chciał coś powiedzieć, ale znów ubiegła go Lena.

– Forty to takie współczesne miasta, na ogół na terenach dawnych zamkniętych osiedli. Wokół nich wzniesiono mury obronne chroniące przed niemartwymi. Zresztą sam zobaczysz...

– Rozumiem – mruknął Michał nieco zawstydzony. – A ten Fort Oaza? Jakie miasto tam było?

– Rzeszów. To niedaleko stąd. – Adam w końcu doszedł do głosu. – Dojadę tam, tylko musimy się wydostać na jakąś główną drogę.

Michał kiwnął głową i odwrócił się w stronę Leny.

– No jak tam? Już lepiej? – zapytał z troską w głosie. Nawet nie przypuszczał, że jego struny głosowe potrafią jeszcze wydawać taki ton.

– Tak. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Trochę boli mnie głowa. Ale możemy jechać.

Nie ruszyła się jednak z miejsca. Uśmiech znikł, a w oczach pojawiły się łzy. Płakała, kryjąc twarz między kolanami. Michał kucnął przy niej i mocno ją przytulił. Jej ciałem wstrząsał szloch.

– No hej, nie płacz. Znajdziemy go – wyszeptał.

– Skąd wiesz? – załkała i pociągnęła nosem.

– Bo wiem. Adam nam pomoże. A ja zrobię wszystko, żebyś znów mogła być z tatą. Nawet nie wiesz jak bardzo... – Głos mu się załamał i uwiązał w gardle. – Znajdziemy go. A teraz wstawaj.

Podniósł się i pociągnął Lenę za ramiona. Wstała, ocierając oczy. Wysunęła się z jego objęcia jakby nieco zawstydzona i niezdarnie wpakowała się na tył samochodu.

– Gotowe? – rzucił Michał w stronę Adama.

– Tak, możemy jechać.

Adam przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik znów zabulgotał i warknął, sygnalizując gotowość do jazdy. Michał wskoczył na siedzenie obok kierowcy i ruszyli. Okazało się, że Adam miał rację. Kiedy tylko opuścili gruntowe drogi ciągnące się między wzgórzami, pod kołami pojawił się asfalt, a po chwili dostrzegli znaki i tablice informacyjne, stojące niewzruszenie od czasu apokalipsy. Adam od razu zorientował się w położeniu i obrał azymut na Fort Oaza.

Kiedy mijali niewielką chatkę stojącą tuż przy poboczu drogi, Michał doznał *déjà vu*. Mógłby przysiąc, że już jechał tą drogą i widział ten sam, teraz ponury i pogrążony w ruinie, domek, którego upływ czasu nie mógł bardziej doświadczyć. Skądś go znał, tylko skąd? I wtedy sobie przypomniał. Poczł bolesne ukłucie w głowie. Przycisnął palcami miejsce nad lewą skronią. To były ich ostatnie wspólne wakacje. Miał tydzień wolnego, Aga też załatwiła sobie w pracy kilka dni urlopu i wyjechali z Mają w Bieszczady. Ten spontaniczny wypad sprawił Maję w większy zachwył niż wcześniejsze wycieczki na Rodos, Gran Canarię czy Cypr. Nigdy wcześniej i nigdy później nie była tak roześmiana, jak wtedy, gdy – przy wydatnej pomocy Agi – wrzuciła go do Jeziora Solińskiego. Aga zresztą też uśmieła się za wszystkie czasy. Tylko on nie do końca złapał żart.

Popatrzył na Lenę. Maja byłaby mniej więcej w jej wieku, gdyby... Poczł chyba jego wzrok, bo spojrzała na niego. W jej oczach tliła się wciąż dziecięca niewinność, ale tłumil ją smutek dorosłości, w którą nagle została wrzucona. Zawsze obawiał się tego momentu, kiedy dostrzeże coś podobnego w spojrzeniu Mai – rozczarowanie światem i ludźmi, wszystkim, w czym pokładamy nadzieje, które okazują się płonne. Jak na potwierdzenie jego myśli, Lena obdarzyła go smutnym uśmiechem. Był jak zapowiedź nadchodzącego szybkimi krokami końca lata i kolejnego schyłku roku.

Uśmiechnął się lekko, by zamaskować zakłopotanie i powiódł wzrokiem po wzgórzach mających na horyzoncie. Lena mówiła o apokalipsie, ale tu nie było jej widać. Natura trwała niewzruszona. Być może miasta leżały w ruinie, ale tu, z dala od nich, wszystko było tak jak dawniej. Przyroda żyła własnym rytmem. Drzewa zakołysały się łagodnie pod wpływem powiewu wiatru, którego brakowało już od dłuższego czasu. Dla niego, jak się okazało, był to wiatr wspomnień. Przymknął oczy, a przed nimi znów pojawiła się roześmiana buzia Mai...

Z oddali dostrzegł wysoki mur okalający skryte za nim budynki. System umocnień i zapór odcinał się od okolicy i dominował nad nią. Przed fortem stała stróżówka z dwoma wartownikami, choć tych zauważył, dopiero gdy podjechali bliżej. Lufy ich karabinów wymierzone były w jepea. Adam odruchowo zwolnił, a potem zatrzymał pojazd kilkadziesiąt metrów przez stróżówką i wyłączył silnik.

– Mamy kłopoty? – zapytał cicho Michał, chwytając za nóż, lecz Adam nakrył jego dłoń swoją ręką.

– Spokojnie...

– Nie wpuszczamy nikogo! Zawracajcie i próbujcie szczęścia gdzie indziej! – zawołał jeden z wartowników.

– Przyjechałem się spotkać z Juliuszem Rycińskim! – odkrzyknął Adam.
– Przekażcie mu, że jest tutaj Adam Kowalski.

Strażnik popatrzył na kolegę, wymieniając z nim porozumiewawczy uśmiech.

– Na pewno będzie wiedział, o kogo chodzi? – zapytał rozbawiony.

– Na pewno – powiedział stanowczo Adam.

– Dobra, zaczekajcie chwilę! – rzucił, znikając w stróżówce. Drugi z wartowników trzymał ich na muszce. Po chwili tamten wrócił, powiedział coś do kolegi, ten zaś opuścił broń i wycofał się do stróżówki.

– Okay, możecie jechać! – Strażnik machnął ręką i w tym momencie usłyszeli szcęk otwierającej się bramy.

Jeep powoli wtoczył się na plac, a brama natychmiast się zatrzasnęła. Wzdłuż długiej ulicy biegnącej w głąb osiedla ciągnęły się trzypiętrowe czarno-białe apartamentowce o spadzistych dachach. Przed częścią z nich pod czujnym okiem mam bawiły się dzieci. Wśród nich od czasu do czasu pojawiali się uzbrojeni mężczyźni, najczęściej dwójkami.

Po kilkuset metrach dojechali do czegoś na kształt rynku. Stało tam kilka budynków, w których mieściły się sklepy, warsztaty i jadłodajnie.

Jeep zahamował pod jedną z nowo wybudowanych kamienic, znacząco się różniących od reszty zabudowań Fortu Oaza. Zanim wybrzmiał pisk hamulców, całkiem znikąd wyłonił się mężczyzna z imponującymi, długimi dreadami i zadbanym zarostem, co w połączeniu z ciemną karnacją i dużymi okrągłymi lenonkami sprawiało, że wyglądał jak duch jamajskiego muzyka, który z niewiadomych przyczyn straszy na dawnym rzeszowskim osiedlu. Na Adamie jego widok nie zrobił wrażenia, czego nie można było powiedzieć o Michale i Lenie.

– Sieeeemaaa, ziooom! – zawołał z dziwnym akcentem, w którym mieszało się typowe dla Wschodu zaciąganie z przedłużaniem na karaibską modłę samogłosek. Mężczyzna uderzył prawą, zaciśniętą w pięść dłoń w lewą pierś, po czym uniósł otwartą już dłoń w geście pozdrowienia.

– Cześć, Juliusz! – Adam uniósł się z fotela kierowcy i nad głową Michała ścisnął mocno dłoń mężczyzny. – Dobrze, że jesteś!

– Co to za ziomki? – zapytał Juliusz. Pociągnął skręta tkwiącego w jego lewej dłoni i uśmiechnął się od ucha do ucha. Owionęła ich lekko mdła i słodkawa, ale przyjemna ziołowa woń.

– To dłuższa historia... – odparł Adam, wychodząc z samochodu. Michał i Lena także wysiedli. – Swoją drogą wpakowałeś mnie w niezłe gówno z tym transportem...

– Ej, ej! Chciałeś zarobić, to dostałeś dobrze płatną robotę! – oburzył się Juliusz.

– Ale nie wspomniałeś, że w okolicy panoszą się Pantery... Mogłem tam zginać, a niedługo na świat przyjdzie moje dziecko! – powiedział Adam z wyrzutem. Chciał coś dodać, ale Michał chwycił go za nadgarstek.

– Może potem o tym porozmawiacie? – zaproponował łagodnie. – Jesteśmy tutaj przejazdem. I mamy...

–...i mamy nadzieję, że nam pomożesz po starej znajomości... – Adam odzyskał rezon. – Mogę na ciebie liczyć?

– Adaś, ile to my się znamy? Zawsze możesz na mnie liczyć, ale wszystko zależy od tego, o co chodzi, ziooom – powiedział Juliusz, wypuszczając z ust kolejny obłok białego dymu.

– Szukamy kogoś. Ale może pogadamy o tym w środku? – Adam wskazał na budynek, w którym stołowało się kilka osób.

– Spoko, włączcie. Ja stawiam! Panie przodem! – Wyszczrzył zęby i przepuścił Lenę przodem drzwiami, patrząc za nią przez swoje kolorowe lenonki.

Przekręcił kluczyk w kłódce i otworzył ją. Wziął głęboki wdech. Uchylił ciężką, drewnianą klapę dodatkowo obitą metalem i, oświetlając sobie drogę latarką, ostrożnie zszedł po stopniach. W środku przywitał go przyjemny chłód i odrzucający odór. Gdy był w połowie schodów, usłyszał pojedyncze jęknięcie. Zatrzymał się. Zatrzasnął za sobą klapę. Z ciemności dobiegł kolejny jęk, a zaraz potem zawtórował mu następny.

Światło latarki wyłowiło z mroku belki tworzące ściany ziemianki. Wisiały na nich skórzane torby, metalowe manierki i duże zdjęcie w drewnianej ramce, z którego uśmiechały się cztery osoby w strojach kąpielowych – trzech mężczyzn i jedna kobieta. Następnie w kręgu światła pojawiły się konserwy, hermetyczne słoiki, kilka butelek, duże ocynkowane wiadro i stolik, na którym leżała rozłożona mapa. Obok niej wały się jakieś szmaty.

Trzymająca latarkę dłoń zastygła, jakby za stolikiem czało się coś, co nie powinno zostać oświetlone. Aż się wzdrygnął, gdy kilkusekundową ciszę znów przerwało głośnie stęknienie. Zawtórowały mu kolejne głosy, zawodząc i ujadając. Światło latarki zadrżało, bo zadygotała jego ręka i całe ciało. Przymknął oczy i wziął kolejny wdech. Jego nozdrza poraził intensywny smród rozkładu. Padł na kolana, chwycił obiema rękami ocynkowane wiadro i zaczął rzygać w rytm nasilających się jęków.

Po chwili wstał i zwrócił światło latarki na przeciwległą ścianę. Półtora metra od niego, zakute w kajdany, przytwierdzone do grubych belek, wiły się trzy żywe trupy. Podszedł bliżej niepewnym krokiem i zajrzał w ich puste oczy. Jeden z nich, który za życia był kobietą, spróbował go ugryźć, ale w porę powstrzymały go pęta na szyi.

– Spokojnie, matuszka – powiedział czule, ujmując dłoń żywego trupa.
– Spokojnie. To przecież ja... – szepnął, ale umarłak ani myślał się uspokajać, kłapiąc kilkanaście centymetrów od jego twarzy szczęką. Dołączyły do niego kolejne. – Znów chcecie gryźć... – rzucił pogardliwie. – Nie poznajecie mnie? – Cofnął się o krok. Patrzył to na jednego, to na drugiego, to na trzeciego. – Ale już niedługo. Obiecuję, że wkrótce wszystko wróci do normy. – Ujął ponownie dłoń jednego z umarłaków, tym razem tego, który w przeszłości był mężczyzną. – Obiecuję ci, Dymitri. Znów będziesz... – Jego głos zadrżał. – Znów będziesz normalny! – dokończył z trudem, patrząc w martwe oczy przed sobą. – Słyszycie? Wszyscy znów będziecie normalni... – Odpowiedziała mu seria nieludzkich jęknięć. I głośnie, intensywne walenie w klapę.

– Aleks? Jesteś tam?

To była Patrycja!

– Chwila! – wrzasnął, chwytając leżące na stole szmaty. Rozdarł je i umiejętnie wypchał nimi kłapiące szczęki. – Kocham was! Już niedługo znów będziemy razem – szepnął na pożegnanie i wbiegł po stopniach, wyłączając po drodze latarkę.

Odepchnął mocno klapę prowadzącą do ziemianki i wyskoczył na zewnątrz.

– Co jest?! Wiesz, że lubię tu być sam... – warknął.

– Wiem, Aleks. Przepraszam – wysapała skruszona. – Ale...

– Co?! Mów! – Jego głos brzmiał na tyle groźnie, że Patrycja nieznacznie się odsunęła.

– Ktoś porwał dziewczynę...

Bała się mu spojrzeć w oczy, bo to ona dowodziła pod jego nieobecność.

– Patrycja... – Zapowietrzył się, jakby brakło mu słów, a potem wydarł się na całe gardło: – Ja pierdołę! Czy was nie można zostawić nawet na moment? Wiesz, jak ona była dla nas ważna?!

– No właśnie tego nie wiem, Aleks... I w tym problem! – Jeśli chodzi o wydzieranie się, nie ustępowała swemu dowódcy i byłemu kochankowi nawet o krok.

– Bo nie musisz tego wiedzieć!

Naprężyła ciało, jakby szykowała się do natarcia. Podniosła rękę i zacisnęła ją w pięść. Chciała go uderzyć, niczego nie pragnęła bardziej, ale zamiast tego cofnęła się o krok i rozluźniła.

– Co się z nami stało, Aleks? – zapytała z rezygnacją. – Tylko to mi wytłumacz, reszty nie muszę wiedzieć.

– Patrycja, proszę cię, nie zaczynaj...

– To ty to zacząłeś tym swoim dziwnym zachowaniem! – przerwała mu.

– To nie ja ciebie zostawiłam i to nie ja mam wiecznie sekrety! Coś ukrywasz, nie tylko przede mną, ale też przed Mausem i całą resztą. Przed kierownictwem pewnie też. Cały ty! – prychnęła. – Ale nie zawsze taki byłeś. Ja pamiętam innego Aleksa...

– A ja pamiętam inny świat...

– Oj, błagam! Tylko nie wyskakuj z takimi tekstami! Oni zginęli, pogódź się z tym i żyj dalej! Przez to straciłeś już mnie, a wczoraj Weronikę. Ale

dalej zachowujesz się, jakby cię to w ogóle nie obchodziło! Jakbyś sam chciał umrzeć!

Spojrzał na nią i pierwszy raz, odkąd stracił rodzinę, dostrzegła w jego oczach łzy. Przygryzał wargę nerwowo.

– Nigdy się z tym nie pogodzę... Słyszysz? Nigdy! – wrzasnął.

Podeszła do niego i wtuliła się w jego pierś. Ramiona Aleksa odruchowo ją objęły.

– Nie chcia... – zanim zdążyła dokończyć, ich usta się spotkały. Popchnął ją na klapę prowadzącą do ziemianki i pocałował namiętnie.



To było małe, pięćdziesięciometrowe mieszkanie. Z przedpokoju wszedł od razu do salonu, którego centralne miejsce zajmował duży telewizor ciekłokrystaliczny. Uznałby go za relikwiarz przeszłości, gdyby nie kable łączące go z przenośnym komputerem leżącym na podłodze. Poza nim pokój wypełniał obity skórą zestaw wypoczynkowy, mały stolik oraz kredens. W każde wolne miejsce wciśnięte były zdjęcia – zarówno rodzinne, na kilku rozpoznał dziewczynę, która otworzyła mu drzwi, jak i pojedyncze portrety, głównie jej rodziców. Na fotografiach była jeszcze nastolatka. Teraz z tamtą radosną i uśmiechniętą dziewczyną łączyły ją tylko rysy twarzy, kolor oczu i włosów.

Z półki nad telewizorem zdjął połyskującą na złoto metalową ramkę. Z oprawionego w nią zdjęcia patrzył z niego szeroko uśmiechnięty mężczyzna w średnim wieku, w białej koszuli, czarnej marynarce i złotym krawacie przypiętym do koszuli spinką. Na jego nadgarstku błyszczał elegancki zegarek, który wyglądał na Rolex.

– To właśnie mój tata – powiedziała cicho dziewczyna, stając w drzwiach salonu.

– Jan Barowski? – Spojrzył na nią przez ramię. Przytaknęła. – A ty masz na imię Agata, tak? – zapytał.

Skinęła głową.

Odstawił fotografię i wolnym krokiem przechadzał się po mieszkaniu, przyglądając się kolejnym zdjęciom mężczyzny.

– Napije się pan czegoś? – zapytała dziewczyna, przerywając krępującą ciszę.

– Nie, dziękuję. – Uśmiechnął się, ale czuł, że pod maską jej oficjalnej uprzejmości kryje się wrogość. Rozbiegany wzrok dziewczyny i pojawiające się chwilami drżenie kącików ust zdradzały zdenerwowanie.

– Albo... jeśli to nie problem, poproszę o szklankę wody.

Z ulgą odwróciła się na pięcie i znikła za ścianą, a on powrócił do studiowania zdjęć. Na kolejnym Jan Barowski siedział w restauracji z siwowłosym mężczyzną przed czterdziestką. Obaj trzymali w dłoniach lampki czerwonego wina, obejmowali się przyjacielsko i uśmiechali do obiektywu. Z drugiego planu spoglądała na nich kobieta o długich kruczoczarnych włosach, a obok niej siedziały dwie dziewczynki – Agata i trochę od niej młodsza naburmuszona pannica.

Z zamyślenia wyrwało go ciche stuknięcie szklanki o drewniany blat stolika. Odwrócił się, a dziewczyna postawiła na blacie drugą szklankę, wyprostowała się szybko i odruchowo cofnęła o krok.

– Kim jest mężczyzna obok twojego taty? – zapytał, wskazując na fotografię.

– To mój wujek. Jakub Moryc – odparła niepewnie. – A dlaczego pan pyta?

– Jakub Moryc. Ciekawe... – Odstawił fotografię na miejsce. – Dobrze się znali?

– Tak, Jakub był moim ojcem chrzestnym. W dzieciństwie bawiłam się z Leną, jego córką. Była kilka lat młodsza ode mnie... Pan go zna?

– Tak jakby.

Usiadł na kanapie i sięgnął po szklankę. Ruchem ręki wskazał Agacie miejsce naprzeciwko siebie. Po chwili wahania usiadła ze złączonymi nogami i dłońmi na udach. Unikała jego wzroku.

– A czy twój tata znał Grzegorza Nowickiego? Kojarzysz kogoś takiego? Oczy dziewczyny na moment skierowały się w prawo, po czym wróciły do poprzedniej pozycji.

– Nie. Chyba nie. A kto to?

– Znalazłem u niego w gabinecie książkę z dedykacją od twojego taty. To była *Księga nieskończoności*...

– Ale przecież tata podarował ją Jakubowi! – zawołała. – Jakub pracował wtedy nad jakimś przełomowym projektem, który miał zmienić świat. Pamiętam, jak tata pisał tę dedykację. Był taki przejęty... – Zawiesiła głos. – Jakub zresztą zawsze pracował nad czymś rewolucyjnym. Przynajmniej tak mówił tata, kiedy jeszcze się przyjaźnili.

– A przestali?

– Tak. Tata zerwał z nim kontakty, ale nie chciał o tym mówić.

– Wiesz, czym się wtedy zajmował Jakub Moryc? – Pociągnął łyk wody i skrzywił się. Nie był przyzwyczajony do takiego smaku przeźroczystych napojów.

– Tylko częściowo...

– To znaczy? – Odstawił szklanę i pochylił się w jej stronę, ona zaś wcisnęła się głębiej w fotel.

– To był jakiś wspólny projekt Jakuba i mojego taty – powiedziała cicho. – Tata wciąż do tego powracał po wybuchu apokalipsy i w kółko opowiadał mi tę historię. Mówił, że chce ją komuś przekazać i że ma tylko mnie... Moja mama zmarła przy porodzie... – Spojrzała na niego z wyrzutem, jak na kogoś, kto nachalnymi pytaniami sprawia ból. Zrobiła to bezwiednie, ale Wiktor poczuł się jak nieproszony gość, który włazi zabłoconymi buciorami do dopiero co wysprzątanego na błysk mieszkania. – Kiedy tata mówił mi o tym wszystkim – podjęła po chwili – nie czuł się już najlepiej...

Wiktor popatrzył na nią z zaciekawieniem.

– Był chory?

– Zwariował... – powiedziała przez zaciśnięte zęby. W jej oczach pojawiły się łzy. Oddychała szybko. – Pod koniec nie był już sobą, coś się porobiło z jego mózgiem. Ale nie chcę o tym rozmawiać, zresztą ciocia mi zabroniła.

Widać było, że przed każdym kolejnym słowem stacza walkę z samą sobą i że mówienie o tym wszystkim sprawia jej fizyczny ból. Przesiadł się z kanapy na fotel obok niej i łagodnie ujął jej dłoń. Dziewczyna ani drgnęła.

– Słuchaj, wiem, że to może być dla ciebie bardzo trudne... – zaczął najspokojniejszym głosem, jaki potrafił z siebie wydobyć – ...ale prowadzę śledztwo, a jeden z tropów wiąże się z twoim tatą i Jakubem Morycem. To dla mnie bardzo ważne. Myślę, że mogłabyś mi pomóc w rozwikłaniu pewnej zagadki. Pomożesz?

Spojrzał jej w oczy z nieznacznym uśmiechem. Odwzajemniła spojrzenie i skinęła głową.

– Czy twój tata też był lekarzem?

– Ależ skąd... – odparła zdziwiona. – Pracował w funduszu inwestycyjnym.

– Funduszu inwestycyjnym? – powtórzył, sądząc, że się przesłyszał.

– Tak, był świetnym inwestorem. Kiedy ciocia wspomina o tym, co robił, aż świecą jej się oczy. To niesamowite... – Przełknęła ślinę.

– A od kiedy współpracował z Jakubem?

– Nie pamiętam dokładnie. Byłam jeszcze mała i dopiero teraz kojarzę pewne fakty. – Zastanowiła się. – To mogło być około 2010 roku... Zaczęło się od współpracy Jakuba z jakimś amerykańskim uniwersytetem. Prowadzili tam badania nad nowym lekiem, a mój tata miał zainwestować w ten projekt.

– Wiesz, jaki to był lek?

Agata wzruszyła ramionami. Przymknęła na chwilę oczy.

– Nie pamiętam. Tata chyba raz wymienił jego nazwę, ale to było dwa lata temu. Zapomniałam... – Umilkła na moment. – Ale wiem, jakie miał

działanie... – dodała nieśmiało. Ruchem dłoni zachęcił ją, by kontynuowała.
– Firma Jakuba współpracowała z rządem amerykańskim i Unią Europejską. Przygotowywała dla nich lek, choć tata czasem mówił, że to była szczepionka...

– Szczepionka na co? – Wiktor nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– Na smutek. Tata mówił, że to miał być lek szczęścia... Podawano go głównie imigrantom, którzy przybywali na Zachód i nie potrafili się odnaleźć w nowych realiach. Lek miał sprzyjać ich asymilacji, poprawiać samopoczucie i dodawać energii do pracy.

– Tak właśnie mówił? – zapytał, chcąc się upewnić, czy dziewczyna czegoś nie przekręciła. Sięgnął po szklanę, bo choć mówiła głównie dziewczyna, zaschło mu w gardle.

– Tak.

– Mówił coś jeszcze na ten temat?

– Wiele rzeczy, ale one zabrzmiały już zupełnie niedorzecznie...

– Po tym, co ostatnio widziałem i słyszałem, nic mnie już nie zdziwi...

– Mówił sporo o kryzysie w 2007 roku. Nie wiem, czy pan wie, o co wtedy chodziło. – Popatrzyła na niego pytająco, choć bez większej nadziei na to, że ma na ten temat jakąkolwiek wiedzę.

– Jak wszyscy. Zapaść na rynku nieruchomości... – odparł wymijająco.

Kiwnęła głową bez przekonania.

– Według mojego taty chodziło o coś zupełnie innego. Podobno wszystko związane było z testami pierwszej generacji leku, w które potem zainwestował. Lek podawany był na całym świecie imigrantom, którzy mieli zamieszkać w nowo budowanych osiedlach przeznaczonych specjalnie dla nich. Preparat sprawiał, że szybko adaptowali się do nowych warunków i okazywali się świetnymi pracownikami...

– Nie rozumiem, jaki to ma związek z kryzysem ekonomicznym.

– Według mojego taty to nie był kryzys ekonomiczny, tylko społeczny, a on znał się na tym jak mało kto. Problem pojawił się w 2007 roku, kiedy odkryto efekty uboczne szczepionki czy raczej tego leku. Ludzie przyjmujący go zaczęli popadać w apatię, byli rozdrażnieni, atakowali najbliższych i sąsiadów. W dodatku przestali przychodzić do pracy. Inwestorzy i współpracujące z nimi rządy natychmiast wstrzymały budowy osiedli. Mało brakowało, by na tym wszystkim ucierpiał również fundusz mojego taty, choć on dowiedział się o tym dopiero tuż przed apokalipsą. To właśnie wtedy przestał się przyjaźnić z Jakubem – mówiła coraz szybciej, jakby próbowała wyrzucić z siebie coś, czym od dawna nie mogła się z nikim podzielić, jakby zrzucała z siebie niewyobrażalny ciężar.

– Kryzys wziął się stąd, że te osiedla były globalnym pomysłem realizowanym przez najpotężniejsze światowe gospodarki. Wspólnym projektem Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Francji i krajów skandynawskich. Nadal można znaleźć na ten temat sporo informacji w internecie, jeśli pan chce, możemy tam później zajrzeć – dodała niepewnie, a Wiktor tylko skinął głową, nie chcąc jej przerywać.

– W ramach tego projektu w każdym z tych państw rządy utworzyły specjalne agencje, a właściwie państwowe przedsiębiorstwa, które były bezpośrednimi gwarantami kredytów pod budowę osiedli. I według mojego taty wszystko poszłoby dobrze, gdyby banki nie zwietrzyły interesu i nie wymyśliły, jak można na tych kredytach zarobić górę pieniędzy. Zaczęły celowo zaniżać ceny tak zwanych śmieciowych akcji. Tata mówił, że wtedy ich nazwę tłumaczono tym, że ich wartość była zerowa, bo sprzedawano w nich śmieci, czyli zadłużenie. Ale prawda była zupełnie inna i wyszła na jaw na krótko przed apokalipsą. Wcale nie chodziło o to zadłużenie! Nazwa wzięła się od tajnego projektu, głównie ze względu na użycie nielegalnego jeszcze wtedy leku, budowy wspomnianych osiedli, które nazywane były „śmieciowymi”, bo mieli mieszkać imigranci, czyli... śmiecie. Tak określali ich twórcy projektu. Ale gdy przedsięwzięcie upadło,

wiele banków i funduszy inwestycyjnych niemal zbankrutowało i zaczął się kryzys. Gdyby nie pomoc rządu amerykańskiego, który ponoć wyłożył trudne do wyobrażenia środki na opanowanie globalnego kryzysu, nie wiadomo, czym by to się skończyło. Może mielibyśmy zupełnie inną apokalipsę... Dlatego też nikt nie chciał ujawnić prawdziwych przyczyn kryzysu. Wprawdzie chodziło o rynek nieruchomości, ale nie w takim aspekcie, w jakim to przedstawiono.

Wzięła oddech i napiła się wody. Wiktor dwa lub trzy razy próbował coś powiedzieć, ale nie wiedział, od czego zacząć.

– Przepraszam, mówię jak mój tata – dodała po chwili dziewczyna – jakbym sama zajmowała się na co dzień ekonomią. Ale słyszałam tę historię dziesiątki razy i nie potrafię jej opowiedzieć innymi słowami...

– Czyli chodziło o imigrantów? – zapytał w końcu. – To ciekawe, bo pamiętam, że krótko po kryzysie nagle stali się realnym zagrożeniem dla wielu krajów. Wcześniej było o tym zastanawiająco cicho jak na skalę problemu...

– Byłam za mała, żeby się tym interesować, ale tata właśnie tak to przedstawiał. Od tego zaczęła się jego współpraca z Jakubem. Pojawiły się duże pieniądze na walkę z problemem imigrantów. Firma Jakuba miała znaleźć rozwiązanie, a mój tata miał zarobić na tym miliony...

– Ale coś poszło nie tak?

– Właśnie... – Wbiła wzrok w podłogę. – Ktoś sprzedał lek mafii i to podobno ona doprowadziła do... – Oblizwała nerwowo wargi. – Do apokalipsy – dokończyła.

Wiktor zmarszczył brwi. Musiał się napić. Choćby wody. Ten człowiek rzeczywiście musiał być szalony. I pomyśleć, że nawet był skłonny uwierzyć w tę historię z osiedlami dla imigrantów... To chyba jednak ślepy zaułek – pomyślał, patrząc ze współczuciem na dziewczynę. Ta pod wpływem jego spojrzenia odwróciła gwałtownie głowę i odruchowo poprawiła zawiązaną na szyi apaszkę, która lekko się zsunęła. Choć zrobiła

to błyskawicznie, Wiktor zdążył dostrzec kątem oka czerwony zarys i charakterystyczny kształt. Pracując w sekcji bezpieczeństwa, widział dziesiątki, a nawet setki podobnych śladów. O pomyłce nie mogło być mowy. To były ślady ugryzienia!

Zakrztusił się wodą, która wypłynęła mu nosem. Szybko otarł go dłonią. Wpatrywał się w szyję dziewczyny, jakby z nadzieją, że jego przekrwione od kaszlu oczy zdołają przeświecić czarną apaszkę i raz jeszcze zobaczyć bliznę. Czuł się jak archeolog, który odkrył skamieliny nieznanego świata gatunku. Jak pierwszy człowiek, który natrafił na szkielet dinozaura. Choć w tym przypadku miał do czynienia nie z wymarłym gatunkiem, lecz pierwszym przedstawicielem gatunku, który najwyraźniej oparł się żywej śmierci. Rozległa rana była już zablizniona, co oznaczało, że ugryzienie nastąpiło kilka miesięcy temu...

– Jakim cudem? – wybełkotał zdezorientowany. Czy to możliwe, że po apokalipsie na tym świecie nadal działały się rzeczy, które nawet filozofom się nie śniły? Może te afrykańskie upały rzeczywiście były zapowiedzią nadzwyczajnych dziwów?

Dziewczyna była przerażona. Wiktor odkrył jej sekret, którego nikt nie miał prawa poznać. Wyglądała tak, jakby zaraz miała rzucić się do ucieczki, ale z jakiegoś powodu siedziała jak przyspawana do fotela. Chciał coś powiedzieć, gdy ostry szcęk klucza w zamku niczym topór przeciął nić porozumienia, jaka zawiązywała się między nimi. Wiktor dostrzegł to w oczach Agaty, ale nie było już odwrotu. Żałował, bo to mogła być nić, dzięki której udałoby się mu wyjść z labiryntu zawilego śledztwa.

Zanim zdążył cokolwiek zrobić, dziewczyna wybiegła z salonu, kurczowo przytrzymując apaszkę ręką. Z przedpokoju dobiegł go znany mu już kobiecy głos:

– Co się stało, Agatko?

Wstał z fotela i w tym momencie do salonu wkroczyła właścicielka głosu. Jej oczy się rozszerzyły, aż się zagotowała na jego widok. Uniósł ręce

do góry w geście, który miał ją uspokoić, lecz najwyraźniej na nią nie podziałał. Szybkim ruchem wyciągnęła z torebki rewolwer.

– Wynoś się! Ale już! – rzuciła krótko.

– Proszę mnie posłuchać... – zaczął, ale kobieta odbezpieczyła kurek.

Ręce Wiktora nie potrzebowały kolejnych zachęt i powędrowały wyżej. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jest jeden typ ludzi, z którym nie ma szans na negocjacje: kobieta, na skraju szaleństwa. Zwłaszcza gdy to szaleństwo wynika z troski o najbliższych.

– Tylko spokojnie! Proszę opuścić broń! Wychodzę!

Wciąż w niego celując, przesunęła się, robiąc mu miejsce w drzwiach. Powoli, unikając zbędnych ruchów, które mogłyby sprowokować przypadkowy strzał, przeszedł przez przedpokój. Gdy tylko przekroczył próg, drzwi zatrzasnęły się za nim z głośnym hukiem.

Nie było chwili do stracenia. Wybiegł na ulicę i obrał kurs na gabinet Andrzeja. Potrzebował wsparcia, by wejść do tego mieszkania, nie narażając na niebezpieczeństwo ani siebie, ani jego mieszkankę. Potrzebował grupy szturmowej, a tę mógł mu dać tylko Andrzej.

Drogę do gabinetu pokonał biegiem, prawdopodobnie pobijając życiowy rekord, zarówno jeśli chodzi o dystans, jak i prędkość. Kiedy w końcu się zatrzymał, jego mięśnie nie omieszkały mu boleśnie napomknąć, że wiek na maratony ma już za sobą.

Mijając recepcję, zarejestrował kątem oka, że nie ma Natalii, która zwykle trwała na posterunku, decydując, kto może, a kto nie może dostąpić zaszczytu spotkania z przewodniczącym Fortu Wilno. Tym lepiej, pomyślał. Natalia znała go doskonale i zawsze zatrzymywała na małą pogawędkę, ale teraz nie miał na to ani ochoty, ani czasu. Pobiegł prosto do szefa. Wciąż jeszcze dysząc po wysiłku, zapukał do drzwi i wszedł do środka.

– Słuchaj, mam pilną sprawę... – rzucił bez powitania.

Andrzej siedział w swoim fotelu odwrócony przodem do okna. Nie zareagował. Fatalnie znosił upały, a kiedy nie najlepiej się czuł, wszystkich łącznie z Wiktorem, miał w dupie. Wiktor podszedł do niego i oparł dłonie na oparciu za jego plecami.

– Andrzej! Ja nie żar... – urwał, odwróciwszy fotel.

Andrzej patrzył na niego pustymi oczami. Z dziury pośrodku jego czoła spływała strużka krwi.



Deszcz lał się strumieniami, jakby całe miasto leżało u podnóża monstrualnego wodospadu, którego szczyt skrywał się wysoko pośród chmur. Wielkie krople spadające z tłustych czarnych chmur niemal ocierających się o dachy kamienic przy rynku Fortu Oaza, waliły monotonnym rytmem o blaszany parapet.

Ulewa znacznie ochłodziła powietrze, nie mogła jednak pomóc rozgorączkowanej ostatnimi zdarzeniami Lenie. Jej wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. Czuła, jak mózg przegrzewa się od nadmiaru myśli, obrazów i tych wszystkich pesymistycznych „co będzie, jeśli?...

Mimo natłoku myśli, pytań i wątpliwości czas dłużył się jej niemiłosiernie, jakby coś zakłóciło jego naturalny upływ. Nie miała nawet zegarka, na którym mogłaby śledzić bezmyślnie wlokące się po tarczy wskazówki. Była już zmęczona czekaniem. Od zawsze na coś czekała.

Kiedy była bardzo mała, wyczekiwała każdego kolejnego wieczoru i tej chwili, gdy zakradała się do łóżka rodziców, by zasnąć wtulona między nich. Później nie mogła się doczekać na ich powroty z konferencyjnych wyjazdów, bo z każdego przywozili jej niezwykle pamiątki i zabawki, których potem zazdrościli jej wszyscy w klasie. Po pewnym czasie prezenty przestały ją cieszyć – czekała na powrót mamy i taty z konferencji, zjazdów i sympozjów, na ich obecność, na te kilka dni spędzone z nimi. Gdy kończyła szkołę podstawową, jej życie zaczęły odmierzać kłótnie

z rodzicami. Cierpliwie niczym snajper wyczekiwała na każdą okazję, by wystrzelić w ich stronę oskarżycielski pocisk: wytknąć każde niedociągnięcie, każde słowo i gest, a właściwie ich brak, i ciągłą nieobecność rodziców, zarówno fizyczną, jak i mentalną. Zawsze byli gdzieś daleko, najczęściej w pracy, myśląc o wielkich sprawach tego świata, a nie o małej dziewczynce. Coraz częściej spędzała czas poza domem, znikając z niego na coraz to dłużej, w nadziei że ktoś wreszcie jej tego zabroni. Niestety, nie doczekała się.

Zbuntowana, niezrozumiana i odrzucona, marzyła o końcu świata, a właściwie jego absolutnej anihilacji, choć w tamtym czasie nie używała tego słowa. Dopiero po ataku żywych trupów, gdy je usłyszała, uznała, że oddaje najlepiej to, co odczuwała tuż przed apokalipsą. Pragnęła anihilacji otaczającej ją rzeczywistości. Nie myślała o zwichu cywilizacji rodem z filmów katastroficznych, o jej powolnym konaniu – wołała dematerializację, natychmiastowe odwrócenie wszystkiego w niebyt.

Koniec świata nastąpił szybciej i w całkiem inny sposób, niż sobie wyobrażała. Po apokalipsie jedynym, na co czekała, była okazja, by przeprosić rodziców, powiedzieć im, jak bardzo jest jej przykro. Kiedy jednak zobaczyła mamę, a właściwie to, w co się przemieniła...

Zaczęła czekać na śmierć. Ale ta nie nadchodziła. Pojawił się za to Kult Brata Ezechiela i jego nauka. Zaczęła żyć perspektywą przemiany – czekała na zbawienie i osiągnięcie nieśmiertelności. To był jej ostateczny cel i prawie go zdobyła... I wtedy na jej drodze stanął Michał. Przez niego zabiła niemartwego i wszystko się skomplikowało. W obozie Panter przeszła jej przez głowę myśl, że nie istnieje już nic, czego by pragnęła. Ale życie nie lubi pustki. Pomyślała o Michale. Chciała go jeszcze raz zobaczyć. Ale kiedy zobaczyła go przy wejściu do namiotu, w którym ją uwięziono, czekała już na coś zupełnie innego. Na to, co zdawało się już utracone na zawsze. Czekwała na spotkanie z ojcem.

Oczekiwanie na Juliusza, który miał zdobyć o nim informacje, ciągnęło się w nieskończoność. Miarowe kapanie deszczu niczym sekundnik odmierzało kolejne sekundy, minuty i godziny...

Wyrwała się z błędnego kręgu myśli i popatrzyła na Michała. Drzemał, siedząc na podłodze oparty plecami o ścianę. Jego dłoń spoczywała na rękojeści noża. Już dawno zauważyła, że walczy z sennością, ale mimo heroiczych prób jego oczy wciąż bezwiednie się zamykały, a głowa powoli opadała w dół, by nagle powrócić do pierwotnej pozycji – jakby zamiast kręgów szyjnych miał wszczepioną sprężynę. Adam siedział w fotelu naprzeciwko niej. Miał zamknięte oczy i miarowy oddech, ale co chwila poruszał się niespokojnie.

Wystarczyło ciche pukanie do drzwi, by obaj mężczyźni zerwali się na równe nogi. Przez chwilę, dosłownie ułamek sekundy, sprawiali wrażenie zaskoczonych tym, gdzie się znajdują.

Drzwi uchylły się i do środka wkroczył Juliusz z uśmiechem na ustach i tacą w dłoniach. Stały na niej trzy porcelanowe filiżanki wypełnione smolistym napojem. Nad tacą unosiła się lekka mgiełka pary.

– Siema... – zaczął z typowym zaśpiewem. – Mam dla was trochę informacji, ale pomyślałem, że lepiej je przyswoicie po mocnej kawie. A nikt nie robi takiej kawy jak pani Bożena.

Błysnął uśmiechem, odsłaniając mocne białe zęby i ustawił tacę na małym stoliku pośrodku pokoju. Michała i Adama nie trzeba było namawiać. Byli jak muchy ciągnące do lepu. Już pierwszy łyk gorącej kawy dodał im energii. Lena nie ruszyła się z miejsca, wpatrując się w napięciu w otoczoną dredami twarz.

– Wiesz, gdzie jest mój tata? – zapytała cicho.

Juliusz kiwnął głową i raz jeszcze zaprezentował swoje imponujące uzębienie.

– Ale to nie jedyna rzecz, jakiej się dowiedziałem...

Podszedł powoli do Leny i stanął przy oknie, tuż za nią. Michał i Adam spojrzeli w jego stronę, ale zanim zdążyli zrobić cokolwiek, błyskawicznym ruchem przyciągnął do siebie głowę Leny, wyciągając zza pleców pistolet i delikatnie wbijając koniec lufy w jej skroń.

– Stary, no co ty... – wymamrotał Adam.

– Zamknij się! – warknął Juliusz. – Odstawcie powoli filiżanki na stół. A ty – zwrócił się do Michała – rzuć nóż na ziemię i kopnij go w moją stronę! No już!

W milczeniu spełnili jego żądania.

– Ale... dlaczego? – zapytał bezradnie Adam.

– Dlaczego... dlaczego... – Juliusz pokręcił z niedowierzaniem głową. – Adasiu, wiesz, że zawsze byłem twoim przyjacielem, ale w pierwszej kolejności jestem jednak człowiekiem interesów. Biznesmenem na miarę naszych czasów, zupełnie jak ty. Oczywiście popytałem o tego waszego Jakuba Moryca i dowiedziałem się coś niecoś, zarówno o nim, jak i jego córce, Lenie... – Zwrócił jej twarz w swoją stronę. – I właśnie osoba naszej uroczej Leny niezwykle mnie zafrapowała. Z pewnością się domyślacie, że szukają jej Pantery, ale nigdy nie zgadniecie, co za nią oferują.

– Juliusz, daj spokój... – powiedział Adam, robiąc krok do przodu.

– Cofnij się! – rozkazał Juliusz, kierując na moment lufę w jego stronę. – Cofnij się, jeśli chcesz doczekać narodzin tego swojego bachora!

Adam wrócił na swoje miejsce.

– Czego chcesz?! – warknął Michał, patrząc z nienawiścią na uzbrojonego mężczyznę. – Mów! Zrobię wszystko, tylko nie skrzywdź jej!

Juliusz roześmiał się perliście.

– Doceniam twoje poświęcenie, ziooom, ale to na nic. Jeśli Pantery chcą dziewczyny, to ją dostaną. Muszę mieć z nimi dobre relacje, a taka przysługa obiecuje bardzo owocną współpracę. Fuzja na miarę połączenia Apple'a z Microsoftem!

Juliusz znów odwrócił głowę Leny tak, że mogła spojrzeć mu w oczy.

– Bez urazy, mała, to tylko biznes. Łapiesz? – zapytał pogodnie. W odpowiedzi otrzymał pocisk śliny. Otarł twarz lewą dłonią. – Rozumiem, ciężko się z tym pogodzić... Ale jest i dobra wiadomość! Pantery szukają też twojego ojca, więc może się zobaczycie za ich pośrednictwem. Choć niczego nie obiecuję – puścił do Leny oko.

– Ty gnoju... – wycodził przez zęby Michał i rzucił się na Juliusza. Ten jednak wyrobionym ruchem wymierzył w jego lewą rękę i nacisnął spust. Michała odrzuciło do tyłu. Runął plecami na podłogę.

Lena krzyknęła, próbując się wyrwać z uścisku mężczyzny, ale ten tylko mocniej przyciągnął ją do siebie. W tym samym momencie w ich stronę skoczył Adam. Chwycił broń i chciał ją wyrwać z ręki Juliusza, gdy pistolet wypalił. Ciało stłumiło huk wystrzału. Pocisk przeszył klatkę piersiową, Adam zacharczał i spojrzał szeroko otwartymi oczami najpierw na Juliusza, a potem na Lenę. Odkasznął, a z jego ust wytrysnęła czerwona fontanna. W kącikach bulgotała różowawa piana. Rzęząc, próbował złapać oddech. Jego oczy zasnuła gęsta mgła i upadł na posadzkę tuż obok Michała.

Ten jednak, mimo rwącego bólu w lewym ramieniu, wykorzystał chwilę zamieszania, by sięgnąć po nóż leżący przy lewej stopie Juliusza. Chwycił go końcówkami palców, przyciągnął do siebie i z całej siły wbił ostrze w stopę, nieco powyżej palców. Mężczyzna wrzasnął, niemal wypuszczając pistolet z dłoni. Michał wyjął nóż, by zadać jeszcze jeden cios, gdy Juliusz wycelował w jego głowę. Zanim jednak zdążył wystrzelić, Lena wbiła zęby głęboko w nadgarstek dłoni ściskającej broń. Mężczyzna znów ryknął z bólu. Zdążył nacisnąć spust, ale pistolet wystrzelił w nieokreślonym kierunku i z głuchym łoskotem uderzył o podłogę. Lena wyrwała się z uchwytu i błyskawicznie go podniosła. W tym czasie ostrze noża Michała ponownie zatopiło się w stopie Juliusza. Ten cofnął się i osunął na ścianę.

Lena, ściskając oburącz broń, odwróciła się i wycelowwała w niego. Pistolet latał w jej rozdygotanych dłoniach, ale palec od razu skierował się na spust.

– Nie strzelaj! – syknął Michał. Wyciągnął nóż ze stopy Juliusza i wstał z trudem.

Zza drzwi dobiegał stukot ciężkich butów o posadzkę. Michał przyciągnął do siebie sparaliżowanego bólem mężczyznę i przyłożył mu ostrze do gardła. Ruchem głowy przywołał Lenę. Usłyszeli potężne kopnięcie w drzwi. Otworzyły się z impetem, niczym wahadłowe drzwi do westernowego saloonu, zatańczyły na zawiasach, walnęły o ścianę i odbiły od niej. W połowie drogi na swoje miejsce zatrzymał je mężczyzna z karabinem w ręku. Zza jego pleców do pokoju wbiegło kolejnych dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Wszyscy z pistoletami automatycznymi wycelowanymi teraz w Michała i Lenę, a właściwie Juliusza, który stanowił ich żywą tarczę.

– Rzućcie broń albo go zabiję! – zagroził Michał, przyciskając ostrze do jego szyi.

Nikt nawet nie drgnął. Mierzyli się nawzajem spojrzeniami i nie tylko, bowiem Lena odruchowo skierowała lufę pistoletu w ich stronę. W pokoju zapadła pełna napięcia cisza, zakłócana jedynie pojękiwaniem Juliusza i ciężkim oddechem Michała.

– Nie żartuję... – Michał przerwał milczenie, nacinając lekko skórę na gardle swego zakładnika. Krew ześlizgnęła się ze spoconej i drżącej ze strachu szyi niczym szkarłatna łza bezsilności. – Rzućcie to!

– No dalej, kurwa! Na co czekacie! – zawył Juliusz.

Stojąca przy drzwiach grupa popatrzyła po sobie. Mężczyzna z karabinem skinął głową i powoli opuścił broń, a następnie odłożył ją na podłogę. Pozostali zrobili to samo. Podnieśli ręce w górę.

Lena przypadła do Adama. Uniosła jego powieki i zajrzała w nieruchome oczy. Lewą dłonią ujęła jego bezwładną dłoń.

– Adam! – zawołała bezsilnie. – Adam, nie umieraj!

Ale było już za późno. Wybuchła płaczem, przytulając twarz do jego piersi. Michał spojrział na nią ze smutkiem, ale natychmiast przeniósł wzrok na grupkę przy drzwiach.

– Kopnijcie to w moją stronę! – rozkazał, wskazując na broń. Posłusznie wykonali jego polecenie.

Na zewnątrz, gdzieś w oddali, rozległ się strzał. Potem kolejny. Zawtórowała mu seria z ciężkiego karabinu. Ścianami budynku, w którym się znajdowali, wstrząsnął ryk syreny alarmowej.

Wgryzła się w jego ramię, tłumiąc krzyk rozkoszy. Zatopiła zęby w jego skórze niemal do krwi, ale on nawet nie drgnął. Opadła na niego. Jęknął cicho i zamarł. Teraz poruszała się tylko jego masywna klatka piersiowa – oddychał szybko i głęboko. Przystawiła ucho do miejsca, w którym znajdowało się jego serce i nasłuchiwała, jak bije niczym uroczyście dzwoniący na mszę albo ślub. Za każdym razem, kiedy dostawała od Aleksa szansę, by złowić uchem ten dźwięk – a ostatnia okazja zdarzyła się bardzo dawno temu – czuła dreszcze na całym ciele. Teraz było podobnie. Z zamkniętymi oczami wsłuchiwała się w jego przyspieszony, ale równy rytm. Czuła, jak ich ciała stają się jednością. Przez chwilę nawet jego serce zaczęło nadawać puls jej ciału i zapomniała, że jest sobą, że żyje własnym życiem. Wszystko wydawało się nierealne. Do pełni szczęścia brakowało jej jedynie papierosa.

To krótkotrwałe doświadczenie z pogranicza nirwany i narkotycznego snu na jawie przerwał chrzęst suchych liści. Ona wprawdzie ani myślała się ruszyć, Aleks jednak wręcz przeciwnie. Po chwili usłyszeli wołanie Mause:

– Aleks! Patrycja! Gdzie jesteście?!

Aleks poderwał się jak oparzony. Bez słowa wciągnął na siebie bokserki i bojówki, a następnie obcisną koszulkę na ramiączkach eksponującą imponujące mięśnie klatki piersiowej, barków, bicepsa i tricepsa. Ona, wciąż odurzona niespodziewanym i intensywnym seksem, polegiwała

wśród wysokich traw, nie mogąc oderwać wzroku od wyrzeźbionej sylwetki kochanka. Wystarczyło jednak jedno jego spojrzenie, by jak zahipnotyzowana wstała i zaczęła się ubierać. Mechanicznymi ruchami włożyła na siebie wszystko, co Aleks zdarł z niej kilkadziesiąt minut temu. Myślami wciąż jeszcze zatopiona była w jego ramionach i ustach.

– Tu jesteście... – wysapał zdyszany Maus.

– Co jest? – odparł niemniej zdyszany Aleks, wciągając na siebie kurtkę.

Maus spojrział na niego podejrzliwie, potem przeniósł wzrok na Patrycję. Uśmiechnęła się nieznacznie, siadając na okutej drewnianej klapie prowadzącej do ziemianki Aleksa. Odchyliła się, opierając ciało na wyprostowanych za plecami rękach, i odetchnęła.

– Czy wy... – Wystarczył rzut oka na Aleksa i na nią, by Maus stał się ucieleśnieniem ciekawości. Wydawało się, że jeśli nie dokończy tego pytania i nie otrzyma na nie odpowiedzi, może umrzeć.

– Maus, o co chodzi? – powtórzył rzeczowym głosem Aleks.

Patrycja uśmiechnęła się mimowolnie. Maus przygryzł wargę, jak miał to w zwyczaju. Widać było po nim, że wskazówka na tablicy rozdzielczej jego fantazji sięga czerwonych pól oznaczających pracę na najwyższych obrotach. Wpatrywał się w nią tak, że nie mogła nie wiedzieć, o czym teraz myśli...

– Maus! – Ton Aleksa sprawił, że Maus aż podskoczył.

– Tak, jasne – wymamrotał. Sprawiał wrażenie, jakby widok jej i Aleksa zupełnie zbił go z tropu i zapomniał, z czym tu przyszedł. – Nigdzie was nie było po ataku. Bałem się, że coś wam się stało.

– I słusznie, bo prawie umarliśmy z... – szepnęła, wchodząc mu w słowo.

Aleks odwrócił się i zgromił ją wzrokiem, zanim skończyła zdanie. Uśmiechnęła się.

Maus zaczekał, aż Aleks znów na niego spojrzy.

– No, ale jest jeszcze coś... – zaczął tajemniczo.

– Namierzyliście ich? – zapytał Aleks.

– Nie. Jeszcze nie...

– Dobra, teraz to nieważne. Najważniejsze, że nagraliśmy tę małą. Teraz tylko...

– Właśnie w tej sprawie was szukam! – przerwał mu podekscytowany. – Jakub Moryc się odezwał!

– Trzeba było od razu mówić! – zawołał Aleks z wyrzutem, ale ton jego głosu zdradzał to szczególne ożywienie.

Stwierdziła ze smutkiem, że ten odcień podniecenia nigdy nie pojawił się podczas ich licznych zbliżeń – zarówno szybkich numerków, jak i długich namiętnych seansów. Pod wpływem słów Mausego ciało Aleksa napięło się i usztywniło jakby... Cholera, wszystko jej się kojarzyło!

– W takim razie trzeba wracać do obozu! Patrycja, idziesz?

Rzucił jej krótkie spojrzenie i już był gotowy do marszu. Podniosła się z ociąganiem, odpychając się od klapy, i poszła za nimi.

Aleks parł do przodu jak taran, miażdżąc pod stopami liście, gałęzie i wysoką trawę, wśród której jeszcze niedawno leżeli. Dogoniła go po kilku krokach.

– Powiesz mi w końcu, o co chodzi z tym facetem? Dlaczego jest taki ważny?

– Prowadził badania nad lekiem, który może cofnąć skutki ugryzienia umarłaków – odpowiedział, nie zatrzymując się. Wpatrywał się w jakiś nieokreślony punkt przed sobą.

– C...co? – zająknęła się. – Lek, który cofa chorobę?!

– Dokładnie. Dlatego musimy go zdobyć!

– Ale... skąd ty o tym wszystkim wiesz? – Jego podniecenie zaczęło się jej udzielać.

– Kilka miesięcy temu Piter wpadł na ślad badań Moryca. To był totalny strzał w ciemno, ale podjęliśmy go z kierownictwem. Niestety, Moryc zapadł się pod ziemię. Dopiero dwa tygodnie temu Piter namierzył

niedaleko Fortu Wilno niejakiego Grzegorza Nowickiego, który dawniej blisko współpracował z Morycem. Złożyliśmy mu niezapowiedzianą wizytę... – Odruchowo wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Początkowo nie chciał nam pomóc, ale udało nam się go jakoś przekonać. Powiedział nam coś niecoś o Morycu, jego rodzinie, a zwłaszcza córce. Dał nam też adres mejlowy, z którego miał korzystać Moryc. I jak się okazuje, nadal korzysta...

– A co zrobiliście z Nowickim?

– Nic. On też pracował nad lekiem, ale przez przypadek opracował inną, bardzo interesującą nas rzecz, po którą niebawem się zgłosimy.

– Co?! – zapytała. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby wchłonąć te wszystkie informacje i ułożyć w logicznym porządku.

– Związek, który w postaci mgiełki wodnej może działać jak gaz bojowy uśmiercający umarłaków! – Nie ukrywał radości, jaką budziła w nim perspektywa użycia tego rodzaju środka. – Patrycja, zapamiętaj moje słowa: świat pełen umarłaków to już przeszłość. To będzie znów nasz świat! – Niespodziewanie nachylił się w jej stronę i wpił się jej usta.



Darek wyrósł jak z podziemi.

– O żesz kurwa... – mruknął, na widok okrągłej wyrwy w czole Strzeleckiego, z której wciąż sączyła się krew. Krawędzie krateru po metalowym meteorycie okrywającym ołowiany rdzeń były przypalone. Wzdłuż wgłębienia ciągnął się ślad czegoś, co najprawdopodobniej było zarysem lufy broni, a więc ostatniej rzeczy, jaka stanęła przed oczami Andrzeja w chwili śmierci.

– Co ty tutaj robisz? – Wiktor popatrzył podejrzliwie na Darka.

– Strzelecki mnie wezwał. Mówił, że to pilne, ale miałem jeszcze coś do załatwienia – odparł, obchodząc fotel, na którym spoczywało nieruchome ciało eksprzewodniczącego Fortu Wilno. Poruszał się szybko. Jego ciało było nadmiernie pobudzone, miał przyspieszony oddech i co chwilę wbijał w Wiktora swoje oczy z rozszerzonymi źrenicami. Darek zawsze był narwańcem i mało kto potrafił rozróżnić, czy jest na dragach, czy nie. Ale Wiktor wiedział, że jego przyjaciel zaczął dzień od metamfetaminy Wenera. Cieszył się jedynie, że w przeciwieństwie do innych biorących, Darek nie miał ciągot do nadmiernej gadatliwości. – A ty?

– Też chciał się ze mną zobaczyć... – Zamyślił się. Wiedział o tym, odkąd zobaczył dziurę po kuli, ale dopiero teraz wypowiedział to na głos. – To ma związek z moim śledztwem.

– Jak to? – Darek popatrzył na niego zdezorientowany. – Skąd ten pomysł?

– Nieważne, słuchaj! – Czuł, że nie ma chwili do stracenia, a także, że poza Darkiem nie może nikomu zaufać. – Jeśli dobrali się do niego, dobiorą się też do nas. Kapujesz?

Darek skinął głową.

– Muszę cię prosić o pomoc. Są dwie rzeczy, które chciałbym, żebyś dla mnie natychmiast zrobił. Mogę na ciebie liczyć?

– A niby na kogo innego?

Darek nie mówił tego z ironią czy dla efektu. Powiedział to szczerze i prostolinijnie, jak to miał w zwyczaju po metaamfetaminie, bo taka też była prawda – teraz Wiktor mógł liczyć tylko na niego. Ewentualnie na Darię. Ale to dopiero za chwilę.

– W pierwszej kolejności zajmij się moją rodziną. Przenieś Hanię i dzieci w bezpieczne miejsce.

– Robi się. Alenę też? – Spojrzał niepewnie na Wiktora.

– Nie. Jest w kwarantannie. Tam nic jej nie grozi. Ale jest jeszcze coś. Wyślij grupę uderzeniową pod ten adres – wyjął wymiętą karteczkę i podał ją Darkowi. – Znajdziecie tam dwie kobiety. Za wszelką cenę zatrzymajcie dziewczynę, która tam mieszka, i ukryjcie ją tak samo dobrze jak moją rodzinę. Tylko uważajcie. Starsza z kobiet jest uzbrojona i niebezpieczna.

– Rozumiem. Załatwione.

To najbardziej imponowało mu w Darku – nie trzeba było powtarzać dwa razy i wszystko zawsze było „załatwione” jak należy. Miał nadzieję, że jego obecny stan tego nie utrudni i w tym przypadku będzie tak jak zwykle.

– Ja tymczasem lecę do Darii – powiedział, cały czas maglując w myślach sytuację, w której się znaleźli. – Muszę ją ostrzec, ale liczę też na jakieś nowe informacje.

– Spotkamy się u niej?

Skinął głową. Darek odpowiedział mu podobnym ruchem i szybkim krokiem wyszedł z gabinetu Strzeleckiego. Zanim Wiktor zrobił to samo, z pewnym ociąganiem podszedł do Andrzeja i zamknął mu powieki. Oczy, w których mierzący tuż nad nimi pistolet zapisał wyraz czystego przerażenia nieuniknioną śmiercią, zamknęły się po raz ostatni.

W drodze do laboratorium dopadło go złe przeczucie. Niestety, całkowicie uzasadnione, co potwierdziły wyłamane drzwi do prosektorium i sprzęty walające się po podłodze. Daria należała do osób, które w pierwszej kolejności dbały o czystość miejsca pracy i warunki sanitarne – zresztą w przypadku jej zajęcia to była absolutna podstawa. Patrząc na rozbite szkiełka, kolby i pipety, pomyślał, że ten widok rozdarłby jej serce. Podobnie jak zniszczone mikroskopy i urządzenia, o których przeznaczeniu i działaniu nie miał pojęcia. Leżały roztrzaskane na posadzce, zrzucone przez jakąś huraganową siłę, która wpadła tu po Darię, a raczej po informacje, jakie udało się jej zdobyć.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że zniknęły również ciała Pawła i Gawła. Metalowe łóżka na kółkach, na których jeszcze kilkadziesiąt minut temu spoczywały, zdradzały pośpiech, z jakim działali sprawcy – jedno było przewrócone, drugie ustawione pod dziwnym kątem. Podszedł do biurka z komputerem. Ekran był pęknięty, a jeden z jego kantów pomazany był krwią.

– Czyli dorwali ją... – szepnął z niedowierzaniem i pokręcił głową.

Jego palce zacisnęły się w pięść. Ręka zaczęła się trząść jak w konwulsjach. Uniósł ją, by z całej siły walnąć w biurko, gdy...

– Kogo dorwali? – zaświergotał ktoś za jego plecami, tonem absolutnie nieadekwatnym do okoliczności.

Wzdrygnął się, jakby zobaczył ducha albo dotknęła go sama śmierć. Spojrzał niepewnie przez ramię. To nie był ani duch, ani śmierć. To była Daria. Cała i zdrowa. I jak zwykle uśmiechnięta.

– Szukali tego – Pomachała mu zeszytem trzymanym w prawej dłoni.

Nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Miał mętlik w głowie. Myślał, że już po niej, a tego by nie zniósł. Śmierć Andrzeja go zabolala, ale gdyby coś się stało Darii... Nie chciał o tym myśleć. Odetchnął ciężko i w końcu wykrztusił z ulgą:

– Jakim cudem?

– Powiem ci, Wiktorze, że jak na człowieka niewierzącego, kierującego się zdrowym rozsądkiem i zasadami logiki, zadziwiająco często używasz słów i sformułowań, które według mnie kłócą się z tą postawą. Nie żebym...

– Daria, jakim cudem? – powtórzył raz jeszcze, opadając ciężko na fotel. Te dwa dni to było za dużo nawet dla niego.

– Wiktorze, kobiety potrafią ukryć nie tylko zmarszczki, ale także siebie same przed wzrokiem natrętnych mężczyzn! – Uśmiechnęła się zalotnie. – Poza tym wiesz, że wszystkich rozpoznaję po krokach. Nie masz pojęcia, ile można z nich wyczytać, jeśli oczywiście zna się ich gramatykę... – Spojrzała na Wiktora i zamilkła, widząc, że nie jest w nastroju na jej wywody. Ona zresztą też nie była, ale w ten sposób radziła sobie ze stresem. Gadając jak najęta i żartując sobie, często w tak wysublimowany sposób, że część słabiej rozwiniętych osobników mogła uznać te dowcipy za prostackie, zagadywała kwestie trudne do natychmiastowego zrozumienia i zyskiwała dystans do rzeczywistości. Teraz właśnie tego potrzebowała. Przecież o mały włos nie zginęła! Ale nie mogła też przesadzać, tym bardziej że Wiktor nie był miłośnikiem jej metod zabijania stresu. – Już z daleka, po krokach słyszałam, co się szykuje, dlatego ukryłam się w moim tajnym schowku razem z zeszytem. Bo najlepiej jest mieć wszystko na papierze – wyjaśniła, stukając palcem w twardą okładkę. – Już myślałam, że...

Nie mogła patrzeć, jak Wiktor pęka. To zupełnie do niego nie pasowało i nie chciała zobaczyć najmniejszej rysy na jego wizerunku wiecznie wstawionego macho. Potrafiła znieść wiele: widok zmasakrowanych i powykręcanych po śmierci zwłok, najgorszy smród rozkładającego się

i gnijącego ciała, odgłos przecinania ludzkich kości piłą, nieprzyjemną w dotyku miękkość wnętrzości i tkanek. Tylko jednego nie mogła zdzierżyć: męskich łez. To był dla niej oksymoron. Facet, który płacze, dla niej nie był facetem. A Wiktor był już najprawdopodobniej jednym z ostatnich przedstawicieli tego wymierającego gatunku i wołałaby, żeby tak pozostało. Poza tym Wiktor był jedyną osobą, z którą w innych okolicznościach chciałyby związać swoje życie...

– ...że co? Że zrobiłam tę demolkę, bo się wkurzyłam na brak postępów w naszym śledztwie? Ach, Wiktorze, nie jestem aż tak porywcza. – Uśmiechnęła się łagodnie i tym razem odpowiedział jej nieznaczny uśmiech przyjaciela.

– Andrzej Strzelecki nie żyje... – mruknął ponuro, wstając z fotela.

– Zabili go? – zapytała tonem, w którym nie usłyszała specjalnego zdziwienia. No cóż, pomyślał, zważywszy na stan, w jakim znajduje się laboratorium... To oczywiście, że najpierw przyszli do niego, a potem do niej. – Wysłałam mu raport dotyczący postępów w śledztwie. Wiesz, wspomniałam o Nowickim, Morycu i tej broni masowego rażenia, o której mi mówiłeś.

– O Barowskim też? – Spojrzał na nią z nadzieją, ale znał odpowiedź. W przypadku Darii było jasne jak słońce, że każdy jej raport znamionowała najwyższej próby skrupulatność i dokładność.

– Oczywiście, przecież on również pojawił się w śledztwie! – odparła urażonym tonem, ale w tej samej chwili zrozumiała, że to nie był zarzut, lecz przykład myślenia życzeniowego. Wiktor rozpaczliwie pragnął, by raport zawierał luki. – Dlaczego pytasz o Barowskiego? – spytała.

– Bo pewnie teraz są u niego. A właściwie u jego córki i siostry.

– A nie powinni? – zapytała podejrzliwie.

– Poszedłem pod adres, który mi dałaś, i spotkałem tam jego córkę... – zawiesił głos.

– I?

– Cholera, Daria, ona miała ślady ugryzienia na ciele. – Popatrzył na nią z obłędem w oczach, co zupełnie do niego nie pasowało. – Sądząc po bliźnie, rana musiała powstać kilka miesięcy temu, a dziewczynie nic nie było!

Spodziewał się, że oczy Darii rozszerzą się i wyskoczą z orbit, a szczeka opadnie do podłogi, zupełnie jak w kreskówkach, które parę lat temu oglądał z dziećmi w telewizji. Ale nic takiego się nie stało. Zamiast zachowania typowego dla kojota albo szalonego kota uganiającego się za myszą, Daria zaprezentowała wdzięk rudej wersji uroczego kanarka Tweety. Zamrugła oczami i pokiwała głową. Brakowało jej jedynie malutkich skrzydełek, choć gdy tak stała w tym swoim białym kitlu, miała w sobie coś z anioła. Tego rodzaju myśli oznaczały, że Wiktor spędzał ostatnio z Darią zbyt wiele czasu, co mogło się dla niego skończyć jakąś formą szaleństwa.

– To całkiem możliwe, Wiktorze. Nie miałam okazji powiedzieć ci, że tuż przed tym najściem – posmutniała i powiodła wzrokiem po zniszczonych sprzętach laboratoryjnych – odezwał się do mnie Patric i przekazał mi, co znalazł na naszej przenośnej pamięci.

– Mówisz, jakby było tam coś, co mogłoby wytłumaczyć to ugryzienie...

Daria miała rację. Ostatnie wydarzenia były na tyle niesamowite, że podkopały jego wiarę w siłę zdrowego rozsądku. No właśnie, wiarę! Znów to zrobił. Kiedy apaszka dziewczyny zsunęła się, odsłaniając bliznę, przez ułamek sekundy miał wrażenie, że to nie zwykła chustka, lecz całun turyński na miarę ich czasów – coś, co skrywa prawdziwy cud, dowód zwycięstwa człowieka nad żywą śmiercią. Oczywiście zaraz potem przyszło z pomocą porównanie archeologiczne, to z dinozaurami, niemniej w pierwszej chwili pomyślał o cudzie. Może jednak było jakieś naukowe wytłumaczenie?

Daria uśmiechnęła się, wyczuwając, z jakimi myślami Wiktor toczy walkę.

– Wiem, nad czym pracował Grzegorz Nowicki... – Daria była mistrzynią suspensów, ale teraz nie było na to czasu.

– Daria... – mruknął zniecierpliwiony.

– No dobra, już mówię – westchnęła zrezygnowana, otwierając zeszyt. – Na flashce znajdowało się kilka folderów, w tym ten pod nazwą *Projekt Murti Bang*. To było tajne przedsięwzięcie, które LiveMore Corp. realizowało wspólnie z NASA, Pentagonem, CIA i wybranymi naukowcami z całego świata, w tym z Izraela i Chin. Projektem kierował Jakub Moryc.

– Moryc?! – niemal wykrzyknął. Od rozmowy z Agatą Barowską intuicja podpowiadała mu, że to właśnie Jakub Moryc jest najważniejszą figurą na szachownicy tego śledztwa.

– Dokładnie tak – przytaknęła dla formalności. – Projekt został powołany do życia w celu zbadania możliwości wykorzystania telomerazy dla potrzeb wojska i był częścią większego przedsięwzięcia badawczego sięgającego czasów jeszcze przed drugą wojną światową. Najkrócej rzecz ujmując, chodziło o sposoby farmakologicznej manipulacji świadomością żołnierzy. Ale to długi temat i tylko przewinął się w aktach *Murti Bang*. – Rzuciła krótkie spojrzenie znad zeszytu, po czym wróciła do notatek. – Właściwości telomerazy znano wprawdzie od dawna, ale problemem była produkcja odpowiedniej ilości enzymów do badań. Na początku z pomocą przyszedł chrząszcz trojszyk gryzący... Mam nadzieję, że nie przekreśliłam nazwy, bo sprawdzałam ją w ostatnim momencie, zanim tu wpadli, a teraz już nie skorzystam z komputera... – Obdarzyła kolejnym smutnym spojrzeniem przestrzelony kilkoma nabojami komputer stacjonarny ze znaczkiem nadgryzionego jabłka na obudowie.

– Jak zwykle nic z tego nie rozumiem... – westchnął Wiktor.

– Spokojnie, daj mi chwilę. Potem do akcji włączyła się NASA, ale jej rola w tym projekcie była opisana dość enigmatycznie, więc nie mogę na ten temat powiedzieć za wiele... – Wiktor znów chciał coś powiedzieć, ale nie dała mu dojść do głosu. – W każdym razie... – Odchrząknęła. –

W każdym razie całość zmierzała do opracowania specjalnego środka wspomagającego żołnierzy w walce. Miał maksymalizować ich zdolności bojowe oraz czynić ich de facto niezniszczalnymi. Tak, tak, wiem jak to brzmi. Ten środek roboczo ochrzczony został Murti Bang.

– I co? Udało im się skończyć prace nad nim?

– Oczywiście! Początkowe rezultaty były niesamowite! Wiesz, Wiktorze, chcę żebyś to zrozumiał: można powiedzieć, że telomeraza odmładza komórki w nieskończoność, organizm jest więc wiecznie młody i znacznie szybciej się regeneruje. Żołnierze, którzy brali udział w testach Murti Bang, odczuwali zwiększenie siły i wydolności. To zresztą potwierdzały bardzo dokładne badania. Środek zwiększał ich witalność. Co ciekawe, ten zastrzyk energii powodował totalną euforię, która doprowadzała biorących udział w testach do czegoś w rodzaju utraty świadomości i poddania się instynktownemu działaniu na polu walki, a to dodatkowo zwiększało ich skuteczność bojową.

– Niesamowite... – wykrztusił Wiktor. – Kiedyś poznałem byłego agenta CIA, który przy wódce wspominał o programie psychicznego sterowania żołnierzami w armii amerykańskiej, przeprowadzanym na początku lat dziewięćdziesiątych. Wtedy uznałem, że to albo wariat, albo bazarz, który sprzedaje wymyśloną na poczekaniu bajeczkę naiwnemu Polaczkowi wierzącemu we wszystko, co powie amerykański sojusznik. Ale może jednak było w tym więcej prawdy niż we wszystkich pozostałych teoriach spiskowych...

– Problem w tym, że środek nigdy nie został wprowadzony w wojsku na szeroką skalę – przerwała mu Daria.

– Dlaczego?

– Jak sam powiedziałeś, armia była zainteresowana kontrolowaniem podwładnych. Powtórzę: kon-tro-lo-wa-niem. A Murti Bang sprawiał, że żołnierze lecieli na instynktownym haju, że się tak wyrażę. Nie kontrolowało ich nic i nikt poza ich naturalnymi instynktami. A poza tym...

– Przerwała na moment i popatrzyła na niego wzrokiem, który wyrażał: Przygotuj się na sensację. – Okazało się, że po przedawkowaniu leku kilka osób zmarło, ale ich organizmy były tak napędzone działaniem telomerazy, że powstałi z martwych i zaatakowali opiekujących się nimi sanitariuszy.

– Czyli ojciec Agaty miał rację... – wyszeptał.

– Miał rację à propos?... – zaciekawiła się Daria.

– Że to od badań Moryca zaczęła się apokalipsa.

– Nie ma jednoznacznych dowodów, ale wszystko na to wskazuje. W każdym razie po kilku przypadkach zmartwychwstań wśród żołnierzy testy przerwano. Projekt Murti Bang nadal realizowano, z tym że całkowicie nieoficjalnie i na własną rękę.

– A kto to finansował? I czym się potem zajmowali? – zapytał Wiktor, marszcząc czoło.

– Oto jest pytanie! – zawołała Daria. – Jedno jest pewne, projekt poszedł w nieco inną stronę, kiedy do LiveMore Corp. dołączył Nowicki. To onkolog. Był zainteresowany stworzeniem środka antyrakotwórczego, o działaniu przeciwnym do tego, jakie powodował Murti Bang, ale który również bazował na telomerazie.

– Zaczekaj! Czyli to miało jakiś związek z Gawłem... czy Pawłem... Wybacz, już nie pamiętam, który był który?

– Wybaczam, Wiktorze, i masz rację: miało! Ojciec Nowickiego cierpiał na złośliwego chłoniaka z przerzutami. Paskudna sprawa. Nowicki dowiedział się o badaniach Livemore Corp. nad telomerazą i wkrótce dołączył do zespołu Moryca. Wiesz, ta sama telomeraza, która odmładzała komórki żołnierzy, kontroluje także ewolucję różnych postaci raka i jest charakterystyczna dla komórek nowotworowych u ludzi. Gdyby zablokować jej działanie, zamieniłoby się nieśmiertelne komórki w zwykłe i można byłoby uleczyć każdy rodzaj nowotworu. Taki był zamysł Nowickiego.

– A wykonanie?

– Prace Nowickiego przerwała apokalipsa. Podjął je wprawdzie później i osiągnął połowiczny sukces. To jego związek stosowany jest w owej broni masowego rażenia na żywe trupy, o której wspominałeś. Rozpylany w postaci mgielki wodnej, przenika do organizmów umarłaków i blokuje działanie telomerazy, a co za tym idzie, ostatecznie ich uśmierca. To potworna śmierć. W sumie już nie wiem, co jest gorsze... – westchnęła ponuro.

– No dobra, ale nadal nie wyjaśniłaś mi, jaki to wszystko ma związek ze śladami na szyi Agaty Barowskiej – stwierdził. Podniósł przewrócony skórzany fotel na kółkach, ustawił na dawnym miejscu i rozsiadł się wygodnie. – Wiesz coś na ten temat?

– Tak. Specjalnie zostawiłam to na koniec. – Zawahała się i posłała dolną wargę. Obserwował u niej wiele zachowań, ale to pojawiło się po raz pierwszy i musiało zwiastować absolutną bombę.

– Nie powiesz mi chyba, że znaleźli lek na to cholerstwo! Że to się da leczyć!

– Nie wiem, czy da się to leczyć, ale... – Kolejny suspens, tym razem jednak chyba niezamierzony. Tak czy inaczej, po raz pierwszy, odkąd ją poznał, zaczęła mu działać na nerwy. A może to był po prostu stres? – ... na pewno można temu zapobiec.

– Zapobiec? – Mina Wiktora zdradzała, że w jego głowie rodzą się wątpliwości.

– Szczepionka – powiedziała krótko, jakby to miało zmniejszyć ewentualny szok. – Moryc wykorzystał badania Nowickiego i na ich bazie przygotował szczepionkę, która blokuje degenerację nieśmiertelnych komórek zmodyfikowanych działaniem Murti Bang.

– Myślisz, że Agata Barowska została zaszczepiona i dlatego ugryzienie umarłaka nie zamieniło ją w żywego trupa?! – zapytał sceptycznie.

– A widzisz inną możliwość? Bo ja nie. – Popatrzyła mu prosto w oczy i kontynuowała spokojnie: – Ta szczepionka jest moderatorem. Trochę jak

w reaktorach jądrowych. Wiesz, zawsze pasjonowała mnie fizyka jądrowa... – Pokręciła głową z niedowierzaniem, karcąc się w myślach, i wróciła do przerwanej wątku. – To taka jakby mocniejsza wersja trytu albo prętów grafitowych w reaktorze, w którym odpowiedzialne są one za wychwytywanie neutronów i kontrolę gwałtownej reakcji rozszczepienia. Tutaj szczepionka dostarcza moderatora, który nadzoruje aktywność telomerazy, a właściwie tłumia ją, zanim wpłynie na zdrowe komórki ludzkie.

– I mówisz to z takim spokojem?! – zawołał wzburzony. – Przecież ta szczepionka może uratować życie milionów ludzi, którym zagrażają umarłaki!

– Wiktorze... – wtrąciła cicho, ale zignorował to.

– Musimy coś z tym zrobić! Natych...

– Wiktorze! – Tym razem jej głos zabrzmiał na tyle kategorycznie, że Wiktor zamilkł. – Jest tylko jeden problem.

– Jaki?

– Moryc usunął wyniki swoich eksperymentów z archiwum projektu i mamy tylko to, co przetrwało w notatkach Nowickiego, który próbował odtworzyć szczepionkę. Z jego zapisków wynika, że Moryc przygotował ograniczoną liczbę środka zapobiegającego przemianie w żywego trupa i zniknął zaraz po wybuchu apokalipsy.

Daria chciała jeszcze coś powiedzieć, gdy działająca część drzwi do laboratorium otworzyła się z głośnym skrzypnięciem zawiasów i do środka wkroczył Darek.

– Załatwione? – rzucił Wiktor w jego stronę.

– No właśnie, stary, jest taka sprawa... – zaczął Darek, zerkając niepewnie na Wiktora.

– No mówże! – Wiktor podniósł głos, spodziewając się najgorszego. Po śmierci Strzeleckiego wszystko mogło się zdarzyć. Skoro ktoś dotarł do Andrzeja i Darii, równie dobrze mógł wiedzieć, że to Wiktor prowadzi

śledztwo i że rodzina jest jego słabym punktem. W duchu zaczął się modlić, aby nic jej się nie stało, ale teraz nic już nie zależało od niego.

– Spokojnie, ukryłem Hanię i dzieci – powiedział Darek – ale...

– Ale co?!

– Hania chce ci coś powiedzieć i musi się z tobą jak najszybciej zobaczyć. Zagroziła, że jeśli natychmiast tam się nie zjawisz, odejdzie – wypalił Darek.

– Odejdzie? Nic nie rozumiem... – Wiktor oparł się o ścianę i poluzował krawat. Hania była histeryczką, ale nigdy nie groziła, że go zostawi. – O czym ty mówisz?!

– Stary, nie wiem, o co jej chodzi... Dopytywała mnie, czemu muszę ich przenieść i czy to ma coś wspólnego z tą sprawą...

– Co jej powiedziałaś?! – zapytał z obawą Wiktor.

– Sam wiesz, jaka jest Hania... Jest gorsza od wykrywacza kłamstw. W końcu wydusiła ze mnie, że Strzelecki nie żyje i wtedy zażądała, że chce cię natychmiast widzieć... – Darek wydawał się zakłopotany całą sytuacją, co zresztą zupełnie do niego nie pasowało i tylko wzmagало poczucie dyskomfortu, jakie Wiktor odczuwał w tym momencie – Podobno próbowała z tobą o tym porozmawiać od kilku dni, ale w głowie miałaś tylko tę sprawę...

– Kiedyś zwariuję przez tę kobietę. Gdzie oni teraz są?!

– Zaraz cię do nich zaprowadzę – Darek uśmiechnął się nieznacznie.

Wiktor dopiero teraz przypomniał sobie o obecności Darii, która przestępowała z nogi na nogę w swoim niemym tańcu. Nogom partnerowały ręce, które najwyraźniej też nie wiedziały, co ze sobą zrobić. Na twarzy rysowała się mieszanka zakłopotania i zniecierpliwienia.

– Muszę porozmawiać z Hanią – rzucił w jej stronę, zwracając się już ku drzwiom. – Zresztą chyba utknęliśmy w martwym punkcie, prawda?

– Wiktorze, ja właśnie chciałam o tym, bo nie zdążyłam dokończyć! – Wybuchła, nie mogąc już tłumaczyć tego, co próbowała przekazać

detektywowi od momentu, gdy Darek przerwał ich rozmowę. – Wiem, gdzie jest Moryc!

Wiktor zatrzymał się, jakby coś zablokowało mu drogę. Popatrzył na Darię. Jak zwykle to samo: wybór między pracą a rodziną. Nienawidził tego, choć teraz wybór wydawał się bardziej oczywisty niż kiedykolwiek. Zawahał się, jednak nie mógł pokonać przemożnej chęci zadania tego jednego, kluczowego pytania cisnącego mu się na usta.

– Gdzie?

– To nieważne, Wiktorze – powiedziała poważnym głosem Daria. – Myślę, że powinieneś teraz pójść do Hani. My z Darkiem się tym zaj...

– Gdzie?! – powtórzył, nie dając jej dokończyć.

– Kilkadziesiąt kilometrów stąd. Mam współrzędne GPS od Patrica.

– Jadę z wami – sapnął Wiktor.

– Ale... – tym razem próbował wtrącić się Darek, Wiktor jednak przerwał mu.

– Jadę z wami! To moje śledztwo – stwierdził kategorycznie. – Hania i dzieci będą bezpieczne do mojego powrotu, prawda? – zwrócił wzrok na Darka.

– Nie no, jasne. Ale obiecałem Hani, że...

– Hania nawet nie ma pojęcia, jak wiele zależy od tego śledztwa... – westchnął Wiktor. – Jest bezpieczna i to teraz jest najważniejsze. Musimy znaleźć Moryca. Po tym, co widziałem u Barowskich, po prostu musimy, rozumiecie?! – Darek i Daria skinęły głowami.

– A właśnie, znalazłeś Agatę Barowską?

– Nikogo tam nie było. Chyba ktoś nas ubiegł.

– Tym bardziej musimy spróbować odnaleźć Moryca! Kiedy możemy ruszać?

– Moi ludzie są gotowi. Samochód też – odparł Darek.

– W takim razie jedźmy od razu! – zdecydował Wiktor.

– Zaczekajcie na mnie! – zawołała Daria. – Wezmę tylko jedną rzecz, na wypadek, gdyby odezwał się Patric. Sprawdza jeszcze dla nas parę rzeczy.

Nie wiadomo skąd w jej rękach znalazł się biały MacBook Air.



Krótkofalówka zatrzeszczała głośno przy pasku jednej z kobiet. W ślad za tym przez niewyraźne charczenie przebił się rozgorączkowany rozkaz: Sekcja bezpieczeństwa do bramy głównej!

Strzały za oknem nasiliły się.

– Zapytaj, o co chodzi! – Michał machnął nożem, wskazując na krótkofalówkę. – Tylko powoli!

Kobieta powoli sięgnęła do paska, a po chwili przystawiła walkie-talkie do ust, wciskając przycisk z jego boku.

– Baza, tu trójka. Co się dzieje?

Kolejna seria trzasków i charczenie tego samego kobiecego głosu.

Dopiero po chwili zorientowali się, że to przesterowany huk wystrzałów. W kolejnych słowach wychwycić już można było pełnię grozy.

– O Boże, jest ich mnóstwo! Pospieszcie się! Trójka, słyszysz mnie? Pospieszcie...

Dziwny szcęk przerwał łączność, anulując wiadomość, która w kilkanaście sekund z rozkazu przekształciła się w rozpaczliwe S.O.S.

W pomieszczeniu zapadła cisza, zaburzana jękami Juliusza i odgłosami walk z umarłakami, dochodzącymi z odległości maksymalnie kilkuset metrów. Krótkofalówka już się nie odezwała.

– Jest jakieś inne wyjście niż przez bramę główną? – zapytał Michał, przyciskając ostrze do gardła Juliusza.

Cisza. Nikt nawet nie zamierzał otwierać ust. Ostry kraniec noża wyłobił kolejną, prostopadłą do poprzedniej szczelinę w szyi Juliusza. Ten zawył, a jego ciało wygięło się w bólu. Michał wciąż trzymał go w ryzach, choć wzmagało to rwący ból w jego ręce. Na ułamek sekundy grymas bólu przemknął po jego twarzy. Zmrużył oczy i wziął głęboki wdech. W głowie mu wirowało. Ciało wypełniała ta sama mieszanka lęku i furii, którą czuł w Afganistanie. Ten ból i cholerny stres zjadały go od zewnątrz. Ledwo panował nad sobą.

– Pytam, czy jest stąd inne wyjście?

– Jest! – ryknął Juliusz, zirytowany bólem i biernością swoich ludzi. – Jak w każdym forcie mamy tu drogę ewakuacyjną.

– Jeśli chcesz żyć, wskażesz ją nam. Rozumiemy się? – Michał raz jeszcze przesunął ostrze po szyi Juliusza. – Czy są tam wartownicy? – zapytał. Juliusz zawahał się. – Słuchaj, jeśli coś się nie będzie zgadzało, obiecuję ci, że umrzesz przed nami...

– Są! Dwaj! Jak przy bramie głównej! – zawołał Juliusz. Niemal płakał ze wściekłości. Już nie przeciągał samogłosek i nie zawodził tymi swoimi zaśpiewami.

Nagły wystrzał spowodował, że zarówno Juliusz, jak i Michał podskoczyli, kierując zaskoczone spojrzenie na Lenę. Stała z dymiącym jeszcze pistoletem w rozdygotanych dłoniach, mierząc w jednego z mężczyzn. Pół metra od niego w drewnianej futrynie tkwił głęboki ślad po kuli.

– Przepraszam! Naprawdę nie chciałam... – jęknęła przepaszająco.

– Spokojnie, nic się nie stało – odparł Michał łagodnie. – Dobrze zrobiłaś. Jeśli któreś z nich się chociaż poruszy, postaraj się nie spudłować.

Lena wbiła w niego zdumione spojrzenie, ale gdy zrozumiała, że to nie wisielczy żart i Michał mówi absolutnie poważnie, potaknęła niepewnie.

– Dobra, raz się udało, uda się raz jeszcze... – powiedział Michał bez przekonania. – Wyjmijcie paski ze spodni, połóżcie się na ziemi i chwycie

dłońmi za kostki! – rozkazał, a następnie zwrócił się do Leny. – Daj mi swoją broń i zepnij ich paskami najmocniej, jak to możliwe.

Oddała mu pistolet, a on natychmiast wymierzył go w leżącą na ziemi grupę. Ze sporym wysiłkiem skrepowwała dwóch mężczyzn i kobiety. Został jeszcze ten barczysty, ten który wpadł do pokoju jako pierwszy, trzymając w ręce karabin, gdy Michał kazał jej przerwać.

– Hej, ty! – zwrócił się do mężczyzny, wskazując na niego lufą pistoletu. – Zdejmuj spodnie, koszulę i kurtkę. Tylko powoli i bez żadnych numerów!

Wykonał polecenie, rzucając niedbale ubranie w stronę Michała. Omiótł go nienawistnym spojrzeniem i znów położył się na podłodze twarzą do ziemi. Lena dokończyła swoje zadanie, ściskając mocno paskiem jego ręce i nogi.

Michał oddał jej broń, ona wymierzyła ją w opartego o ścianę Juliusza. Następnie zagryzł zęby i z trudem zsunął z siebie zbyt ciasne ubranie skradzione z obozu Panter. Odciął nożem fragment rękawa koszuli i pomagając sobie zębami, zacisnął go mocno na ramieniu w miejscu, z którego sączyła się krew. Jęknął, a jego mięśnie opanowało niekontrolowane drżenie. Wziął kilka szybkich oddechów i mozolnie włożył na siebie nieco za duży mundur sekcji bezpieczeństwa z Fortu Oaza.

– Nie ujdzie wam to na sucho – wychrypiał rozsierdzony Juliusz, ale Michał uspokoił go nie za mocnym ciosem w twarz. Nie zamierzał zrobić mu krzywdy, po prostu chciał przypomnieć, kto może, a kto nie powinien się odzywać.

– Na twoim miejscu modliłbym się, żeby uszło nam to na sucho, bo inaczej po tobie – wyszeptał, przysuwając twarz tuż do jego twarzy i zaglądając prosto w oczy. – Widziałem śmierć i zadawałem ją w przeszłości. Nie chciałbym zabijać kolejnego człowieka, ale jeśli będzie to konieczne, zrobię to. Rozumiesz?

Zeszli po schodach z pierwszego piętra na parter. Michał trzymał nóż, którego ostrze ocierało się o skórę Juliusza, Lena natomiast dzierżyła pistolet. Wyprawa z góry na dół zajęła im trochę czasu, głównie z powodu dziury w stopie Juliusza. Jakoś dotarli jednak do jeepa. Rany Juliusza nie uniemożliwiały mu prowadzenia samochodu z automatyczną skrzynią biegów, dlatego Michał wyznaczył mu miejsce za kierownicą i z nożem w pogotowiu usiadł obok niego. Lena ukryła się za tylnym siedzeniem na podłodze. Fortem wstrząsały kolejne wystrzały i odgłosy walki przerywane upiornym jęczeniem umarłaków.

– Masz jakiś pomysł, jak nas stąd wydostać? – zapytał Michał, przekrzykując silnik.

– Nie – odparł Juliusz, ale kiedy ostrze naparło na skórę w okolicy wątroby, dodał: – Ale coś wymyślę.

Jazda uliczkami Fortu Oaza zajęła im dosłownie chwilę – zanim automatyczna skrzynia biegów zdążyła wrzucić czwarty bieg, zatrzymali się przed niewielką bramą, strzeżoną przez dwóch strażników. Dookoła było całkowicie pusto.

– A wy czego tu?! – zawołał wartownik, ściskając mocniej karabin i podchodząc bliżej. Zatrzymał wzrok na kierowcy. – Pan Juliusz? – zapytał zdumiony.

Juliusz skinął głową i uśmiechnął się z trudem. Za wszelką cenę próbował powstrzymać grymas bólu, czując nieustannie bliskie sąsiedztwo noża Michała.

– Tak. Otwierajcie! Mam pilną sprawę do załatwienia poza fortem!

– Jasne – odparł wartownik i już miał zawrócić w stronę stróżówki, gdy raz jeszcze omiótł wzrokiem pojazd. Popatrzył na Juliusza i jego towarzysza. – Ale w czasie ataku? I kto to w ogóle jest? – zapytał podejrzliwie, wskazując lufą karabinu na Michała.

– A niby dlaczego teraz wyjeżdżam? To ma związek z atakiem, imbecylny! Zresztą nie mam czasu się tłumaczyć! – zawołał Juliusz. –

Otwieraj tę bramę albo dzwoń do dowództwa i zawracaj im głowę, kiedy oni się tam wykrwawiają!

Wartownik nie przejął się jednak jego teatralnym monologiem. Przywołał kolegę, który stanął przed maską samochodu z opuszczonym karabinem, a sam obszedł jeepa wolnym krokiem, zatrzymując się najpierw obok Michała. Ten uśmiechnął się nieznacznie, zasłaniając nóż lewą ręką. Wystarczył nieznaczny ruch ramienia, by ból przyprawił go o mdłości, ale udało mu się podnieść wyżej kąciki ust i wytrwać w uśmiechu.

– Nie mamy czasu – powiedział cicho Juliusz.

– No dobra... – rzucił wartownik, zaglądając na tylne siedzenia.

Z jego piersi wyrwał się krótki okrzyk, przerwany strzałem z pistoletu maszynowego. Z całych sił uciskał krtań, osuwając się na kolana.

Drugi strażnik przez moment stał jak sparaliżowany, ale szybko odzyskał trzeźwość umysłu. Nie inaczej było z Michałem. Dźgnął Juliusza czubkiem ostrza i ryknął: „Jedź!”. Prawa stopa wcisnęła gaz do oporu, a silnik zawył wysokimi obrotami. Zanim wartownik zdołał wycelować, jeep miażdżył mu już żebra przednim grillem, a zaraz potem podwozie i koła zmasakrowały resztę ciała. Przerażliwy skowyt urwał się nagle. Juliusz wbił hamulec w podłogę i samochód zatrzymał się centymetry od bramy.

Michał odwrócił się do Leny. Siedziała na tylnej kanapie, kiwając się w przód i w tył.

– O Boże, zrobiłam to, zrobiłam... – powtarzała jak mantrę.

– Lena! – krzyknął, ale nie zareagowała. – Lena! – Tym razem podniosła na niego wzrok. – Nie ma czasu! Otwórz bramę! Musimy jechać do twojego taty!

Jego słowa otrzeźwiły ją. Kiwnęła głową i wyskoczyła z pojazdu. Wpadła do stróżówki i po chwili brama otwarła się niespiesznie. Wróciła pędem do jeepa i ruszyli. Za bramą czekał na nich komitet powitalny złożony

z trzech umarlaków, ale Juliusz, już bez zachęty, potraktował ich jak drugiego strażnika.

– Mamy go! – zawołał z ulgą, gwałtownie uderzając pięścią w stół.

Patrycja nie pamiętała, kiedy ostatnio Aleks był tak zadowolony i pełen wiary w powodzenie ich misji. Tęskniła właśnie za tą wersją – lepszym modelem, którym był, kiedy go poznała. Na jego widok nadal ugiwały się pod nią kolana, a w głowie, w której zazwyczaj panował wzorowy porządek, pojawiał się galimatias. Szczerze mówiąc była zażenowana swoim zachowaniem, a teraz jej zmieszanie spotęgowała konstatacja, że jej sutki sterczą pręźnie pod obcisłym czarnym T-shirtem. By ukryć to przed wzrokiem Mause, który od ich powrotu nieustannie ją lustrował, skrzyżowała ręce na piersiach.

– Tak jak myślałem – powiedział Aleks, patrząc w monitor laptopa. – Jedyne, o co się troszczy, to rodzina – powiedział Aleks, ale w jego głosie nie było satysfakcji. – Nie dziwię się, bo czy ktokolwiek postąpiłby inaczej? – Spojrzał na Patrycję i Mause, choć nie oczekiwał od nich odpowiedzi. Oni również uznali jego pytanie za retoryczne. – Jest w byłym szpitalu psychiatrycznym w Ząbkach – dodał, zamykając notebooka. – To kawałek stąd, ale dojedziemy tam jeszcze dzisiaj.

– To zabieram swoje graty i zatankuję land cruisera! – zawołał ochoczo Maus.

Aleks pokręcił głową.

– Maus, ty zostajesz. To nie akcja dla ciebie.

– Chyba żartujesz?! – naburmuszył się Maus, przygryzając wargę. – Aleks, przecież...

– Podjąłem już decyzję. Wezmę Patrycję i jeszcze dwie osoby. To będzie krótka piłka i potrzebuję najlepszych ludzi.

Z rozkazami Aleksa się nie dyskutowało, wiedział o tym każdy w Panterach, ale Maus ani myślał ustąpić. W jego rozbieganych oczach

pojawiły się łzy.

– Jestem to winien Weronice! – wycedził przez zęby. – Oddała życie dla tej sprawy. Byłem przy niej, gdy umierała... – Głos mu się załamał. – Muszę tam z wami być!

Pierś Aleksa zafalowała, ale nie zdążył przypomnieć w krótkich żołnierskich słowach, gdzie jest miejsce Mause i co o nim myśli, od samego początku, bo do akcji wkroczyła Patrycja. Ujęła dłoń przywódcy Panter i ścisnęła ją mocno.

– Aleks, wiesz, że za nim nie przepadam, ale... – Spojrzała w oczy mężczyźnie wyższemu od niej o głowę. – Ale myślę, że on ma rację.

Gdy się odwróciła do Mause, jego zaskoczony wzrok powiedział jej wszystko. Nie musiał nic mówić, dla pewności jednak usta wymówiły bezgłośnie: „Dzięki”. Podpatrzył to w komediach romantycznych, które namiętnie oglądał przed apokalipsą.

– I ty przeciwko mnie? – Aleks pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Z tego, co wiem, to on znalazł tę dziewczynę i to dwukrotnie, prawda?

– No tak, ale...

– Aleks – powiedziała zdecydowanym głosem. – Bez niego nie skontaktowałbyś się z Morycem i nie dowiedziałbyś się, gdzie przebywa. Poza tym Maus był w to zaangażowany od samego początku. Nie sądziłam, że to powiem, ale to mu się należy.

Od kilku godzin nie poznawała sama siebie. Może to hormony? Miała nadzieję, że nie przeholowała. Ale widocznie także Aleks był teraz kimś innym niż jeszcze kilka godzin temu, bo nie wydarł się na nią, jak miał to w zwyczaju.

– Dobra – westchnął. – Dobra, niech wam będzie. Maus, jedziesz z nami.

Maus podskoczył, a gdy wylądował, zatańczył w miejscu, ścisnął dłoń w pięść i cofnął łokieć w okolice łopatki w geście triumfu. Wyglądał, jakby

właśnie zaliczył strike'a, zbijając wszystkie dziesięć niewidzialnych kręgli stojących w wejściu do namiotu, w którym się znajdowali.

– Dzięki, Aleks! Nie pożałujesz tego! – zawołał z zapalem.

– Mam nadzieję... – mruknął bez entuzjazmu Aleks, ale nieco się rozchmurzył, gdy Patrycja znów ścisnęła jego dłoń.

– To ja lecę po samochód!

Maus w mgnieniu oka wypadł z namiotu. Można by pomyśleć, że decyzja Aleksa odchudziła go o kilkadziesiąt kilogramów i zamieniła w rasowego sprintera z Jamajki.

– A ty przygotuj broń, okay? – rzucił Aleks w kierunku Patrycji. – Ja przejrzę mapy i sprawdzę, jak się tam dostać.

Otworzył ponownie laptopa i usiadł przed nim z westchnieniem. Patrycja ruszyła do wyjścia, ale zatrzymał ją gwizdnięciem.

– Zapomniałbym. Powiedz Wadimowi, że jedzie z nami. Tylko niech to się nie rozniesie po obozie – powiedział przyciszonym głosem. – Od tej akcji zależy przyszłość nas wszystkich, ale nie róbmy ludziom zbyt wielkiej nadziei. Jeszcze nie teraz...



Opuszczony, zarośnięty stadion zamajaczył przed nimi. Minęła dłuższa chwila, zanim toczący się po dziurawej drodze Humvee minął go z lewej strony. Część plastikowych siedzeń na krytej trybunie była powyrywana, ale te, które pozostały, wciąż jeszcze tworzyły wyraźne czerwone i niebieskie pasy. Pomiedzy niebieskimi krzeselkami rozmieszczone były białe, układające się w widoczny z daleka napis ZĄBKI.

Nadchodził zmierzch. Przekrwione oko wieczornego słońca, do połowy schowane za horyzontem, lypało na niego obojętnie. Stadion oświetlony jego ostatnimi promieniami rzucał upiorne długie cienie na okolicę.

W pobliżu zakrakała wrona, po chwili zawtórowała jej kolejna. Wiktor złowił te dźwięki przez otwarte okno i wzdrygnął się. Przypomniał sobie babcię, która zawsze powtarzała, że wrony to diabelskie ptaki, a ich krakanie zwiastuje śmierć. Była specjalistką od wszelkiego rodzaju wróżb, więc nigdy nie podejmował z nią polemiki na ten temat. Teraz jednak ta specyficzna ścieżka dźwiękowa wydała mu się adekwatna do obrazu. Było w nim coś piekielnego, jakby te długie szpony cieni, porywające coraz większe połacie ziemi zapowiadały, że gdzieś tam kryje się coś jeszcze.

Pogrążony w myślach, nawet nie zauważył, kiedy samochód zatrzymał się z cichym westchnięciem. Pewnie nadal tkwiłby jak kołek ze wzrokiem wlepionym w chylące się ku upadkowi budynki, które minęli, jadąc ulicą miasta, gdyby nie szturchnięcie Darii siedzącej obok niego z białym

MacBookiem Air na kolanach. Uśmiechnęła się nieznacznie, widząc jego nieprzytomny wzrok. Postanowiła osobiście dopilnować, by po zamknięciu śledztwa Wiktor przede wszystkim porządnie się wyspał. Inaczej zwariuje. Już wariował.

– Przepraszam, musiałam cię obudzić. I nie myśl, że to przez twoje chrapanie – powiedziała z łagodnym uśmiechem. – Po prostu jesteśmy już na miejscu.

– Jakie chrapanie? – zapytał po chwili, przecierając wierzchem dłoni oczy.

Daria pokręciła głową i powróciła do rozświetlającego szarości tego świata bladego światła ciekłokrystalicznego ekranu. Szybkie ruchy gałek oraz szczupłych palców przypominających teraz zwinne odnóża pająka buszującego po klawiaturze, były sygnałem, że ma teraz ważniejsze sprawy niż rozmowa z Wiktorem.

Wysiadł z pojazdu. Słaba łuna zachodu wyzierała zza linii widnokręgu. Powietrze nadal było suche i duszne. Żar bił od nagrzanego asfaltu, który w tym miejscu otrzymał dodatkową dawkę ciepła z rozpalonego katalizatora Humvee. Odszedł parę kroków od pojazdu i przyjrzał się kompleksowi budynków, przed którym się zatrzymali. Wyglądał na zupełnie nowy, jakby oddano go do użytku kilka tygodni temu.

Kilka dwu- i trzypiętrowych gmachów o zielono-pomarańczowych elewacjach i niebieskich dachach było ze sobą połączonych, tworząc coś na kształt krzyża. Przynajmniej tak to wyglądało z jego perspektywy. Nieco dalej widać było oddzielne dwupiętrowe bloki o bladozielonych fasadach. W przeciwieństwie jednak do kompleksu, który wznosił się tuż przed nim, były niedokończone – budowę najprawdopodobniej przerwała apokalipsa.

Darek jeszcze nie wrócił z obchodu, na który poszedł z Kingą. Wiktor znał ją z kilku misji w F2-Wilno. Ta miła i bardzo twarda dziewczyna była według niego jedyną osobą będącą w stanie odciągnąć Darka od metamfetaminy. Od kilku miesięcy tych dwoje zbliżało się do siebie

ostrożnie. Każde z nich dźwigało niesprzyjający zawieraniu nowych znajomości bagaż przykrych doświadczeń z przeszłości. O ile jednak w ich osobistych relacjach brakowało jeszcze zaufania, o tyle w akcji zawsze mogli na siebie liczyć. A tego dnia to było szczególnie ważne.

To była być może ostatnia okazja dla Wiktora, by zapalić. Żałował, że nie zdążył napełnić piersiówki, ale dziękował niebiosom, że zaraz będzie mógł głęboko zaciągnąć się dymem. Co za szczęście, że tuż przed wyjazdem z Fortu Wilno zwinął Darkowi paczkę fajek. Wtedy też sytuacja zdecydowanie wymagała zapalenia. Najpierw przypadek Agaty Barowskiej, potem śmierć Andrzeja, a w końcu ta informacja o szczepionce. A jakby tego jeszcze było mało, ta cała akcja z Hanką. Czy ta kobieta nigdy nie przestanie być taką histeryczną i egoistką? Czy zrozumie wreszcie, że świat nie kręci się wokół niej? Że są sprawy, od których zależy przyszłość nie tylko ich rodziny, ale całej ludzkości? Ta sprawa właśnie taką była.

Musieli działać szybko i sprawnie. Nie chcieli wszczynać alarmu w formie, bo to znacząco utrudniłoby ich działania, zwłaszcza że wciąż nie byli pewni, z kim walczą – czy były to Pantery, Kult Brata Ezechiela, czy jeszcze jakaś inna siła, o której nie mieli pojęcia. Jedynym miejscem, gdzie mogli zdobyć nowe informacje na ten temat, był szpital psychiatryczny, przed którym właśnie stał, pałac papierosa. Wszystko wskazywało na to, że właśnie tu ukrywa się Jakub Moryc. Jeśli ktoś mógłby rzucić światło na wydarzenia z ostatnich dwóch dni, to właśnie on.

Drzwi Humvee trzasnęły w chwili, gdy zaciągnął się najmocniej, jak się dało.

– Tyle razy mówiłam ci, żebyś rzucił palenie. To takie niezdrowe... – zaczęła Daria z dezaprobatą, trzymając w rękach swój biały komputerowy klejnot.

– Nie zrzędź. – Wiktor skrzywił się. – Życie jest niezdrowe. Prawdę mówiąc, chętnie napiłbym się czegoś mocnego...

– Ale tu cicho... – Daria rozglądała się po okolicy, ignorując jego słowa.

– To cisza przed burzą – powiedział, ścierając rękawem prochowca spływający z czoła pot.

Było tak parno, że można się było zastanawiać, czy Wiktor powiedział to jako domorosły meteorolog, czy jako detektyw tuż przed decydującym starciem.

– Albo po prostu jest cicho, bo oprócz nas nikogo tu nie ma – odparła z ironicznym uśmiechem. – Słuchaj, jakimś cudem złapałam Wi-Fi... – Widocznie poza Fortem Wilno również do słownika Darii nieświadomie przenikały terminy, które na co dzień dalekie były od jej naukowego podejścia do rzeczywistości. – Odebrałam wiadomość od Patrica.

– I co?

Wiktor wciągnął dym do płuc i wypuścił imponujący obłok kancerogennego, śmierdzącego siwego dymu. Daria skrzywiła się. Jeśli chodzi o używki, była ascetką. Kiedyś wprawdzie nie potrafiła się obejść bez dobrej, świeżo palonej kawy (nie uznawała jej za używkę), ale teraz, po apokalipsie nie miała zbyt wielu okazji, by korzystać z tej formy niegroźnego uzależnienia.

– Kiedy ostatnio z nim rozmawiałam, zasugerowałam mu, żeby zhackował mejla Moryca albo osoby, z którą się za jego pomocą kontaktował. – Uśmiechnęła się przebiegle. – Bo lepiej wiedzieć, czy przez przypadek nie chodziło o to, co i nas interesuje, prawda?

– Prawda – przytaknął Wiktor, unosząc kąciki ust do góry.

– Przeciętnej osobie takie włamanie zajęłoby trochę, ale Patric nie jest przeciętny...

– Mam się czuć zazdrosny? – Zaciągnął się, patrząc na Darię z ukosa.

– Spokojnie, naszemu platonicznemu związkowi nic nie zgrozi! – Raz jeszcze się uśmiechnęła, ale od razu spoważniała. – Patric zdobył filmik dopięty do wiadomości wysłanej do Moryca. Rzuć okiem...

Otworzyła notebooka i włączyła wideo.

– To córka Moryca? – zapytał z ożywieniem, kiedy na ekranie pojawiła się związana dziewczyna.

– Tak – potwierdziła Daria. – Ale skąd wiedziałeś?

– Widziałem ją na zdjęciu w mieszkaniu Barowskich. Wprawdzie była na nim dużo młodsza, ale nie sposób nie rozpoznać tych oczu...

– Porwały ją Pantery i wygląda na to, że chcą ją wymienić na szczepionkę...

– Tylko mi nie mów, że tutaj jada?!

Daria skinęła głową, a Wiktor zaklął siarczyście.

– No to musimy się pospieszyć – zawiesił na chwilę głos, zastanawiając się nad czymś. – Zostaniesz w samochodzie z Mirkiem. Dasz nam znać, gdyby pojawiły się Pantery. W tej samej chwili nadeszła Kinga, która właśnie skończyła obchód wokół szpitala. A kilkanaście sekund później energicznym krokiem dołączył do niej Darek. Pociągnął nosem. Wiktor spojrział na niego. Rozszerzone źrenice nie pozostawiały wątpliwości. Kinga jednak nie miała na niego zbawiennego wpływu.

– Co jest? – zapytał Darek.

– Daria zostaje, a my idziemy szukać Moryca. Musimy się spieszyć, bo nie tylko my chcemy go znaleźć. Pantery depczą nam po piętach. – Wiktor krótko wprowadził przybyłych w sytuację.

– W takim razie bierzemy broń i ruszamy! – zawołał Darek z entuzjazmem.

– Wiktor... – jęknęła Daria – ... uważajcie na siebie, dobrze?

– Na co tu uważać? Na paru umarlaków? Przynajmniej trochę potrenujemy z Kinią strzelanie do ruchomych celów! – Darek wyszczerzył nędzne uzębienie, wyjmując broń z bagażnika Humvee.

– I nie zapomnijcie krótkofalówki – dodała Daria. Pobiegła do pojazdu i wróciła z walkie-talkie. Wcisnęła je w dłoń Wiktora. – Pilnuj ich tam i nie pozwól im umrzeć, rozumiesz – wyszeptała, patrząc mu w oczy.

Skinął głową.

Przy wejściu posadzka i ściany skąpane były jeszcze w odcieniach szarości, bo przez oszklone drzwi docierał tam wieczorny półmrok, ale z każdym kolejnym krokiem robiło się ciemniej. Po chwili zapanowały zupełne ciemności. Kiedy w nie wkroczyli, Darek i Kinga włączyli latarki przytwierdzone do karabinów szturmowych. Dwa małe krążki światła zatrzymały się na końcu długiego korytarza przecinającego wzdłuż tę część kompleksu. Panująca wewnątrz martwa cisza bynajmniej nie uspokajała. Chociaż należeli do ludzi, o których mówi się, że mają nerwy jak postronki, każdy szmer, często urojony, powodował natychmiastowe przemieszczenie się świetlistych snopów w prawą bądź lewą stronę, co z kolei doprowadzało do zatrzymania kolumny. Darek szedł przodem, Wiktor za nim, a Kinga ubezpieczała ich z tyłu.

Powoli skradali się w głąb ciemności, starając się tłumić odgłosy kroków. Wiktor mógłby przysiąc, że słyszy, jak serca tamtych dwojga pospiesznie pompują krew do obu obiegów, a płuca to rozszerzają się, to kurczą przy każdym krótkim oddechu. Słyszał nawet szmer włosów unoszących się przy każdym ruchu latarek. W powietrzu czuć było coś, co jednak przyprawiało go o zawrót głowy.

Dotarli do końca korytarza. Oślepiło ich światło odbijające się od tafli szkła, od której dzieliło ich kilka metrów. Kiedy Darek zbliżył się do niej, usłyszeli głośne westchnięcie mechanizmu i hydrauliczną harówkę siłowników. Zatrzymali się, mierząc z broni przed siebie, ale drzwi ani drgnęły – rozsunięte na boki trwały tak do momentu, aż Kinga przekroczyła próg i zostawiła je pół metra za sobą. Wtedy raz jeszcze syknęły i obie części zeszły się ponownie.

Mieli przed sobą trzy drogi: na wprost, w prawo i w lewo.

– Co robimy? – zapytał szeptem Wiktor.

– Idziemy prosto. Wszyscy. Nie rozdzielamy się – zakomenderował Darek. Nikt nie zaprotestował. Wkroczyli do kolejnego korytarza.

Tu ciemność co kilka metrów rozpraszała bura poświata wkradająca się do holu przez otwarte drzwi pokoiów z dużymi oknami wychodzącymi na zachód. Nic nadal nie przerywało absolutnej ciszy i Wiktor coraz bardziej wątpił w to, że znajdą tu kogokolwiek żywego. Być może Jakub Moryc dawno już zdążył zniknąć. Albo szykuje jakąś zasadzkę na Pantery...

Nagle ogłuszył ich przeraźliwy pisk przechodzący w sprzężenie, które zabrzmiało jak tajna, soniczna broń obcych lub odgłos wystrzału lasera z filmów science fiction. Dźwięk staranował błony bębenkowe i wwiercił się prosto w ich mózgi, aż nogi się pod nimi ugięły. Gdy ustał, oba świetliste kręgi skupiły się na Wiktorze.

– Przepraszam – odezwał się skruszony głos przy pasku Wiktora. – Nie mam pojęcia, co się stało. Coś mi sprzęgło... Jesteście tam?

– Daria, na litość boską! – wycedził szeptem Wiktor, dotykając ustami krótkofalówki. – O mało nie dostaliśmy zawału!

– Ja też, Wiktorze, ja też! – mówiła przeproszającym tonem. – Słyszycie mnie?!

– Aż za dobrze – szepnął Wiktor, zerkając na Darka i Kingę. – Co się stało?!

– Nic. Chciałam sprawdzić, czy wszystko z wami w porządku.

Kolejny skrzek krótkofalówki zabrzmiał jak zawodzenie niemartwego i wszyscy jednocześnie skrzywili się tak, jakby mieli to wyćwiczone podczas wielogodzinnych prób. Wiktor wziął głęboki wdech, a następnie jego usta zaczęły się poruszać bezgłośnie jak w modlitwie, choć Darek odczytał z nich słowa, które bynajmniej nie odnosiły się do sfery sacrum.

– U nas w porządku. Pusto. Nikogo nie ma. Ani Moryca, ani umarłaków. Idziemy dalej – zaraportował urywanym szeptem. – A u was?

– Też cisza i spokój. Dam znać, jeśli pojawią się Pantery.

Krótkofalówka znów zatrzeszczała.

– Tak zrób. I niech Mirek pokaże ci, jak się obsługuje krótkofalówkę.

– Bardzo śmieszne! Bez odbioru!

Ledwie się wyłączyła, Kinga zaczęła napierać na Wiktora ręką. Doskonale zdawał sobie sprawę, że niezaplanowany postój i rozmowa z Darią mogły zdradzić ich obecność w tym upiornym miejscu, z którego chcieli się jak najszybciej wydostać. Musiał jednak zatknąć tę cholerną krótkofalówkę za pasek! Odwrócił się, by przypomnieć o tym Kinge, gdy panującą od kilku sekund ciszę przeszył jęk. Latarka błyskawicznie zwróciła się w tamtym kierunku, potwierdzając to, co kilkadziesiąt milisekund wcześniej podpowiedziała mu podświadomość, zaalarmowana smrodem i znajomym szuraniem po podłodze. W mdłej poświacie blasku latarki pełzającej po podłodze korytarza dostrzegł, że ręka, która go dotknęła, nie należała do Kingi. Szeroko otwarta szczeka żywego trupa znajdowała się teraz tuż przy jego ramieniu, zwiastując mu nadchodzącą śmierć prostymi białymi nagrobkami zębów ustawionymi obok siebie niczym kamienne płyty na cmentarzu w Arlington. Marmur szkliwa, pokryty plamami krwi i mięsa, zazgrzytał. Wiktor starał się podnieść zwiotczałą z zaskoczenia rękę z bronią, ale było już za późno...

Nagle tuż nad czołem umarlaka błysnęło odbitym światłem latarki stalowe ostrze. Darek wbił nóż, naparł mocniej, po czym kopniakiem odepchnął ciało umarlaka. Upadło na posadzkę. Ciężki oddech Wiktora dudnił mu teraz w uszach.

Wiktor zastanawiał się, czy Darek byłby równie szybki, gdyby nie wziął metamfetaminy. Najwidoczniej jego nałóg miał też dobre strony. Nie zdążył jednak podziękować mu za ocalenie życia, bo po korytarzu rozszedł się pogłos kolejnych jęków i stęknień. Kinga powiodła światłem latarki za siebie i zatrzymała je na grupie kilkunastu umarlaków kuśtykających prosto na nich.

– Za mną! – rozkazał Darek, włączając latarkę.

Pobiegli w głąb korytarza, ale umarlaki były tuż za nimi. Darek zatrzymał się na moment, przecinając mrok wiązką światła układającą się w migotliwy krąg, który zatrzymał się na schodach wiodących w górę. Nad

nimi na piętrze skrzył się jasny punkt niczym Gwiazda Polarna wskazująca drogę.

Bez zastanowienia wbiegli po schodach jedno za drugim. Znaleźli się w rozległym pomieszczeniu, które w przeszłości zapewne było poczekalnią. Gwiazda Polarna okazała się być wzierającą spod drzwi jednego z pokoi poświatą ujawniającą krzesła i ławeczki ustawione pod ścianami. Ich ciężkie kroki nie pozostały niezauważone, co zasygnalizował cień, który wypełził z prześwitu między drzwiami i posadzką i szybko zniknął. Między tym pojawieniem się a zniknięciem wychwycili ledwo słyszalny szczęk klucza w zamku.

Darek podszedł bliżej i pociągnął za klamkę. Drzwi były zamknięte! Potępieńcze jęki stawały się coraz głośniejsze. Przerzywał je jedynie odgłos niezdarnego człapania po schodach i upadku rozkładających się ciał na stopnie schodów. Raz jeszcze nacisnął klamkę i naparł na drzwi. Ani drgnęły.

– Otwieraj, albo je wyważymy! Wiemy, że tam jesteś! – wrzasnął.

Cień ponownie wyjrzał spod drzwi. Zamarł.

– Macie dziewczynę?! – Zza drzwi dobiegł niski, stentorowy głos. Było w nim coś wzniosłego, wręcz nieludzkiego. To krótkie pytanie na pewno nie zabrzmiało jak głos ojca zatroskanego o los córki.

– Nie – odparł krótko Wiktor, kontrolując sytuację za swoimi plecami. – Ale ci, którzy ją mają, zaraz tu będą. Możemy ci pomóc ją odzyskać!

Kolejna chwila milczenia. Horda umarłaków zalewała piętro i była niczym rekordowo wysoka fala w czasie przyływu, którą powstrzymać mogła jedynie ściana pocisków karabinowych.

– Dość tego! Liczę do trzech! – warknął Darek rozjuszony. – Raz, dwa...

Przed wymówieniem „trzy!” cofnął się o pół metra i wziął wdech. Jego ciało naprężyło się. Podniósł nogę, by uderzyć z całej siły podeszwą buta w okolicy zamka, gdy przez zgiełk przebił się lekki zgrzyt. Odruchowo sięgnął po karabin i wycelował w drzwi, dołączając do tkwiącej w bojowej

pozycji Kingi. Wiktor położył dłoń na kolbie pistoletu niczym rewolwerowiec czekający na ruch przeciwnika. Skrzydło drzwi otworzyło się na oścież, oślepiając ich potopem światła. Wejście w krąg tej intensywnej sztucznej iluminacji, którą musiały generować albo miliony żarówek, albo jakieś pozaziemskie źródło światła, było doświadczeniem niemal mistycznym. Pośrodku białej poświaty stało coś. Dopiero po chwili przyjęło kontury postaci humanoidalnej. To coś miało na sobie długą białą szatę przewiazaną sznurem. Głowa i twarz kryły się w obszernym kapturze. Postać zrobiła miejsce w drzwiach i mimo chaosu panującego na korytarzu, zaprosiła ich niespiesznym gestem ręki do środka.

Wiktor zatrzymał się w wejściu, próbując ogarnąć sytuację. Darek się nie zastanawiał. Po prostu działał. Wepchnął Wiktora do środka. Za ich plecami żywy trup zajączkał wściekle, rzucając się na Kingę, ale wystarczył jeden celny pocisk w mózg, by powalić go na ziemię i unieruchomić na dobre. Huk wystrzału pobudził jednak resztę umarłaków tłoczących się na schodach. Przypominali teraz rojące się robactwo, usiłujące wpełznąć każdą możliwą szczeliną. Ale jedyną drogą na piętro była klatka schodowa. Kinga strzeliła w głowę jeszcze jednego, ale gdy celowała w kolejnego, Darek stanowczym ruchem wciągnął ją do pomieszczenia, zatrasnął za nimi drzwi, zamknął je na klucz tkwiący w zamku i dla pewności zaryglował krzesłem.

Kinga i Wiktor dyszeli ciężko, próbując złapać oddech, ale z twarzy Darka nie zniknął szeroki uśmiech. Wiktor ugiął kolana, oparł dłonie na udach i spojrzał na postać w kapturze.

– Kim, do cholery, jesteś? – wydusił z trudem.

Wychudła postać powolnym ruchem zsunęła kaptur, spod którego wylały się długie, białe niczym piana morska włosy. Dopiero po chwili okazało się, że ich kolor, który w jasnym świetle lamp wydawał się śnieżnobiały, w rzeczywistości jest ciemniejszy, jakby zabrudzony – włosy miały siwoszarą barwę, podobnie jak nie za krótko przystrzyżone broda

i wąsy oraz krzaczaste brwi. Głęboko osadzone seledynowe oczy przyglądały im się spokojnie spod czoła przeoranego głębokimi zmarszczkami. Na chudych jak tyczki nogach tkwiły stare, wytarte sandały. Nie przypominał osoby, którą Wiktor widział na zdjęciu. Znacznie bardziej niż naukowca pracującego w laboratorium nad szczepionką na żywą śmierć, przypominał przewodnika duchowego albo zachodnioeuropejską wersję tybetańskiego lamy.

Wiktor chciał ponowić swoje pytanie, ale ubiegł go zdumiony głos Kingi:

– O Boże, to przecież...



Stojąc przed zamkniętymi drzwiami, czuł się niczym petent przed urzędem, czekający na decyzję referenta. Wprawdzie istnieje prawo, a w nim poszczególne artykuły i paragrafy, od których teoretycznie wszystko zależy – teoretycznie. Ale jest też przecież trudny do przewidzenia czynnik ludzki, a właściwie urzędniczy, który sprawia, że „nigdy nic nie wiadomo”. I koniec końców Bóg jeden wie, jaki będzie wynik. O ile wierzy się w Boga albo innego rodzaju siłę wyższą.

Sytuacja przypominała mu jego dotychczasowe szpitalne traumy – koszmary, które co jakiś czas powracały w snach, czyniąc go znów dobrze przygotowanym, ale całkowicie bezbronnym i zdanym na łaskę innych – egzaminy z anatomii z profesorem Serafinem i z farmakologii z docent Jazką. Na wspomnienie profesora Serafina i jego przedmiotu wzdrygał się. To był pierwszy rok i pierwszy egzamin, początek studiów. Nie wiedział, czego się spodziewać, bo autentyczne historie o restrykcyjnym i nieprzewidywalnym profesorze mieszały się ze studenckimi legendami i anegdotami, często wymyślanymi na poczekaniu. Te ostatnie były zresztą ulubioną formą „kocenia” pierwszoroczników przez studentów wyższych lat, zapewniającą nie tyle porządny fizyczny wycisk, co psychiczną udrękę, która w kilku skrajnych przypadkach zakończyła się nerwicą. Nikt jednak nie płakał po tych, którzy odpadli – zasady doboru naturalnego są nieubłagane.

Wciąż pamiętał te niekończące się przygotowania i treningi pamięci, w czasie których wraz z przyjaciółmi wyliczał najmniejsze kosteczki od stóp, przez dłonie, aż do czaszki, wykuwał na blachę znaną nielicznym wtajemniczonym wiedzę o najdrobniejszym szczególe narządów wewnętrznych, wynajdywał najróżniejsze sposoby na zapamiętanie tych wszystkich nazw, których wydawało się być więcej niż terminów w encyklopedii. Gdy tak wspólnie mamrotali je pod nosem z przymkniętymi oczami, nierzadko kołysząc się to w przód, to w tył, przypominali pogrążone w modlitwie kółko różańcowe. I chyba rzeczywiście było w tym coś z modlitwy, choć sam nigdy tak o tym nie myślał. Jedno było pewne: wyroki Serafina na egzaminie były tak samo nieprzewidywalne jak wyroki urzędnicze i boskie. Najlepsi studenci często otrzymywali od niego trudny do udźwignięcia krzyż sesji poprawkowej, a najslabsi dostępowali niespodziewanego odpuszczenia win i zbawienia. Przyjmując ten tok myślenia, on sam był gdzieś pośrodku – miał na sumieniu grzechy, ale i mocne postanowienie poprawy, a z tego, co pamiętał z nielicznych wizyt w kościele w czasach dzieciństwa, grzesznicy świadomi swoich win zawsze mogli liczyć na lepsze traktowanie niż bogobojni ortodoksi. Na wszelki wypadek odmawiał swoje anatomiczne zdrowaśki, bo przecież „nigdy nic nie wiadomo”.

Pamiętał też cowieczorne wpatrywanie się w czaszkę, którą dostał na osiemnaste urodziny od swojego najlepszego przyjaciela, Mariusza. Podobno zdobył ją od zaprzyjaźnionego grabarza. Mariusz miał cały legion nietuzinkowych znajomych, sam też nie zaliczał się do społecznej średniej, więc w sumie dlaczego nie grabarz? Ale żeby nie było nieporozumień: był wdzięczny Mariuszowi za jego niecodzienny dar, bo dzięki czaszce mógł zgłębić tajniki anatomicznej budowy mózgu, co stanowiło wyzwanie porównywalne z przebiegnięciem ultramaratonu na Saharze. Po kilku tygodniach nauki był zresztą pewien, że jego ciało lepiej zniosłoby kilkudziesięciokilometrową przebieżkę. A gdy już nie miał sił

na zakuwanie, zrywał się z łóżka w akademiku i teatralnym głosem zwracał się do czaszki, niczym do Yoricka: „Być albo nie być na studiach medycznych, oto jest pytanie?”. Jego współlokator wybuchał śmiechem i w tygodniach przed egzaminem to były jedyne chwile, kiedy kpina przebijała się przez twarde kokon strachu i niepewności, izolujący ich od zewnętrznego świata aż do dnia ich sądu ostatecznego – egzaminu z anatomii.

Miał talent aktorski i w pierwszej klasie liceum marzył jeszcze o karierze teatralnej, ale rodzice ostatecznie wybili mu to z głowy. Chcieli, by ich jedyne dziecko miało normalny zawód, z którego będzie w stanie wyżyć. Przez większość kariery zawodowej był im wdzięczny za ich determinację w dopingowaniu (czy raczej zmuszaniu) do nauki biologii, fizyki i chemii. Zresztą nie tylko on okupił ciężką pracą ostatnie lata szkoły licealnej – jego rodzice wyłożyli całkiem spory majątek na prywatne korepetycje u jego przyszłych wykładowców. I między innymi dzięki temu egzaminy wstępne na medycynę nie sprawiły mu kłopotu.

Wracając jeszcze do wspomnień... Weźmy to zdawanie egzaminu na zwłokach w prosektorium. Nie należało to do najprzyjemniejszych doświadczeń, ale szybko przyzwyczaił się do nieobecnej obecności ciał... Spośród wszystkich traum związanych z egzaminami najgorsze były niepewność i czekanie. Trwanie w napięciu na drewnianej ławeczce, niczym w poczekalni na dworcu i wpatrywanie się w piekielne wrota do świata umarłych, w którym rządził niepodzielnie profesor Serafin. Oczekiwanie, aż się otworzą, i głęboki, zaciągający bas śpiewaka operowego z Transylwanii wymówi w końcu jego nazwisko i zaprosi go do wnętrza pieczary.

Podobnie było teraz. Tak jak wtedy, tkwił wśród ciał, choć te nie były jeszcze martwe – czekały na pomoc medyczną. Ale tak jak wówczas czuł ten sam obezwładniający niepokój. Wpatrywał się w rozsuwające się co chwilę szklane drzwi, na których przyklejone były Gwiazdy Życia z laską

Eskulapa i napis: „Szpitalny Oddział Ratunkowy”. Zerknął na zegarek. Od telefonu minęło dziesięć minut. W tym czasie przebrał się i przygotował na wypadek, gdyby musiał operować. Grzegorzycyk kończył zabieg i zaraz miał tu być, ale Michał wołał nie ryzykować. Jeśli zaszłaby taka potrzeba, operowałby natychmiast. Dałby radę. Przynajmniej tak mu się wtedy wydawało.

Szklane drzwi sapnęły ciężko, a do korytarza wpadli ratownicy medyczni z łóżkiem na kółkach. Patrzył, ale początkowo nie widział. Albo raczej nie chciał widzieć. Kątem oka wychwycił jedynie kasztanowy kolor odcinający się od bieli prześcieradła, którym pokryte były nosze. Przyjrzał się dokładniej i zauważył miejsca zabarwione intensywną rubinową barwą. Próbował odwrócić wzrok, ale nie mógł. Była zaintubowana i leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Jego wargi zaczęły drżeć. Kiedy nosze go mijaly, nogi ugięły się pod nim i wydał z siebie przeciągły jęk. Nie było sensu tłumić płaczu. Łzy pociekły po policzkach. Osunął się na ziemię, przyciskając plecy do ściany. Ukrył głowę między kolanami.

Anatomii nie zdał za pierwszy razem. Właściwie nikt jej nie zdawał, ale zawsze była szansa na poprawkę. Drugie podejście okazało się już sukcesem i mógł żyć myślą o kolejnych czekających go przeprowadkach, w tym o mefistofelicznej docent Jaszce i jej farmakologii... Aż do tego dnia uważał, że na studiach zaliczył najważniejsze egzaminy, ale okazało się, że ten najcięższy życie zostawiło na teraz i miał do niego tylko jedno podejście. Stawką było życie Mai.

Pociągnął nosem i zebrał się z ziemi. Nogi były jak z waty, uginając się pod nim, tak że musiał oprzeć się o ścianę. Wziął wdech. Wirowało mu w głowie, czuł w niej tępy ból. Poczł czyjąś dłoń na ramieniu. Ktoś chyba pytał, czy nic mu nie jest. Odruchowo pokręcił przecząco głową. Znał ten głos, ale teraz nie potrafił skojarzyć go z osobą. Myślał tylko o Mai i o tym, że musi jej pomóc. Potknął się. Ktoś go przytrzymał i wezwał pomoc. Przecież to nie on, do cholery, jej potrzebował! Znów próbował się

odpędzić od przytrzymującej go osoby. Udało mu się wprawdzie, ale rezultatem był upadek na ziemię. W oczach pociemniało mu mocniej. Chciał wstać, ale nie miał siły. Zamknął oczy.

Pisk hamulców i nagły zwrot kierunku jazdy sprawiły, że aż podskoczył w fotelu pasażera. Rozejrzał się zaspany i zauważył kilku żywych trupów wyciągających gnijące ręce w stronę auta. Dopiero po chwili usłyszał ich głośnie zawodzenie. Domyślił się, że właśnie omijają tę grupę, bo po chwili pojazd wykonał kolejny zwrot i jechał już środkiem drogi. Długie światła samochodu były niczym latarnie na wzburzonym morzu żywej śmierci, wskazując cel kolejnym, choć nielicznym gromadom umarłaków, na szczęście zbyt wolnych, by dopaść pędzący na najwyższym biegu samochód terenowy.

Patrzył jeszcze w ich niemartwe oczy i nagle przeszedł go dreszcz. Przypomniał sobie ciężarówkę z chłodnią, która zagradzała im drogę na wysokości Radomia. Żywe trupy napawały go obrzydzeniem, ale widok sześćdziesięciu, a może nawet siedemdziesięciu powykręcanych zwłok stłoczonych na pace ciężarówki kolejny raz w życiu uświadomił mu, że najobrzydliwszym i najniebezpieczniejszym zwierzęciem jest człowiek i to jego należy się obawiać. Widział wiele, między innymi w prosektorium profesora Serafina, ale to, co zobaczył pod Radomiem, naprawdę nim wstrząsnęło.

Spojrzał w lewo. Juliusz prowadził jeepa przygarbiony i wpatrzony w drogę, co chwilę jednak zerkał w lusterko wsteczne ustawione na tylną kanapę. Michał przetarł oczy i odwrócił się. Lena przywitała go nieznacznym uśmiechem. W dłoniach trzymała pistolet wycelowany w potylicę mężczyzny w dredach.

– Możesz to już opuścić. – Michał wskazał ruchem głowy broń. – Dzięki. Teraz ja go popilnuję.

Ostrze noża musnęło bok Juliusza. Jego ciało, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, natychmiast się wyprężyło i napięło do granic możliwości – przypominało dmuchaną zabawkę, w którą wtłoczono za dużo powietrza. Michał cofnął nieznacznie nóż. Przysięgłby, że usłyszał cichy świst uchodzącego powietrza i napięte mięśnie zwiotczały. Juliusz znów się przygarbił, a jego twarz przeciął wyraz bólu i złości.

– Daleko jeszcze? – mruknął Michał.

– Właściwie jesteśmy na miejscu – wysyczał Juliusz.

Minęli kilka wraków spalonych samochodów tkwiących w rowie. Kilkaset metrów później dostrzegli dwa porzucone pojazdy wciąż noszące ślady zaschniętej krwi. Z mroku wyłaniały się kolejne relikty przeszłości – rozpadające się domy i bloki, przekrzywione latarnie uliczne, powywracane kosze na śmieci i zdewastowane, pozbawione szyb witryny sklepowe. Miejsce to wyglądało jak po przejściu Godzilli w japońskich filmach albo starciu kiboli podczas derbów Łodzi. Przez chwilę poczuł się, jakby podróżowali batyskafem w głębinach oceanu, poszukując zatopionych statków porośniętych twardym korałem, ostrygami i gorgoniami, będących miejscem schronienia ryb i oślizgłych bezkręgowców. Budynki, które mijali, porastała skąpa roślinność. W ich wnętrzach co jakiś czas czaiły się czerwone ślepia umarłaków – rekinów wypatrujących ludzkiego planktonu unoszącego się w odmętach niegdysiejszej cywilizacji.

Zabudowania nagle się skończyły. Rysujący się na horyzoncie rozległy kompleks budynków z każdym kolejnym metrem stawał się wyraźniejszy. W ostatniej chwili dostrzegł stojącą przy drodze tablicę, z której zdołał odczytać jedynie: „Wojewódzki Szpital...”. Wznoszące się przed nimi gmachy, tak jak całą okolicę, otulała ciepła kołdra wrześniowego mroku, ale w powietrzu nie czuło się jeszcze nadchodzącej jesieni. Intensywne światła jeepa ukazały im zielono-pomarańczowe ściany i parking przed wejściem do głównego budynku.

– To na pewno tutaj? – zapytał podejrzliwie Michał, gdy warkot silnika ustąpił grobowej ciszy. Ostrze noża ukłuło Juliusza niespodziewanie.

– Na pewno – warknął. – Podobno tutaj ukrywa się Jakub Moryc...

Michał spojrział z obawą na gmachy odsłaniające tylko fragment swojego oblicza. Zacisnął palce na kolanie, które telepało się teraz jak galareta. Ten szpital tak na niego działał. Nie. Wszystkie szpitale tak na niego działały...

– Lena, nie podoba mi się to... – Odwrócił się w stronę dziewczyny. – Nic nie wiemy o tym miejscu, tam może być wszystko... Nie mamy żadnej gwarancji, że znajdziemy tam twego tatę.

– Dlatego właśnie musimy to sprawdzić – odparła zdecydowanie.

– Tak, ale jeśli coś ci się stanie.. – Głos ugrzął mu w gardle.

– Nic mi się nie stanie! – Uśmiechnęła się i pogładziła jego policzek. – To głupie... – szepnęła, kręcąc głową z niedowierzaniem – ...przy tobie pierwszy raz w życiu czuję się bezpiecznie i wiem, że nic nam nie będzie. Gdyby nie to, że on może tam być... – westchnęła – wróciłibyśmy w Bieszczady i żyli długo i szczęśliwie. – Uśmiechnęła się. – Co się stało? – zapytała, zauważając, że Michał szybkim ruchem ociera łzę.

– Nic, nic... – Odwrócił na moment wzrok. – Lena... ja... – dukał z trudem – miałem córkę, byłaby teraz w twoim wieku. Zginęła, a właściwie to ja jej nie uratowałem... – Kolejna łza zakręciła się w jego oku. – Jeśli teraz stracę ciebie... Nie dam rady – wydusił.

– Przy tobie nic mi nie będzie! – Ścisnęła lekko jego ramię, a jej usta delikatnie musnęły jego policzek.

– W takim razie wysiadka! – Michał wymusił uśmiech i ponaglił mężczyznę nożem. Chrzęst żwiru, którym wysypana była ta część parkingu, odbił się nieprzyjemnym echem od murów budynków. Juliusz, kuśtykając, zrobił kolejne dwa kroki. Za nim jak cień podążał Michał. Najbliższe sąsiedztwo jeepa, łącznie z wejściem do szpitala, oświetlały

włączone wciąż reflektory, jednak poza granicą ich zasięgu roztaczała się gęsta ciemność.

– Pod siedzeniem powinna być latarka. Weź ją – rzucił Michał w stronę Leny.

– Jest – potwierdziła szeptem.

Najwyraźniej szept dotarł do kogoś jeszcze. Po okolicy przebiegł zgrzyt przypominający tarcie zębów o metalową powierzchnię. Potem kolejny. Michał rozejrzał się nerwowo, ale niczego nie mógł dojrzeć, dźwięk dochodził bowiem z zatopionej w mroku części placu. Zgrzyt stawał się coraz głośniejszy.

– Chodź tu, prędko! – szepnął nerwowo do Leny, która zatrzymała się w pół kroku. Ruszyła w jego stronę, ale w tym momencie jak zza czarnej kurtyny wyłoniła się dłoń. Skóra schodziła z niej płatami, a żółte, popękane paznokcie przypominały pięciookiego potwora wynurzającego się z bagien. Nadgniłe palce, zakończone zrogowaciałymi ślepiami, oplotły kostkę Leny niczym macki ośmiornicy. Dziewczyna pisnęła i podskoczyła, jakby ukąsił ją wąż. Pociągnęła mocno nogę do siebie, ale ta ani drgnęła. Dłoń cofnęła się poza granicę światła, wciągając w ciemność jej nogę.

– Lena! – wrzasnął Michał, rzucając się w jej kierunku.

Lena krzyczała, kopiąc na oślep nieskrępowaną okowami palców umarlaka nogą. Kiedy Michał był parę metrów od niej, podniosła z siedzenia pistolet i wystrzeliła w czernią. Dwa błyski towarzyszące wystrzałom na moment rozjarzyły mrok, ujawniając hordę żywych trupów otaczających tył samochodu. Na huk strzału odpowiedzieli ogłuszającym zawodzeniem. Lena opadła na tylne siedzenie, ale z ciemności natychmiast wynurzyły się kolejne oślizgłe i miękkie macki trupich dłoni.

Michał złapał prawą ręką dłoń dziewczyny i przyciągnął ją do siebie, zanim na jej nodze zdążyła się zacisnąć następna pętla szponów. Żywy trup zawył.

– Latarka! – wysapała Lena.

– Biegnij do środka! – wrzasnął Michał, popychając dziewczynę w stronę budynku. Zatknął nóż za pasek i zanurkował na tylne siedzenie.

Chwycił latarkę, ale w tej samej chwili na jego prawym ramieniu zacisnęła się powykręcana na wszystkie strony i pozbawiona dwóch palców kończyna. Obejrzał się. Tuż przy jego twarzy jęknął umarlak. Michał zamarł, widząc małą dziewczynkę przemienioną w żywego trupa, która wbijała w niego puste spojrzenie. Czuł mętlik w głowie, gdy niemartwa zbliżyła rozwarte usta do jego szyi. Na szczęście ciało zareagowało instynktownie: w ostatniej chwili jego ręka przytrzymała głowę dziewczynki pogrążonej w rozkładzie. Ta zawyła, ale on teraz słyszał jedynie przerażony krzyk Leny. Próbował odwinąć się lewą ręką, jednak ta ani drgnęła, choć reszta jego ciała aż skręciła się z bólu. Szczeka dziewczynki zatrasnęła się, zęby potarły o siebie mocno. Tym razem już bez namysłu odepchnął głowę niemartwej, a następnie uderzył swoją głową w jej sine czoło. Ponowił cios, wkładając w niego całą siłę. Czaszka dziewczynki chrupnęła nieprzyjemnie. Palce trzymające go w bolesnym uścisku zwiotczały, a ich właścicielka runęła do tyłu z jękiem. Kolejne palce przebiegły po jego lewym ramieniu. Wykonał unik, nie dając się złapać, ale jego ciało zadrżało, jakby przeszył je trzymany za paskiem nóż. Lewa ręka pulsowała. Piekący ból stawał się nieznośny. Krzyknął i uderzył mocno trzonem latarki w głowę niemartwego, która wyłoniła się z mroku. Głowa odskoczyła do tyłu, a jej właściciel zawył upiornie. Kolejnemu umarlakowi, ostrzącemu sobie zęby na jego lewe, wilgotne od krwi ramię, wymierzył cios w żuchwę. Oderwała się i nienaturalnie wykrzywiona zadyndała na fragmencie skóry przylepionym do kości policzkowej.

Michał już składał się do kolejnego kopnięcia, oświetlając latarką swój potencjalny cel, gdy zorientował się, że w jego kierunku podąża co najmniej dwadzieścia ożywionych zwłok. Odepchnął się z całych sił od tylnej kanapy i stanął na równe nogi. Umarlaki otoczyły go, zacieśniając coraz bardziej krąg.

– Michał! – zawołała rozpaczliwie Lena, robiąc krok w jego stronę.

– Nie ruszaj się! Już idę! – zawołał.

– Ale... – wydusiła z trudem, dodając coś, czego już nie usłyszał.

Zatknął latarkę za pasek i dobył noża. Rozejrzał się. Lena mignęła mu w łunie reflektorów przy wejściu do szpitala. Omiótł wzrokiem oświetlony teren, ale nie dostrzegł tam Juliusza. Żywy trup jęknął niebezpiecznie blisko, a po ramieniu Michała prześlizgnęło się coś, co zapewne było jego palcem. Zerwał się do biegu. Nacierając prawym ramieniem niczym gracz rugby, z impetem przebił wyrastający przed nim mur żywej śmierci. Jeden z umarłaków padł na ziemię, drugi wygiął się nienaturalnie, ale zdołał chwycić jego lewy nadgarstek. Michał zaklął głośno, a potem, rycząc jak ranne zwierzę, zatopił ostrze noża w żywym trupie. Palce natychmiast zwolniły uścisk, a zwłoki zwiotczały. Pociągnął nóż prawą ręką, ten jednak tkwił w czaszce jak Excalibur. Spróbował raz jeszcze. Ostrze wyskoczyło z głośnym zgrzytem. Zostawiając za sobą ujadanie niemartwych, pognął do Leny.

Rzuciła mu się w ramiona i mocno uścisnęła. Złapał ją za rękę i wbiegli po schodach. Otworzył drzwi. Lena wbiegła do środka. On już miał podążyć za nią, gdy w pobliżu rozległ się ryk. Znał ten głos. To był Juliusz. Próbował uciec, ale pewnie dobrały się do niego. Nagle stanęła mu przed oczami wizja Juliusza, z którego umarłaki zdzierają zewnętrzną powłokę ciała. Bardziej niż ten obraz przeraziła go myśl, że dzięki profesorowi Serafinowi do teraz pamięta szczegóły anatomii człowieka i mógłby dokładnie opisać każdy narząd wewnętrzny Juliusza nadgryziony przez umarłaków, każdą kość miażdżoną ich szczękami...



– ...Brat Ezechiel – wykszusiła Kinga, wpatrując się w mężczyznę.

– Brat Ezechiel? – powtórzył Wiktor z niedowierzaniem, patrząc to na niego, to na nią.

Człowiek w bieli stał w milczeniu niczym współczesny Budda, który właśnie dostąpił oświecenia w Gaju Lumbini.

Znajdowali się teraz w niewielkim pomieszczeniu oświetlonym lampami gęsto porastającymi sufit. Stojące w środku biurka zastawione były kilkoma komputerami, obok których mrugały duże, ciekłokrystaliczne monitory. Róg pokoju zajmowała mała lodówka, a obok na ziemi leżał koc, najprawdopodobniej służący za posłanie.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytał cicho Wiktor.

– Sama nie wiem – odparła szeptem. – To po prostu pojawiło się w moim umyśle.

– Czy to ty napisałaś *Objawienie Brata Ezechiela*? – Wiktor zwrócił się do mężczyzny.

Wielu powątpiewało w realne istnienie Brata Ezechiela, uważając go za wytwór Kultu, mit czy raczej przypowieść o miłosiernym człowieku komunikującym się z żywymi trupami. Człowieku, który zrozumiał, że celem ludzkości jest wejście na wyższy poziom świadomości, możliwe jedynie dzięki przemianie. Teraz, gdy stał przed człowiekiem, który

wyglądał jak krzyżówka Jezusa z Gandalfem, czuł jeden wielki mętlik w głowie.

– Nawet jeśli powiem, że to ja, czy uwierzysz mi? – zapytał obojętnie ten, który podawał się za Brata Ezechiela. – Ale jeśli pytasz, otrzymasz odpowiedź: Zaprawdę, to ja napisałem *Objawienie* i to ja jestem Bratem Ezechielem.

– A Moryc?! – Darek podszedł do mężczyzny. Oddychał szybko, a jego rozszerzone źrenice wpatrywały się w spokojne oczy człowieka w bieli. – Gdzie jest Moryc? – zapytał, szarpiąc białą szatę. Skrzywił się, bo jego nozdrza poraził ostry fetor. Mężczyzna śmierdzał bardziej niż niejeden żywy trup. Dopiero z bliska dało się zauważyć, że jego włosy są przetłuszczone i posklejane, a do skóry przylega gruba warstwa brudu. Mężczyzna wpatrywał się w Darka bez słowa.

Drzwi poruszyły się niespokojnie, a z korytarza dobiegła kakofonia obłąkańczych jęków. Coś napało na drzwi, potem jeszcze raz, ale rygiel i krzesło trzymały je na swoim miejscu w zawiasach.

Darek poruszył się nerwowo. Zluzował chwyt i wypuścił z dłoni skrawek białej szaty. Jej właściciel nawet nie drgnął.

– Jakub Moryc nie żyje – odparł głosem wypranym z emocji.

– Nie żyje?! – W głosie Wiktora pojawił się zawód, jak u himalaisty, który po przeczekaniu kilkunastu w dni w ostatniej bazie musi odwołać atak na ośmiotysięcznik. Oparł się o jedno z biurek i westchnął.

Mężczyzna skinął głową.

– Widziałem, jak dobrowolnie przemienia się w nieśmiertelnego. Byłem jedyną osobą, która towarzyszyła mu w tamtej chwili – powiedział. Jego ostatnie słowa zagłuszyło zawrozczenie zza drzwi. Zamilkł na moment, ale ponieważ nikt mu nie przerwał, kontynuował: – Pracowałem z Jakubem przed apokalipsą, a także potem, gdy ataki nieśmiertelnych ustały. Nie miał wielu przyjaciół, ja byłem tym najbliższym i najbardziej zaufanym.

To jego przenikliwy umysł pozwolił mi zrozumieć nieśmiertelnych i napisać *Objawienie*. Bez Jakuba nie byłoby to możliwe...

– Twierdzisz, że Moryc pomógł ci napisać *Objawienie*? – wszedł mu w słowo Wiktor i nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Wiemy o szczepionce i o badaniach Grzegorza Nowickiego, których rezultatem była broń do eksterminacji umarłaków. Z tego, co zdążyłem się zorientować, działania Moryca, gdyby wyszły na jaw, mogłyby zaszkodzić Kultowi Brata Ezechiela. Ale może się myłę?

– Po pierwsze nie nazywaj nieśmiertelnych umarłakami, to niegodne. – Człowiek w bieli zmierzył Wiktora groźnym wzrokiem. – Po drugie Jakub doznał nawrócenia i zarówno w trakcie apokalipsy, jak i po ustaniu ataków, pragnął zrozumieć naturę nieśmiertelnych. Wstydział się swoich działań z przeszłości, ale któż z nas nie popełnia błędów, których potem żałuje?

– Jakich błędów? – zapytał Wiktor.

– Błędem było wszystko to, co robił w LiveMore Corp. Dlatego zerwał wszelkie kontakty z Grzegorzem i nie chciał mieć nic wspólnego z jego badaniami. To Jakub, kiedy już doznał nawrócenia, jako pierwszy uświadomił mi, że jedyną drogą do ocalenia ludzkości jest miłosierdzie wobec nieśmiertelnych. Tylko w ten sposób powstrzymamy to... – Wskazał drżące w zawiasach drzwi, zza których dobiegały jęki. Były na tyle monotonne, że zebrani w pokoju przestali zwracać na nie uwagę.

– Mówisz, że Moryc doznał nawrócenia... Jakiej natury było to nawrócenie?

Brat Ezechiel uśmiechnął się nieznacznie. Dopiero to lekkie uniesienie kącików ust przypomniało im, że mają do czynienia z człowiekiem z krwi i kości, a nie mistyczną figurą spoza przestrzeni i czasu.

– Nie wiem, czy nawrócenie to odpowiednie słowo. Ludzie nazywają takie zdarzenia także traumą albo szokiem. Ale czy to nie jedno i to samo? – Wzruszył ramionami. – Nawrócenie to efekt szoku, traumy, zerwania

z dotychczasowym sposobem postrzegania świata, dostrzeżeniem, że to, co uznawaliśmy za pewnik, jest tak samo względne jak wszystko inne i musimy szukać dalej. Tak było w przypadku Jakuba, kiedy ujrzał swoją żonę, Katarzynę, po przemianie. To zmieniło wszystko... – Przerwał i przełknął ślinę. Na moment spuścił wzrok, ale zaraz podniósł go na Wiktora. – Mówiłeś, że wiecie o szczepionce. Czyli musieliście też słyszeć o Katarzynie i Lenie?

Wiktor pokręcił przecząco głową.

– Jakub przygotował szczepionkę i w pierwszej kolejności podał ją rodzinie. Sam zaszczepił córkę, natomiast żonie dał strzykawkę, by w razie konieczności zaaplikowała ją sobie. Kasia była psychiatrą, pracowała tutaj... – Zamilkł i rozejrzał się z nostalgią wokół. – Ale Kasia nigdy nie wzięła szczepionki, nawet po apokalipsie. Pomagała Jakubowi w jego badaniach, choć wiedziała, że popełnia błąd. Gdyby wtedy jej posłuchał, wszystko mogło potoczyć się inaczej... Ale to tylko czcze dywagacje. Czasu i błędów nie cofniemy.

– Nie wzięła szczepionki i zamieniła się w um... – Wiktor ugryzł się w język. – Zamieniła się w nieśmiertelną?

– Tak. To był szok dla Jakuba. W tamtym czasie, czyli po wybuchu apokalipsy, z różnych względów musiał się ukrywać wraz z żoną. Pracował dla organizacji, która do dzisiaj ma duże wpływy i prowadzi rozległe działania, obecnie wymierzone przeciwko nieśmiertelnym. Wiedział, że Lena jest bezpieczna w Warszawie, ale Kasia tęskniła za córką i kiedy tylko nadarzyła się okazja, wróciła do domu. Jakub ruszył za nią, ale było już za późno. Dopadła ją żywa śmierć i doznała przemiany. – Odwrócił na moment wzrok i przygryzł wargę. – Wybaczcie, ale ja również znałem Kasię. Nie myślcie, że nie cieszę się, że dołączyła do grona nieśmiertelnych! Po prostu wciąż pamiętam, co działo się wtedy z Jakubem. Jak bardzo go zmieniła ta jedna chwila, kiedy zobaczył żonę po przemianie. Nigdy już nie był sobą.

– Mówiłeś, że bez Moryca nie byłoby *Objawienia*. Co takiego odkrył?

Słowa człowieka w bieli były jak chwast, który błyskawicznie rozpleniał się w głowie, ograniczając dostęp do światła umysłu. Intuicja podpowiadała mu, że było w nich coś trującego, ale nie mógł się oprzeć, chciał brnąć w głąb tego zachwaszczonego ogrodu tajemnic.

– Jakub miał niezwykły umysł. Nigdy nie skupiał się na pozorach i nie przyjmował prostych rozwiązań. Pytał o zasadę, mechanizm danego zjawiska, sposób działania. A jeśli jakaś rzecz go zaintrygowała, pochłaniała go niczym ruchome piaski: im więcej zadawał pytań, tym bardziej się angażował w poszukiwania odpowiedzi. Kasia właśnie to najbardziej w nim kochała, ale i nienawidziła... – Przerwał, by zaczerpnąć tchu. – A kiedy jej zabrakło, obsesją Jakuba stali się ci, którzy ją mu odebrali. Nieśmiertelni.

Jakby wywołani do tablicy, niemartwi na korytarzu mocniej napaarli na drzwi, które niepokojąco zatrzeszczały. Darek, który sprawiał wrażenie, jakby właśnie obudził się ze snu, odruchowo skierował w ich kierunku karabin. Jego nogi dygotały niczym w febrze, a rozbiegany wzrok lustrował wejście. Uspokoił go jednak brak reakcji ze strony Brata Ezechiela – człowiek całkowicie ignorował to, co działo się na zewnątrz.

Brat Ezechiel przysiadł na krawędzi biurka jak nauczyciel. Wiktor wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany. Sam był jak Moryc. Jego też pochłaniały bez reszty analizy i pytania zmierzające do rozwiązania nurtującej zagadki. Ta, którą próbował rozwikłać od dwóch dni, należała do najbardziej fascynujących w jego dwudziestopięcioletniej karierze. Dłuższej niż związek z Hanką. W ciągu tych lat dowiedział się, że nawet najtrudniejsze zagadki kryminalne sprawiają mniej problemów niż życie rodzinne, bo w nim nie ma właściwych rozwiązań – są tylko hipotezy, które nigdy nie wytrzymują starcia z rzeczywistością. Zagadki kryminalne to co innego, a rozwiązanie takiej sprawy... To było lepsze niż seks z Aleną.

Z rozmyślań wyrwał go głos Brata Ezechiela, który wrócił do przerwane go wątku.

– Na początku Jakub, co zrozumiałe, bo taką mamy naturę, myślał o zniszczeniu nieśmiertelnych, wykorzystaniu swoich badań do ich eksterminacji. Ale wkrótce ataki ustały i właśnie to zainteresowało Jakuba... Zastanawiało go, co sprawiło, że apokalipsa zakończyła się tak nagle, jak się rozpoczęła. Zresztą, czy komukolwiek z nas to pytanie nie spędza snu z powiek?

– Mnie nie spędza – oświadczył Darek ze swym firmowym uśmiechem metamfetamisty. Splunął na podłogę. – Mam to w dupie.

Brat Ezechiel poczekał uprzejmie na wypadek, gdyby ktoś jeszcze chciał się wypowiedzieć w tej kwestii.

– Słyszeliście o hipotezie Gai? – zapytał po chwili. Wiktor i Kinga pokręcili głowami, Darek nie zwracał na niego uwagi, wpatrując się w drzwi. – Jakub jeszcze na studiach przeczytał książkę Jamesa Lovelocka zatytułowaną *Gaja*. Lovelock postawił w niej hipotezę, że Ziemia, a właściwie jej biosfera powinna być postrzegana w wymiarze metafizycznym. Dostrzegł w niej samoistny byt, w jakimś sensie świadomy, choć nie do końca w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, byt zdolny do celowego działania. Jego głównym zadaniem jest utrzymywanie homeostazy, a więc samoregulacja klimatu. Ziemia w tej teorii jest więc jednym superorganizmem, którego nigdy nie bylibyśmy skłonni postrzegać w ten sposób, bo widzimy jedynie jego poszczególne, odseparowane od siebie elementy, składające się na skomplikowany ekosystem. A co gdyby podobnie było z nieśmiertelnymi?

– Gdyby nieśmiertelni byli jednym superorganizmem? – Wiktor zamrugał oczami.

Mężczyzna przytaknął.

– Co gdyby w pewnym momencie te poszczególne części składowe, którymi są pojedynczy nieśmiertelni, połączyły się w jeden

superorganizm? Według Jakuba tak właśnie się stało w chwili, gdy ustąpiły ataki. Nieśmiertelni ewoluowali i weszli na wyższy poziom rozwoju, a było to możliwe, ponieważ ich liczba przekroczyła pewną wartość graniczną. Pozwoliło to na powstania zupełnie nowej jakości, jakiejś formy świadomości zbiorowej, której na razie nie rozumiemy...

– Ale jaki to ma związek z tamtym końcem ataków? I dlaczego nieśmiertelni znów zaatakowali? – Spojrzenie Wiktora mimowolnie powędrowało w stronę drzwi.

– Jeśli Jakub miał rację, można to wyjaśnić. Zresztą to jedno z praw materializmu dialektycznego: przemiana ilości w jakość, gdy poszczególne drobne zmiany w materii sumują się i przechodzą w zupełnie nową jakość. Przed wybuchem apokalipsy podobną zależność dostrzegali fizycy w układach wielcząasteczkowych, w których pojawiały się nowe, kolektywne zachowania, niedające się sprowadzić do sumy elementów składowych... – Przerwał raptownie, zauważając dezorientację malującą się na obliczu Wiktora i Kingi. – Nieśmiertelni zabijali tak długo, aż ich liczba osiągnęła ową wartość graniczną. A teraz, gdy ludzie zabijają część z nich i ich liczba spada, próbują jak najszybciej powrócić do poprzedniego stanu. To ich pożądane stadium i będą o nie zajadle walczyć, jak my o cywilizację. – Brat Ezechiel uśmiechnął się. – To dzięki temu odkryciu Jakuba udało nam się sformułować pierwsze przykazanie Brata Ezechiela: Miłuj nieśmiertelnego, jak siebie samego.

– Ale skoro odkrycia Jakuba miały podstawy naukowe, dlaczego przekazaliście je jako *Objawienie Brata Ezechiela*? Nauka mocniej przemówiłaby do ludzi. Przekonałaby ich, że jedynym ratunkiem jest pokojowe współistnienie z nieśmiertelnymi! – Słowom Wiktora towarzyszyła teraz żywa gestykulacja.

– Mylisz się. Czy przed wybuchem apokalipsy nauka, ze wszystkimi swoimi możliwościami i racjami, była w stanie wytłumaczyć ludzkości konieczność tolerancji wobec innych ludzi, zbawiennego działania metod

sztucznego zapłodnienia, potrzeby przeprowadzenia aborcji w niektórych przypadkach, czy medycznych i ekonomicznych korzyści płynących z legalizacji narkotyków? Nie! Skutecznie utrudniła jej to religia, bo działa na styku emocji i moralności. Nie tłumaczy świata, ale nadaje mu sens. Tego potrzebujemy. Zresztą, jeśli nie potrafiliśmy przekonać ludzkości w tak oczywistych przypadkach, jak sztuczne zapłodnienie czy tolerancja, czy moglibyśmy liczyć, że naukowe wyjaśnienie skłoni ludzi do zaprzestania mordowania nieśmiertelnych? – Brat Ezechiel uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu próżno szukać było jakiegokolwiek przejawu radości. – Jakub uważał, że jedyne wyjście to przekazać to wszystko ludziom w formie nowej religii, religii na miarę czasów, w jakich przyszło nam żyć. A kimże ja jestem, by spierać się z geniuszem Jakuba Moryca? Pamiętam zresztą czas przed apokalipsą, wy pewnie też... – Znów spojrzał na Wiktora i Kingę. – Rzeczywistość na tyle się skomplikowała, że nauka nie nadążała z jej tłumaczeniem, a ludzki umysł i tak nie był już w stanie przyswajać nowej wiedzy. Nauka sprawdza się w czasach zrównoważonego rozwoju, ale nie gdy świat szaleńczo galopuje przed siebie, jak na początku dwudziestego pierwszego wieku, lub stoi w miejscu, jak w średniowieczu albo teraz. W takich czasach potrzebujemy pokrzepiających słów religii i metafizycznego wytłumaczenia świata. Kiedy świat nas przerasta, tylko wiara daje ukojenie.

Brat Ezechiel splótł ręce na brzuchu i lekko odchylił głowę do tyłu, zamyślając się nad czymś głęboko. Przez chwilę wpatrywał się w gwiazdziste niebo żarówek.

– Rozumiem. Albo przynajmniej tak mi się zdaje – Wiktor zmarszczył brwi. – Brzmi to sensownie. Tylko dlaczego zachęcaliście ludzi, by oddawali życie, decydując się na przemianę w nieśmiertelnych? Nie wystarczyło przekonać ich, by żyli z nieumarłymi w pokoju?

Przez usta człowieka w bieli ponownie przemknął smutny uśmiech.

– Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak wielu ludzi tylko czekało na usprawiedliwienie dobrowolnej przemiany w nieśmiertelnego. Jakub tym właśnie tłumaczył sobie fakt, że Kasia nie użyła jego szczepionki – Spojrzał w stronę okien, zza których do środka próbował przeniknąć mrok nocy, staczając nierówną walkę z kilkoma tysiącami watów pod sufitem. – Już przed apokalipsą nasz świat zaludniały żywe trupy. Wiecznie zestresowani pracownicy wielkich korporacji, stale wygłodniali konsumenci rynku kapitalistycznego, nienasyceń klienci sieci fastfoodowych z jednej strony, a z drugiej głodujący mieszkańcy Trzeciego Świata, bezdomni i imigranci w centrach zachodnich miast, czy ci, którzy z różnych powodów zostali wykluczeni z życia społecznego. Nawet nasza kultura, literatura, kino i telewizja miały w sobie coś z żywych trupów. To żywienie się starymi pomysłami, ich trawienie wciąż na nowo, te wszystkie remake'i i pasożytowanie na tym, co już było...

Wiktor patrzył mu teraz prosto w oczy. Jego serce waliło szybciej, w rytm uderzeń umarłaków, próbujących wdrzeć się do środka. Miał wrażenie, że próbują wejść nie tylko do pomieszczenia, ale także do jego głowy. Zagnieździć się w jego umyśle.

– Ale to było zniewolenie! – Brat Ezechiel mówił dalej głębokim, stentorowym głosem. Słowa targały nim niczym huragan wiatrakiem, z każdą kolejną sekundą napędzając jego obłądny monolog. – Prawdziwym wybawieniem dla wielu było dopiero ugryzienie nieśmiertelnych. Dla wszystkich uciśnionych systemu kapitalistycznego, zapętłonych w stresogennej pogoni za pieniądzem i szczęściem rodem z telewizyjnych reklam! Zniewolonych regułami życia społecznego, które narzucały normy zachowań, myśli i emocji! Nieszczęśliwych, bo niezdolnych do autentycznego zaspokojenia głęboko skrywanych potrzeb! Widziałem ich wszystkich każdego dnia przed apokalipsą. Mijałem ich na ulicach, w metrze, siedziałem obok nich w ekskluzywnych restauracjach, widziałem ich na ekranach telewizorów i na łamach plotkarskich

serwisów... Wszyscy oni nienawidzili tego, w co się przeistoczyli, i było to potworniejsze od tego, czym mogli się stać po ugryzieniu nieśmiertelnych! Próbowali to maskować szerokimi uśmiechami, drogimi kremami, wizytami na siłowni, zdrowym odżywianiem, operacjami chirurgicznymi i finansowymi... Ale wszystko to na nic! Ich jedyną drogą do szczęścia było ugryzienie, a Jakub im to dał! A teraz pozostałym nieszczęśliwcom dajemy możliwość zrealizowania jedyne go pragnienia: bycia nieśmiertelnym! By w końcu mogli być szczęśliwi i by o nic już się nie martwili! – grzmiał niczym charyzmatyczny kaznodzieja pouczający z ambony grzeszną trzódkę. – Niestety, ten dureń, Nowicki, nigdy tego nie rozumiał i niemal zaprzepaścił nasze wysiłki swoimi badaniami. Ale otrzymał sprawiedliwą zapłatę za swoje grzechy.

Ostatnie słowa wymówił jednym oddechem, niemal je wykrzykując. Zacisnął zęby i dyszał ciężko, a jego oczy płonęły jak u wilka. Zapadła cisza. Tylko żywe trupy na korytarzu ani myślały milczeć.

– To... to ty zabiłeś Grzegorza Nowickiego?! – zająknął się Wiktor i nagle wszystko ułożyło mu się w głowie w całość.

– Od początku sprawa była problematyczna! – Brat Ezechiel pokręcił głową z niezadowoleniem. – Ale tym razem... Substancja, którą stworzył... To ona sprowadzi ostateczną zagładę na ludzkość! Zabiłem go zbyt późno! – warknął. W niczym nie przypominał już opanowanego mędrca z początku rozmowy. Teraz bliżej było mu do pacjenta szpitala psychiatrycznego. – Powinienem być to zrobić, zanim przekazał im swoją technologię!

– Przekazał? Komu?!

Wiktor czuł, że ma już niemal wszystkie puzzle układanki, był o krok od poznania prawdy. Mimowolnie postąpił w stronę Brata Ezechiela, jakby to miało go przybliżyć do rozwiązania, ale w tym momencie zatrzeszczała krótkofalówka.

– Halo! Wiktorze! – zaskrzeczał głos Darii. Wiktor wciąż patrzył na człowieka w bieli. – Wiktorze! Ktoś przyjechał! Powinniście się jak

najszybciej ewakuować! Słyszysz mnie?

Wiktor sięgnął po krótkofalówkę i przyłożył ją do ust.

– Słyszę cię. Wychodzimy – rzucił, odwracając się w stronę Darka. Ten skinął głową, wyszczerzył zęby i chwycił mocniej karabin. Dołączyła do niego Kinga i oboje stanęli przed drzwiami.

– Dokończymy później. Chcę poznać wszystkie szczegóły – powiedział cicho Wiktor, chwytając białą szatę mężczyzny i popychając go w stronę drzwi.

– Jesteśmy gotowi – zameldował Darek.

– W takim razie wychodzimy – zarządził Wiktor. – Oczyszczajcie drogę, ja będę pilnował jego. – Wskazał na Brata Ezechiela.

– Idę przodem, a wy trzymajcie się za mną! – powiedział Darek, spoglądając przede wszystkim na Kingę.

Odkopnął krzesło i odryglował drzwi. Wystrzeliły jak z procy do środka, ale Darek w porę się uchylił. W wąskim przesmyku wyznaczanym przez futrynę, zaklinowało się kilku umarłaków, kłapiących pogrążonymi w rozkładzie szczękami. Darek otworzył ogień. Natychmiast dołączyła do niego Kinga. Karabiny w ich rękach były jak dziurkacze, pozostawiające okrągłe otwory w głowach żywych trupów. Po pierwszej serii Darek ruszył przed siebie wprost za horde umarłaków czekającą na korytarzu. Za nim podążyła Kinga, a następnie Wiktor i Brat Ezechiel.



Biegli korytarzem. Słaby promień światła latarki drżał, jakby bał się ciemności. Lękliwie rozsuwał zasłonę mroku, ukazując długi korytarz z rzędami drzwi po obu stronach. Słyszeli swoje ciężkie oddechy i dudnienie butów o posadzkę, które tłumiły dochodzące zza ich pleców pojękiwania. Nie zastanawiali się, dokąd zmierzają – chcieli zmylić ścigających ich umarłaków.

Nagle szpitalem wstrząsnęła seria z karabinu maszynowego. Huk rozszedł się po budynku donośnym echem. Zatrzymali się, jakby w tym samym momencie uderzyli w niewidzialną ścianę. Świetlista nić latarki, za którą podążali w głąb labiryntu korytarzy, pierwszy raz od przekroczenia progu szpitala, przestała drgać i nieruchomo wskazywała punkt naprzeciwko nich. Schody. Prowadziła do nich metalowa furtka z okratowaną bramką.

W przerwie między kolejnymi szczęknięciami luf karabinów usłyszeli zbliżające się ujadania niemartwych. Michał zrobił krok naprzód, upewniając się, że nie ma przed nimi niedostrzegalnej przeszkody, która uniemożliwiłaby im dotarcie do schodów. Pociągnął za sobą Lenę i razem pobiegli w ich stronę, krocząc po linii światła, która znów miotła się jak ranne zwierzę.

Z piętra powyżej dochodziły głośnie odgłosy walki przypominające mu regularną wojnę w Afganistanie. Przed sobą mieli metalowe schody.

Michał stanął na pierwszym stopniu, puszczając Lenę przodem, a następnie zatrzasnął kratę, odcinając niemartwym drogę. Krata zamknęła się z głośnym kliknięciem. Ruszyli w górę. Z każdym stopniem dźwięki walki stawały się wyraźniejsze. Michał biegł przodem, Lena tuż zanim. W połowie schodów zatrzymali się. Ruchem ręki nakazał dziewczynie, aby została, sam zaś zakradł się na górę, skąd była rozjaśniająca ciemność biała luna. Zatknął latarkę za pasek, obok noża. Wyjął pistolet, który po wejściu do szpitala wziął od Leny i odbezpieczył go.

Ciągle stojąc kilka stopni poniżej piętra, wyjrzał ostrożnie. Skąpana we krwi podłoga usłana była pograżonymi w rozkładzie zwłokami. Kilkanaście żywych trupów atakowało grupkę ludzi. Kobieta i mężczyzna w czarnych strojach, uzbrojeni w karabiny maszynowe osłaniali kroczącego za nimi mężczyznę w prochowcu i z pistoletem oraz wychudłego człowieka w białych szatach. Szli w stronę Michała, odpierając atak niemartwych, nacierających od strony schodów. Huk broni był ogłuszający, podobnie jak upiorne wycie żywych trupów. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie słyszał.

– To on...

Nie zauważył, kiedy obok niego pojawiła się Lena. Wlepiła wzrok w siwowłosego mężczyznę, który na moment obrócił się w ich stronę, ale ich nie zauważył. Jej głos brzmiał tak, jakby nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Ścisnęła mocno dłoń Michała, upewniając się, że to, co widzi, dzieje się naprawdę. Poczuł ból w prawej dłoni

– To naprawdę on – wydusiła.

Michał wyjrzał zza krawędzi schodów. Za plecami człowieka w bieli dostrzegł umarlaka. W chaosie, który panował w pomieszczeniu, żadna z czterech osób nie uznała za stosowne kontrolować to, co się dzieje za nimi. Żywego trupa i mężczyznę dzieliło mniej niż metr. Michał uniósł broń i w tym momencie zauważył, że Lena rzuca się w stronę nieznanego.

Nie zdążył zareagować. Doskoczyła do umarlaka, kiedy ten nachylał się już w stronę mężczyzny, by go ugryźć. Oboje upadli z łoskotem na ziemię. Dopiero teraz mężczyzna i jego ochroniarze zdali sobie sprawę z obecności innych osób w pomieszczeniu. Kobieta z karabinem maszynowym odwróciła na moment głowę, by sprawdzić, co było źródłem rumoru za jej plecami. W tym momencie trzech umarlaków rzuciło się na nią, zatapiając zęby w jej ramionach i brzuchu. Z krzykiem osunęła się na kolana.

– Nie!!! – ryknął Darek. Doskoczył do umarlaków, waląc na oślep kolbą karabinu. Porwał w ramiona ciało kobiety i zaczął się kołysać w przód i w tył, mamrocząc coś pod nosem. Wiktor pierwszy raz zobaczył lzy w oczach Darka. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że narkomani też kochają. Coś ścisnęło mu serce.

Otworzył ogień, strzelając do umarlaków próbujących dorwać Darka wciąż klęczącego z martwą kobietą w objęciach. Człowiek w bieli stał jak sparalizowany. W końcu spojrzał na dziewczynę, szarpiącą się z umarlakiem. Jego oczy otworzyły się szeroko.

Michał dostrzegł to kątem oka, biegnąc w stronę Leny. Człowiek sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co ma robić. Lena wciąż szamotała się z umarlakiem, próbując uniknąć jego ugryzień. Kopnęła go z całej siły i odsunęła jego twarz od swojej szyi. Michał już niemal przy niej był. Wyciągnął ręce, by odsunąć od niej żywego trupa. Poczł pod palcami jego gnijącą skórę... W tym samym momencie umarlak natarł raz jeszcze. Tym razem Lena nie dała rady się obronić. Zaciśnął szczękę na jej barku. Krzyknęła. Z rany popłynęła rubinowa krew.

– Nie! – ryknął Michał i z całej siły szarpnął rozkładające się ciało niemartwego.

Człowiek w bieli wciąż nie reagował. Na jego twarzy malował się wyraz otępienia, jakby nie potrafił pozbierać myśli. Michał rzucił umarlaka na ziemię, przywarł do niego i walił kolbą pistoletu w jego czoło. Wokół tryskała krew, fruwały strzępy tkanki mózgowej i odłamki kości.

Po chwili umarłak przestał się ruszać. Michał pochylił się nad Leną, przyciskając dłonią jej krwawiącą ranę. Dziewczyna miała zamknięte oczy i oddychała ciężko.

– Lena! Słyszysz?! Nie umieraj! Proszę, nie umieraj!

Człowiek w bieli podszedł wreszcie do Michała, który trzymał Lenę na kolanach.

– Nic jej nie będzie... – zaczął, gdy tuż obok pękła z hukiem głowa kolejnego umarłaka, który próbował ugryźć Michała. – Trzeba tylko zatamować krwawienie.

– Ale przecież on ją... – wymamrotał Michał, uciskając prawa dłonią miejsce nad raną.

– Nic jej nie będzie – powtórzył mężczyzna spokojnym, pewnym głosem. – Jest na to odporna.

Nagle do wystrzałów świszczących wciąż nad ich głowami dołączyła długa seria z ciężkiego karabinu dobiegająca z parteru. A potem kolejna. W milisekundowych interwałach były słyszalne przerażające wrzaski. Podczas gdy na piętrze toczyła się bitwa z niemartwymi, na dole trwała rzeź.

Michał nie zważał na to, co się dzieje na parterze. Przekazał Lenę w ręce mężczyzny w bieli. Poruszyła się niespokojnie. Wciąż miała zamknięte oczy i spowolniony oddech. Michał zaczął zdejmować koszulę, kiedy jednak próbował zsunąć lewy rękaw, jego twarz wykrzywił potężny grymas bólu. Adrenalina, którą od dłuższego czasu do współczulnego układu nerwowego pompowały z zawrotną prędkością rdzeń nadnerczy, ciałka przyzwojowe i komórki C tarczycy, na chwilę pozwoliła zapomnieć mu o postrzale, ale teraz towarzyszące mu przez cały dzień rwanie podwoiło moc. Zaklął siarczyście, zrywając z siebie koszulę. Człowiek w bieli pomógł mu opatrzyć ranę Leny prowizorycznym opatrunkiem, by zatamować krew.

Nie zwrócili uwagi na chrzęst metalowej bramki prowadzącej na piętro. Obecność grupki ludzi w mundurach w kolorze camo zdradził dopiero kolejny wystrzał karabinu, który pozostawił w głowie ostatniego z trzymających się na nogach umarłaków sporej wielkości krater. Przy schodach stała dwójka mężczyzn, jeden wysoki i barczysty, drugi niski i pulchny, z odstającymi uszami. Obok nich stała zgrabna, czarnowłosa kobieta. Wszyscy uzbrojeni byli w karabiny szturmowe.

Michał dopiero po chwili ich rozpoznał. To oni uwięzili Lenę, by odnaleźć jej ojca. Stali teraz naprzeciwko faceta w prochowcu jakby szykowali się do pojedynku rewolwerowców. Obok tego w prochowcu klęczał mężczyzna kołysząc w ramionach martwe ciało kobiety. Nie było z nim kontaktu. Michał z Leną na kolanach oraz człowiek w bieli tkwili wśród rozkładających się zwłok, mniej więcej w połowie drogi między obiema grupami.

– Który z was to Jakub Moryc?! – zapytał wysoki mężczyzna.

Nikt się nie odezwał. Mężczyzna, ignorując fakt, że mierzy do niego ten w prochowcu, podszedł do Michała i przyłożył mu lufę do skroni.

– Ułóż ją na ziemi i wstawaj! – warknął. – Ty też, no już! – dodał, wskazując lufą na człowieka w bieli.

– Nie – powiedział twardo Michał, patrząc Aleksowi prosto w oczy.

Lufa karabinu zjechała w dół na czoło Leny.

– Nie prowokuj mnie – syknął mężczyzna, a kiedy Michał wykonał jego polecenie, kucnął i znów przyłożył broń do głowy Leny. Michał wykonał ruch w jego stronę, ale człowiek w bieli powstrzymał go gestem.

– Ty też rzuć broń! – rozkazał Aleks mężczyźnie w prochowcu.

Wiktor ostrożnie położył broń obok Darka.

– Spokojnie – Aleks wyszczerzył zęby w uśmiechu, dociskając karabin do skroni nieprzytomnej dziewczyny. – Ta mała żyje, jeszcze nic straconego. Zacznijmy może od tego – cedził każde słowo – że wszyscy, którzy nie przyszli tu ze mną, rzucają broń. – Ruchem głowy wskazał

na Wiktora. Obaj kucnęli, położyli broń na posadzce i podnieśli się powoli.
– Świetnie, a teraz zapytam jeszcze raz: który z was to Moryc. Ty?! – Jego wzrok powędrował w stronę siwowłosego.

– Jakub Moryc nie żyje – odparł chłodno mężczyzna w prochowcu.

Na jego słowa tryumfalny uśmiech Aleksa zniknął, a wraz z nim nadzieje, jakie wiązał z osobą Moryca. Próbował coś powiedzieć, ale nie zdołał przełknąć głosem kuli, która nagle stanęła mu w gardle. Jego zaciśnięte usta zwężyły się w kreskę, a twarz pobladła.

– Jak to nie żyje? – wykrztusił. – Nie wierzę wam! Na pewno gdzieś się ukrywa!

– Byłem przy jego śmierci... – zaczął spokojnym głosem człowiek w bieli.

– A kim ty w ogóle, kurwa, jesteś?! – wrzasnął Aleks, kierując lufę karabinu w jego stronę. – I dlaczego miałbym ci wierzyć?!

– Kilka miesięcy temu, pracując u boku Jakuba Moryca, przybrałem imię Brata Ezechiela – wyjaśnił. Aleks niczym ryba wyrzucona na brzeg, wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta. Nie mniejsze zaskoczenie odmalowało się na twarzach jego towarzyszy. – Wiem, czego wszyscy chcecie – ciągnął mężczyzna – ale badania Jakuba przepadły wraz z jego śmiercią. Nikt nie jest w stanie odtworzyć szczepionki.

– Zresztą, w dupie mam, kim jesteś! – Aleks szybko odzyskał rezon. – Równie dobrze możesz być następcą dalajlamy albo papieża, ale jeśli rzeczywiście jesteś Bratem Ezechielem, z tym większą rozkoszą wpakuję ci kulkę w ten siwy ryj! – Jego usta wykrzywił szyderczy uśmiech. Przypominał Jokera z serii komiksów o Batmanie. – Interesuje mnie lek, który cofa chorobę, który może uleczyć zainfekowanych! Gdzie on jest? – ryknął z wściekłością. – Nowicki powiedział mi, że Moryc go ma...

– Jakub nigdy nad czymś takim nie pracował! – zachnął się Brat Ezechiel. – Nowicki był szalony, całkiem mu odbiło! Sam pracował nad

lekiem o takim działaniu, ale jak zapewne obaj wiemy, stworzył coś zupełnie innego.

– Czyli szczepionka przepadła na dobre? – wtrącił się pulchny mężczyzna, a Aleks zgromił go wzrokiem.

– Tak – potwierdził człowiek w bieli. – Jestem tutaj tylko po to, by spełnić ostatnią obietnicę złożoną Jakubowi. Przyrzekłem mu, że w razie potrzeby zajmę się jego córką. – Spojrzał na dziewczynę. Kąciki jego ust zadrżały, a zęby przygryzły dolną wargę.

– Zamknij się! – Aleks ponownie wymierzył w niego karabin. – Musisz gdzieś mieć wyniki badań Moryca i musi być ktoś, kto potrafi odtworzyć szczepionkę. A może nawet wytworzyć tamten lek. Tak, to możliwe – mrucał bardziej do siebie niż do człowieka w bieli. – Gdzie są dokumenty?

– W tamtym pomieszczeniu – odparł obojętnym głosem Brat Ezechiel, wskazując na drzwi, do których dojdzie tarasowały truchła żywych trupów. – Ale to na nic, uwierz mi.

– Jeszcze raz ci radzę: zamknij się! – warknął Kozak. – Pójdiesz tam ze mną! Patrycja, Maus! – rzucił, odwracając się do swoich ludzi strzegących schodów. – Pilnujcie dziewczyny i reszty.

Podszedł do człowieka w bieli i wbił mu lufę karabinu w brzuch.

– Idziemy! – wycedził przez zęby, gdy nagle poczuł dotyk na kostce. Aż podskoczył na myśl, że to niemartwy niedobitek. Ale to była dziewczyna. Wyciągała rękę w stronę człowieka w białych szatach.

– Tato... – szepnęła z wysiłkiem. Jej usta ledwie się rozchyliły. Oczy, które przez moment patrzyły na Brata Ezechiela, zatrzasnęły się pod ciężarem powiek, jakby każda z nich ważyła tonę. – Tato! – powtórzyła głośnie.

Oczy Aleksa rozszerzyły się i błyskawicznie przeniosły z dziewczyny na człowieka w bieli. Jego usta otwierały się, by powiedzieć: „Wiedziałem, że to ty!”, gdy za jego plecami rozległ się trzask, a zaraz po nim łoskot ciała uderzającego o podłogę. Chciał się odwrócić, ale w tej chwili jego pierś

ekspłodowała. To było jak erupcja wulkanu wyrzucająca w powietrze magmę krwi. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, była leżąca tuż przed jego oczami twarz umarlaka, który przypominał mu Dimitriego, i myśl, że kiedyś spotka się z rodziną, ale już w innym i na pewno lepszym świecie.

– Stójcie tam, gdzie stoicie! – wrzasnął pulchny mężczyzna, celując w człowieka w bieli. Odsunął nogą karabin kobiety, która leżała na podłodze zamoczona. Kopnął ją lekko, a ta spojrzała na niego nieprzytomnie. – Wstawaj i dołącz do nich!

Patrycja podniosła się z podłogi niezdarnie, trzymając się za rozbity nos i jęcząc z bólu. Kiedy zobaczyła ciało Aleksa na ziemi, spojrzała na Mausa z nienawiścią, a po policzkach popłynęły łzy. Jej ciało zadrżało z bezsilności.

– Maus, dlaczego?! – zapłakała.

– Ruszaj się! – Ponaglił ją karabinem i poszedł za nią. Zatrzymał się przy człowieku w bieli. – Co za ironia – wycedził, uśmiechając się paskudnie. – Przysłał mnie tu Kult, który został założony na twoją cześć. Miałem zabić Jakuba Moryca i tym samym uniemożliwić mu rozpowszechnienie szczepionki, nad którą pracowałeś przed apokalipsą. Ale kto mógłby pomyśleć, że Jakub Moryc i Brat Ezechiel to jedna i ta sama osoba...

– Posłuchaj, on... – wtrącił się mężczyzna w prochowcu, ale Maus natychmiast skierował karabin w jego stronę.

– Niczego nie będę słuchał! Jeśli chcesz przeżyć, zamknij mordę! – warknął.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak wiele zależy od tego człowieka – kontynuował mężczyzna w prochowcu, ale Maus podszedł do niego i zdzielił go kolbą karabinu. Połała się krew.

– Niczego nie będę słuchał! – powtórzył. – To wy nic nie rozumiecie! Jak myślicie, skąd wiedziałem, gdzie jest dziewczyna? Jak sądzisz, Aleks? – Spojrzał na leżące na podłodze zwłoki i kopnął je. – No dalej! Nie masz

pomysłów? Nawet cię to nie interesowało. Myślałeś tylko o leku. Ale powiem ci coś... – Odwrócił nogą ciało Aleksa tak, by spojrzeć w jego martwe oczy. Przełożył broń do lewej ręki, cały czas celując w zebrane w pomieszczeniu osoby i zębami zdjął rękawiczkę z prawej dłoni. Wysunął rękę z rozczapierzonymi palcami w stronę zwłok, ukazując wypalony na skórze znak płonącego oka. Patrycja jęknęła. Na ustach Mause zabłysnął wredny uśmiech. – Nie ty jeden. Kult obawiał się, że możesz ją dorwać w te swoje łapska i zaprzepaścisz największą szansę, jaka otwarła się przed ludzkością. Szansę na jej wyzwolenie i na pozbycie się takich śmieci jak ty!

– Jeśli chodzi ci tylko o niego – wtrącił się Michał, starając się nadać głosowi łagodne brzmienie... – rób, co chcesz, ale musimy pomóc dziewczynie, inaczej umrze!

– I ty... – Maus zbliżył się do Michała. – To przez niego, ale też przez ciebie i tę małą! Przez was nie tylko musiałem to robić, ale patrzyłem też, jak umiera kobieta, którą kochałem. To przez was umarła! – Oczy Mause płonęły, a lufa karabinu zbliżała się do głowy Leny. – Może teraz ja ci odbiorę kogoś, na kim ci zależy, co?!

Ciało Michała stężało. Wyuczonym i od dawna zakodowanym w mięśniach ruchem ręki sięgnął za plecy po nóż i błyskawicznie cisnął go w Mause. Ten próbował się uchylić z wyrazem przerażenia na twarzy, ale ostrze wbiło się w jego pierś tuż nad sercem. Wrzasnął, wciskając jednocześnie spust karabinu. Seria przebiegła po podłodze. Większość nabojów utkwiała w martwych ciałach, ostatni sięgnął jednak lewego uda Michała, który osunął się na kolana.

– Zginiesz za to! – warknął Maus. Zatoczył się, ale po chwili znów celował w zebranych. – Jeśli ktoś się ruszy, zabiję go!

Cofnął się do człowieka w bieli. Tymczasem do wijącego się z bólu Michała przypadł mężczyzna w prochowcu, próbując pomóc w zatamowaniu krwawienia.

– Tak sobie myślę – cedził Maus – że przypomina mi to sceny finałowe filmów sensacyjnych. Widziałem ich sporo i bardzo je lubię, ale tym razem nie będzie żadnego zwrotu akcji, czy czegoś takiego. Po prostu zginiesz! – Język mu się plątał. Spoglądał dziko na człowieka w bieli. – Ale najśmieszniejsze jest to, że jest w tym jakaś prawidłowość. W końcu religia rozkwita dopiero po śmierci jej proroka, prawda?

Mężczyzna w bieli dygotał na całym ciele. Patrzył to na Mause, to na leżącą na ziemi dziewczynę.

– Proszę cię, nie rób tego – wymamrotał drżącymi wargami, nerwowo przelękając ślinę. – Nie rób tego...

– Przykro mi – szepnął Maus i strzelił mu prosto w głowę.

Odkoczyła jak u szmacianej lalki. Długie, siwe włosy wzbity się do góry niczym spienione czoło fali tsunami, by po chwili opaść wraz z potokiem krwi. Przed oczami Mause wszystko wydawało się dziać w slow motion. Ale podczas gdy ciało powoli opadało w dół, jak gdyby na moment przestała obowiązywać grawitacja, przez jego układ nerwowy przebiegł błyskawicznie ładunek informujący o nagłym bólu w nodze. Spojrzał w dół i zobaczył, jak dziewczyna gryzie go w kostkę. Przyjrzał się dokładniej i zadrżał, widząc ślad po ugryzieniu jedynie do połowy przysłonięty zakrwawionym rękawem koszuli. Wrzasnął i skierował lufę karabinu w głowę dziewczyny. Michał poderwał się z ziemi z grymasem bólu na twarzy.

– Nie rób tego! Ona... – zawołał rozpaczliwie mężczyzna w prochowcu, zanim pomieszczeniem wstrząsnęły dwa wystrzały: karabinu i pistoletu.

Michał wycelował w mężczyznę z odstającymi uszami. Kula przeszła środek jego czoła. Jego ciało zważyło się na ziemię, tuż obok dziewczyny leżącej na posadzce.

Krew sączyła się powoli z wyłobionej dziury w głowie Leny.

Katowice, 30 sierpnia 2015 roku



SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa	
Karta redakcyjna	
Prolog	
Rozdział - 1	
Rozdział - 2	
Rozdział - 3	
Rozdział - 4	
Rozdział - 5	
Rozdział - 6	
Rozdział - 7	
Rozdział - 8	
Rozdział - 9	
Rozdział - 10	
Rozdział - 11	
Rozdział - 12	
Rozdział - 13	
Rozdział - 14	
Rozdział - 15	
Rozdział - 16	
Rozdział - 17	
Rozdział - 18	
Rozdział - 19	
Rozdział - 20	
Rozdział - 21	
Rozdział - 22	

Rozdział - 23

Rozdział - 24

Rozdział - 25

Rozdział - 26